

Versione bn

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 9/288

1971



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

A. BRYCHT : **SŁOWA Z CHAOSU**
M. BROŃSKI : **O TWÓRCZOŚCI SŁ. MROŹKA**
J. MIEROSZEWSKI : **REFLEKSJE MARGINESOWE**
H. HIŹ : **JUBILEUSZ ALFREDA TARSKIEGO**
NAGRODA LITERACKA « KULTURY »

SPIS RZECZY

Andrzej Brycht:	<i>Słowa z chaosu</i>	3
Czesław Miłosz:	<i>Zapiskane wczesnym rankiem</i>	15
M. Broński:	<i>O twórczości Sławomira Mrożka</i>	17
W I E R S Z E		
Irena Danuta Bienkowska:	<i>Rytm życia</i>	38
Irena Danuta Bienkowska:	<i>Jedyna godzina życia</i>	39
Filip Istner:	<i>Zadziwienie</i>	40
Siergiej Jesienin:	<i>Polska</i>	41
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Juliusz Mieroszewski:	<i>Refleksje marginesowe</i>	42
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i>	48
SĄ SIEDZI		
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	58
Iwan Koszeliwec:	<i>Pięciolatki literatury ukraińskiej</i>	64
Aleksander Sołżenicyn:	<i>List otwarty do K.G.B.</i>	74
K R A J		
—	<i>Włodzimierz Brus o Grudniu</i>	77
Aleksander Matejko:	<i>O moich byłych władcach</i>	81
Józef Lewandowski:	<i>Z Warszawy donoszą</i>	92
—	<i>Zmiany stawek w taryfach celnych PRL</i>	93
SPRAWY I TROSKI		
Alina Grabowska:	<i>Między Wisłą a Jordanem</i>	98
P O L E M I K I		
Zbigniew Zdoleński:	<i>Uwagi i uzupełnienia</i>	112
Zbigniew Byrski:	<i>O nadziejach Leszka Kołakowskiego</i> ..	119
Jan Drewnowski:	<i>Różne reformy i różni reformatorzy</i> ..	126
B. Zawisza:	<i>Proszę o coś nowego</i>	129
KRONIKA KULTURALNA		
—	<i>Nagroda Literacka „Kultury” dla Kazimierza Iłakowiczówny</i>	133
Henryk Hiż:	<i>Jubileusz Alfreda Tarskiego</i>	134
—	<i>Konkurs POSK'u</i>	140
K S I A Ź K I		
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Okręt i skala</i>	141
—	<i>Nadstane nowości wydawnicze</i>	146
◆		
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	148
◆		
S. L. Brudnicki, Z. Gabryszewski, H. Grynberg, J. Maciejowski, B. Moos, A. Ochocki, Redakcja:	<i>Listy do Redakcji</i>	155

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Wrzesień-Septembre 1971

INSTYTUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Marian Barski, Olivos (Argentyna), po raz czwarty	F. 55,04
Dr Karol Bogdan, Don Mills, Ont. (Kanada)	F. 21,50
Andrzej Brzeski, Davis, Cal. (USA), po raz 13-ty	F. 110,00
Katarzyna Ciulis, Lackawanna, N.Y. (USA) — zamiast kwiatów na grób śp. Dra Stanisława Vincenza	F. 82,50
A. Cwalina, Downsview, Ont. (Kanada)	F. 11,00
L. Demby, Nomansland, nr. Salisbury, Wild. (W. Brytania), po raz 14-ty	F. 20,00
Helena Kluz, Ambridge, Pa. (USA), po raz drugi	F. 27,50
Ks. Józef Lach, N. Tonawanda, N.Y. (USA), po raz czwarty	F. 22,00
Prof. Jerzy Langrod, Paryż, po raz dwunasty	F. 100,00
Kazimierz Logay, Chicago, Illinois (USA)	F. 55,00
Jan F. Morelewski, Chicago, Ill. (USA), po raz trzeci	F. 110,00
Anna Nowicka, Albany, N.Y. (USA), po raz szósty	F. 55,00
François Prause, Karachi (Pakistan), po raz szósty	F. 120,60
Edward Puacz, Chicago, Ill. (USA), po raz trzeci	F. 308,00
Dr Rogers, Toronto, Ont. (Kanada)	F. 27,00
Nina Sereda, Montreal, po raz 31-szy	F. 54,00
Stanisław Skorupiński, Windsor, Ont. (Kanada), po raz trzeci ..	F. 27,00
Juliusz Stankiewicz, Trenton, N.J. (USA), po raz szósty	F. 189,00
Teatr Polski w Melbourne (Australia)	F. 121,00
A. Waroczewski, Toronto, Ont. (Kanada), po raz dziewiąty	F. 16,00
Czesław Zaim, Cleveland, Ohio (USA), po raz piąty	F. 41,00
Janusz Zembrzuski, Paryż po raz 16-ty	F. 100,00
Bezimiennie — Mediolan — po raz trzeci	F. 44,00
Bezimiennie — New York — po raz piąty	F. 41,00
Bezimiennie — Paryż — po raz dziesiąty	F. 200,00
Bezimiennie — Paris-Boulogne — po raz siódmy	F. 75,00
Bezimiennie — Sydney, NSW (Australia), po raz czwarty	F. 106,00

DZIĘKUJEMY!

NOTA BIOGRAFICZNA

Andrzej BRYCHT, ur. w 1935 r. w Warszawie, zadebiutował w r. 1953 jako poeta, pierwszą książkę wydał w r. 1960. Opublikował trzynaście książek (wiersze, reportaże, opowiadania), według jego nowel nakręcono w Polsce dwa filmy fabularne. Tłumaczenia jego utworów ukazały się w NRF, Czechośłowacji, na Węgrzech, w Bułgarii, Danii i ZSSR. W latach 1951-1956 uprawiał zawodniczo boks; pracował fizycznie w wielu zawodach, m.in. w kopalniach, jako żołnierz batalionów karnych. W 1961 nagroda dziennikarska miasta Łodzi, w 1962 nagroda literacka Fundacji im. Kościelskich w Genewie (wspólnie z S. Mrożkiem), w 1966 r. wyróżnienie literackie rozgłośni polskiej Radia Wolna Europa, w 1967 r. nagroda Stowarzyszenia Księgarzy Polskich za „Dancing w kwaterze Hitlera”, w 1968 r. nagroda I stopnia RSW „Prasa” za „Raport z Monachium”. W końcu lipca br. poprosił o azyl polityczny na Zachodzie.

Słowa z chaosu

Wymyślanie wszelkiego rodzaju deklaracji, składanie podpisów pod tekstami nawołującymi do, lub odżegnującymi się od czegoś, uważam za czynność głupią, bo w końcu abstrakcja, stając się faktem społecznym, obraca się przeciw naiwnemu sygnatariuszowi. Przekonanie to żywię od kilku lat i prawdopodobnie, żyjąc wśród obcych, składać już będę swój podpis tylko pod własnym utworem, na kwicie kasowym i na liście do przyjaciół w kraju.

Zdaję sobie jednak sprawę z tego, że w kwestii mego przybycia na emigrację powinienem złożyć wyjaśnienia tym, wśród których i z którymi żyłem w Polsce lat trzydzieści sześć, oraz przedstawić się z grubsza tym, obok których przyjdzie mi żyć obecnie.

Proszę mi wierzyć, że jedno i drugie robię w tej chwili z największą niechęcią. I do tego nie wiem zupełnie, jak pogodzić te rzeczy tak różne jak zapałka i palce mokre od deszczu. Jestem w chaosie i rozbiciu, jakbym spadł z dachu mego żoliborskiego domu na rzymski bruk. Nie wiem, czy jeszcze żyję, czy już jestem w pozagrobowym świecie, gdzie dusze jednak, z przyzwyczajenia, posługują się starymi ciałami i pieniędzmi.

Do rzeczy, skończmy szybko te żałosne konwenanse, na część artystyczną przyjdzie czas za kilka miesięcy.

A więc:

Ja niżej podpisany Andrzej Brycht, literat bez lepszego zawodu, lat trzydzieści sześć, w dniu 27 czerwca 1971 roku, wraz z żoną Aleksandrą Gaganaszwili-Brycht, lat dwadzieścia pięć, również piszącą, zszedłem ze statku „Dolny Śląsk” na ziemię włoską w porcie La Spezia, niosąc w rękach dwie małe walizeczki.

W tych walizeczkach nie było złota, biżuterii, dolarów, ani materiałów dla obcych wywiadów. Były tam natomiast przybory

toaletowe, zapasowe majtki i koszule, oraz rękopisy dwu tomów moich opowiadań, niedrukowanych w Polsce, bo przez cenzurę trzymany od lat.

W portmonetce miałem tylko dwadzieścia przemyconych dolarów, oraz tysiąc złotych polskich w banknotach setkowych, które zresztą wpisane były do celnej deklaracji (a jednak deklaracja, konieczność podpisywania której nie podlega dyskusji).

Zszedłem ze statku, i to było tak, jakbym umarł. Żadnej ulgi. Jeszcze nigdy nic nie skończyło się dla mnie tak zdecydowanie, tak ostatecznie. Opuściłem kraj.

Stojąc na przystanku autobusowym obok portu, patrząc na przesuających się koło mnie obcych, nie obchodzących mnie zupełnie ludzi, dla dodania sobie kurażu przeprowadziłem z nowym emigrantem krótki wywiad.

Pytanie: Kogo i co zostawiłem w kraju?

Odpowiedź: Matkę, syna, paru przyjaciół, paru kumpli, paru miłych znajomych. Rozkosze i udręki popularności, będące efektem wysokich nakładów (trzysta tysięcy egzemplarzy w ciągu trzech lat) moich dwu ostatnich książek. Łatwość bezsensownego przepędzania dnia za dniem, nocy za nocą, stertę przyzwyczajęń, pewną umiejętność bezpiecznego lawirowania między ciasnymi rafami tak zwanej polityki kulturalnej, stosunkowo niezłe, jak na kraj, zarobki — choć i tak często mi brakło forsy; mieszkanie, które — pierwsze w życiu — mogłem kupić dopiero trzy lata temu.

I to, co ważne jak matka i syn: język.

I to, co ważne jak język: wszystko co przeżyłem — złe, kretyńskie, mordercze, piękne i wielkie i wielkie i wspaniałe — moje całe polskie życie, jedyne i niepowtarzalne, teraz zamknięte w śmieszonym, żalonym słowie: wspomnienia.

Pytanie: Kto i co czeka na mnie tutaj?

Odpowiedź: Nikt. Nic.

Pytanie: Co zdobędę w tej ostatniej ćwiartce życia, która mi została?

Odpowiedź: Nie wiem. Może wszystko. Może nic.

Pytanie: Co to jest „wszystko”? Co to jest „nic”?

Odpowiedź: Wszystko — używając skrótu ryzykownie żartobliwego — to, w mojej zawodowej skali wartości, nagroda Nobla. Nic — to to, co zrobiłem dotąd. Ale jeśli skończę gdzieś w połowie dystansu między „nic” a „wszystko”, będę bardzo szczęśliwy.

(„Koniec pytań” — powiedział prokurator i zamknął drzwi, przycinając więźniowi palce).

Powiedziałem o tamtym życiu, jak o królewnie zaklętej w żabę, że całe wklęte jest w paskudne słowo „wspomnienia”. Ale ono już tam, w kraju, było żabą, wspomnieniem! Przeklęte i zaklęte

przez Cenzora. Już tam, żyjąc, nie żyłem naprawdę. Funkcjonowałem fizycznie, funkcjonowałem na dwóch, marginesowych dla mnie, tekstach. Mnie, właściwego mnie, trzymał w więzieniu Cenzor.

Te pięćset stron opowiadań. Wojsko, krata, kopalnia. Czy dla niektórych chłopców w Polsce byłbym tym samym Brychtem, którym byłem do końca, gdyby te opowiadania wyszły w zwykłej książeczce? Pewnie po ich wydaniu byłbym lepszym, fajniejszym Brychtem. A tak — byłem tym cholernym, niebezpiecznym Brychtem, co to „Moczar go posłał do Monachium, i w ogóle sam napisał 'Raport', a Brycht tylko za kupę forsy go podpisał”. Hak wam w smak, królewicze, jak mówi Irek Iredyński.

I oto teraz żaba-wspomnienie może się przemienić na trwałe w to, czym było, czym być powinno. W kraju robiłem konstrukcje moich przyszłych książek, mięso życia zmagazynowałem w takich warunkach, że nie uległo zepsuciu. Nie wiercie w pisanie do szuflady! Może ktoś może, nie ja. Pogoń za groszem — to najmniej przeszkadza. Obawa rewizji, wpadki — zawracanie głowy, szpagatowo inteligentkie demonizowanie polskiej codzienności, wykłute w głowach klimakteryjnych panie, które nie potrafią niczego dobrze schować, poza, oczywiście, talentem — tak doskonale ukrytym, że go żaden pies nigdy nie wywącha. Nie. To wszystko nie to.

Na przegubie prawej ręki siedzi okrakiem diabełek-cenzor i ściąga cugle dłoni! Każdy pisarz w kraju ma swojego czorta-ujeżdźacza, hoduje go w piersi, karmi krwią własną i mózdzikiem po polsku, bez jajek. Po paru latach pracy proces twórczy polega na automatycznym wyrzucaniu z myśli tego, czego „nie puszczą”, na chwytaniu pomysłów, które „mogą przejść”. Niech mi nikt nie próbuje chrzanić, że jest inaczej — robię w tym fachu osiemnaście lat i znam wszystkich, którzy się pod względem umiejętności technicznych w naszym cechu liczą. A jak ktoś ma wątpliwości — proszę jechać do Świnoujścia, tam na kei siedzi w łzach różowych skąpany mój osobisty diabełek, on dużo powie o mnie i moich znakomitych kolegach.

Powietrze Polski, dla pisarza który podejmuje decyzję pisania rzeczy, będącej rzetelnym wykładem jego odczucia rzeczywistości krajowej — to powietrze, okazuje się, jest mieszaniną wielu śmiertelnych jądów. Oddychamy, nie zdając sobie z tego sprawy, kto by się zastanawiał nad każdym oddechem — i piszemy nieprawdę, mimo ryzykownej chęci pisania choćby ćwierć-prawdy, kto by się zresztą zastanawiał nad ilością jakichś tam prawdek, dawno zdechłych w ogromnej baliu ciemnego, bulgoczącego kłamstwa, zwanego polską literaturą współczesną.

Piszemy nieprawdę — a ja nie chcę pisać nieprawdy. Jestem

już chyba zbyt dorosły, by żałośnie, z przymilnym uśmiezkim nadwornego błazna podlizywać się kolejnym dzierżawcom Polski, węszyć co parę miesięcy nowo-etapowe wiatry, zawsze zresztą zajeżdżające starym smrodem wojskowych onuc, zepsutych zębów trzęsącego powiatem jełopa, oraz mdłą wonią spalin — z czółgów wjeżdżających na ulice miast.

Wyjechałem z kraju wyłącznie po to, by napisać i wydać pewną ilość książek, zwalić bolesny ciężar tego, co od lat żyje we mnie, tętni, domaga się wyjścia w równych szeregach polskich słów na czysty, biały papier, tak mocny, by te słowa choć trochę mnie przetrwały, jeśli nas wcześniej, rzecz jasna, ogień nie pochłonie.



W Rzymie, który przypomina mi stary, cholernie brudny kredeń wypełniony odłamkami, skorupami potłuczonych fajansów, natykam się na Panią Matkę. Jest to osoba starsza, właściwie od dawna już Pani Babcia. Mieszka w Europie, ba, wszędzie, tu bawi przejazdem. Najpierw niesłychanie zdumiewa się, że „ten” (niby ja) przybył na emigrację. Wkrótce zdumienie przeradza się w specjalny rodzaj oburzenia, jaki potrafią demonstrować wyłącznie inteligenci z tak zwanych dobrych domów, oraz tak zwane osoby, pochodzenia ziemiańskiego (mieszczańskiego), najlepiej z kresów (z Krakowa). Przypomina się bowiem odczytanej bez wątpienia Pani Babci mój zbiorek reportaży „Raport z Monachium”, gdzie świadomie i z zimną krwią umieściłem sporo uszczypliwości pod adresem kilku panów, pracujących w Radio Wolna Europa. Panowie ci nie pozostali mi dłużni, wyrównali rachunek ogłaszając przez swą dalekosiężną aparaturę na wszystkie strony świata, że jestem pułkownikiem MSW, przyjacielem osobistym generała Mieczysława Moczara, grafomanem, antysemitą, nacjonalistą i tak dalej. (Narobili mi w ten sposób sporo kłopotów: ponieważ w Polsce mnóstwo ludzi słucha wytrwale audycji tego radia, i mnóstwo też przyjmuje bez zastrzeżeń rewelacje typu plotkarskiego, zaczęli się zgłaszać do mnie rozmaici nieszczęśnicy z prośbą o załatwienie paszportu na wyjazd do USA, z prośbą o załatwienie pracy, mieszkania, ktoś nawet chciał zaciągnąć u mnie pożyczkę w wysokości stu tysięcy złotych na nakręcenie prywatnego filmu fabularnego o tematyce szpiegowskiej. Kiedy powiedziałem, że nie mam forsy, usłyszałem: jak to, przecież Moczar dał panu otwarte konto w Narodowym Banku Polskim, pan może co miesiąc brać nawet pół miliona. O, potęgo radia na falach 16, 19, 25 i tak dalej, metrów!).

I oto Pani Babcia patrzy na mnie tak, jakby każdy patrzył na węża boa z ludzką głową, chwiejącą się obojętnie na grubszym

końcu wyłącznego ogona. Ponadto Pani Babcia wie, że wąż boa czołgał się co pewien czas na Mokotowską, do kasy Piaseckiego, by dostawać żer za wierną służbę.

Więc teraz Pani Babcia jest w kropce. A dzieje się to na Kapitolu, pod listkami bobkowymi, w chmurze spalin od ryczących Fiatów, Alf Romeo i Lancii. Wie, że rozmawiać powinna, boć ze słyszenia się znamy. Ale opory (patrz wyżej).

W oczka niewinne, pełne czaru świata i wszelakiej zachodniej sytości patrzę, w te oczęta na próżno już, po tylu latach, starające się promieniować krwawym blaskiem wszelkich możliwych cierpień (głównie: za miliony!) — i wiem, czego się Pani Babcia spodziewa.

Ze padnę ja na kolana. Ze klękę na żółkłym, suchym trawniczku, posypanym gęsto papierkami, pudełkami i innym świństwem cywilizacji. Ze klęcząc rąbek sukni ucałuję. A całując — oczy nieśmiało wzniosę, gestu łaski upatrując.

Lecz ja cham straszny, okropny, przepastny wprost moczar brutalności. Krok do tyłu, i deklamuję powoli, wyraźnie, dobitnie, bo chcę, bo pragnę, bo okrutnie požądam być przez wszystkie Babcie na całutkim globie zrozumiany, raz na zawsze być dobrze — jeśli już nie zrozumiany — to przynajmniej usłyszany:

Łaskawa Pani Babciu! Polska, z której Pani uciekła, i Polska z której uciekłem ja, to są dwie różne Polski, tak różne, że chyba mamy dziś prawie różne narodowości. Więc kryteria, którymi Pani raczy się posługiwać w ocenie ludzi, zawodzą w zetknięciu ze zjawiskami nad wyraz tajemniczymi, jakimi są, i będą coraz częściej, nowi emigranci z Polski, mający po dwadzieścia, trzydzieści, nawet czterdzieści lat. Są to ludzie, wychowani w niewyobrażalnie innych warunkach, niż te, w których Pani raczyła się wychować. Są to ludzie w mniejszym lub większym stopniu zaangażowani do ostatniej chwili pobytu w kraju w to, co się tam dzieje. Są to ludzie, dla których współcześni polscy komuniści, czy sowieccy towarzysze, nie są już koszmarami z bajek, którymi straszy się dzieci. Nowi emigranci mają, wśród tamtych, wielu przyjaciół, razem pracowali, razem pili wódkę, robili rzeczy głupie i złe, i dobre, dostawali po głowie od żelaznej łapy systemu, która nie wybiera, wali gdzie popadnie, ale której ciosy ci ludzie umieli już nieźle blokować, schodzić z linii, stosować dużej klasy uniki; ci ludzie po tamtej stronie zostawili kawał życia — nie zawsze złego! — a to, niestety czy stety, jednak się liczy. Bardzo się liczy.

Nie można żyć w świecie pozbawionym sensu. Człek dociekliwy nawet w oszustwie stara się doszukać sensu, który mógłby usprawiedliwić metody, ba, nawet usprawiedliwić cel; sensu, który można by złączyć w jakąś przyzwoitą całość z sensem własnego,

małego życia. Następują próby, to w tym, to w innym kierunku — człowiek wychodzi potłuczony, rozczarowany, poszarpany w środku, nie dowierza już sam sobie, a tu czas mija, usztywnia nas skleroza codziennej rutyny, przychodzi strach przed zmianą, przed utratą tego, co już się zdobyło, choćby to tylko była kupa starych łachów i mała, tania złuda.

Wtedy sięga się do rupieciarni własnego losu, i proszę, Pani Babciu, popatrzeć tu chwilę: dzieciństwo wypełniła mi wojna i koszar nieemieckiej grozy. Niemiec zabił mi ojca. Niemiec zabił mi rodzinę. Niemiec zniszczył moją Warszawę. Przeżyłem Powstanie. To na wojnie, wywołanej przez Niemców spał się rosyjski imperializm, do dziś syci się ścierwem faszystowskiego totalizmu. Lecz paradoks: dla mnie Rosjanin skojarzył się na zawsze z końcem nieemieckiej grozy. Rosjanin z pepeszą to dla mnie było po prostu życie. I to zapadło mi w podświadomość, i tkwi, nawet jeśli świadomość i czas ustawiają te sprawy nieco inaczej. Nie znam Wilna, nie znam Lwowa. Powiem brutalnie: wcale mnie te miasta nie obchodzą. Doceniam i szanuję Pani uczucia, ale w dzisiejszych czasach uczucia mają bardzo niską cenę, liczą się już tylko w sztuce. Zresztą ja również cenię mój sentyment do Ziemi Zachodnich, gdzie przeżyłem piękny okres mego życia. Takich jak ja jest wielu, bardzo wielu. Ponad czterdzieści procent polskiego narodu to młodzież poniżej lat dziewiętnastu. Ludzie do lat trzydziestu pięciu to dwie trzecie naszej trzydziesto trzy milionowej ludności.

Kryteria, którymi Pani raczy się posługiwać, oceniając ich losy i działalność w Polsce, muszą zawodzić.

Aby jednak być w porządku wobec siebie, muszę oświadczyć:

Po pierwsze — nie jestem pułkownikiem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Ministerstwo to nigdy nie proponowało mi objęcia jakiegokolwiek etatowego stanowiska. W ogóle w Polsce, od roku 1958 nikt nigdy i nigdzie nie proponował mi stałej pracy. Utrzymywałem się wyłącznie z pisanja i chałturzenia.

Po drugie — nie jestem przyjacielem osobistym generała Mieczysława Moczara, ponieważ nie miałem okazji go poznać. Czego zresztą bardzo żałuję, ponieważ generał Mieczysław Moczar wydaje mi się być postacią bardzo interesującą.

Po trzecie — czy jestem grafomanem? Tak. Na pewno.

Po czwarte — nie jestem antysemitą. Bardzo wysoko cenię Żydów, współtworzących kulturę polską i kulturę świata. Szanuję wojenne męczeństwo żydowskiego narodu. Znam wielu Żydów, których talent, inteligencja i precyzja myślenia wprawiają mnie w podziw. Natomiast nie lubię Żydów, którzy wojnę przetrzymali na Wschodzie, przyjechali do Polski z określonym zadaniem, pra-

cowali w stalinowskim UB, narobili krzywd i bałaganu w Polsce, zadając nieodwracalne ciosy naszemu społeczeństwu. Ponieważ Polacy również te rzeczy robili, a trudno powiedzieć, że bym był anty-Polakami, rzecz można ująć krótko: jestem po prostu anty-skurwysynem. Pardon.

Po piąte — nie interesują mnie i nigdy nie interesowały przeszłe, obecne i przyszłe poglądy polityczne pana Bolesława Piaseckiego. Uważam, że pan Piasecki utrzymuje przyzwoitą firmę wydawniczą, która, płacąc według stawek państwowych, wydaje szybko, dość starannie, umie starać się o papier na wznowienia. Ponadto, rzecz niezmiernie ważna, kiedy byłem kilkunastoletnim łódzkim ulicznikiem, piszącym wiersze, posyłałem je wszędzie, gdzie tylko się dało. *Nowa Kultura* wydrukowała mi jeden wiersz, *Życie Literackie* dwa naraz, ale krótkie. Pani Kamieńska, po nadesłaniu przeze mnie kolejnej porcji wierszy do *Nowej Kultury* odpowiedziała mi, że wkrótce wydrukuje mi kilka z nich, przy tym zapytała, czy należę do Związku Młodzieży Polskiej. Nie należałem. Nic już nie zostało wydrukowane z moich wierszy przez tę panią w *Nowej Kulturze*. Kiedy posłałem wiersze do *Dziś i Jutro*, natychmiast ukazała się cała kolumna moich wierszy, zaproszono mnie do Warszawy, i kiedy stwierdzono, że jestem obdarzonym bez zawodu, dano mi stypendium, które miałem co miesiąc przez bodaj dziesięć lat. Kiedy byłem w wojsku, moja żona i syn, mieszkający w łódzkich *slums*'ach, byli na dnie nędzy — to stypendium trzymało ich przy życiu. W roku bodaj 1961 odrzuciłem przedstawioną mi propozycję wstąpienia do Stowarzyszenia PAX, ponieważ nie cierpię należeć gdziekolwiek. Może był to zawód dla moich protektorów, ale rachunek wyrównałem, gdyż w ostatnich latach PAX zarobił na moich dwóch książkach kilka milionów złotych. To wszystko, co mogę powiedzieć na temat moich związków — pośrednich, bez żadnego kontaktu osobistego — z panem Bolesławem Piaseckim. Wdzięczność za pomoc ówczesną uczciwie zachowam na zawsze.

Po szóste — czy jestem nacjonalistą? Hm. Jestem chyba cholernie zajadłym Polakiem. Uważam Polaków za naród ludzi zdrowych, silnych, ładnych, trzeźwo myślących, inteligentnych, zdolnych, zmyślnych, bystrych, cwanych, dowcipnych, ostrych w walce — naród, którego żaden bałagan, żaden system, żadne represje nie skurwią, nie upodlą, nie zdepczą; to naród, który najpiękniejszych spośród siebie zbyt często oddaje na pastwę historii, oni giną w powstaniach, w zrywach szalonych, w więzieniach, w wojnach przewalających się bezrozumnie — naród uporczywie pozbawiany przewodników, naród jak młoda trawa, deptana przez tabuny dzikiego bydła ze Wschodu i Zachodu, podnosząca nieśmiało z kurzu i błota swoje słabe kielki, naród, któremu nikt nie pozwoli

w tym okrutnym świecie na złapanie hausta wolności, na okrzepnięcie w niej, na wyrośnięcie w las nie do wybicia.

O, tak, w marzeniach to ja jestem nacjonalista. A co zrobić z tą nienawiścią do brudasów, chamów, gnojków, tchórzy, sobków, egoistów, do tych Polaczków skwaśniałych w wódczanym smrodzie, co zrobić z rzeczywistością czarną jak pysk pijanego węglarza, wciskającą się przez wszystkie szpary, wywalającą futryny w domku złotych marzeń? A co zrobić z tępą twarzą tłumu, już nie twarzą, tylko dupą z uszami, której system nawet uszy chce obciąć zardzewiałą partyjną brzytwą?

Dobrze wiem, jaka jest dziś nasza ojczyzna, znam jej rachunek krzywd, dobrze wiem, jakich ma ludzi — i wierzę w tych ludzi, w trzydzieści trzy miliony młodych, coraz młodszych ludzi, którzy muszą, muszą zerwać z siebie ciasny, wstrętny worek idiotycznego systemu.

Ja nie wiem, co to jest nacjonalizm. Trzeba zajrzeć do słownika wyrazów obcych, lub zapytać kogoś, najlepiej kogoś obcego.

Oto kim jestem i kim nie jestem, Szanowna Pani. Czy jeszcze Pani się dziwi, że napisałem tę książkę, która Panią oburzyła, i wprowadziła w błąd? Napisałem ją na własny rachunek. I napisałem ją bez cudzej pomocy, zupełnie samodzielnie. Pogłoski, jakoby „Raport” napisał generał Mieczysław Moczar, są bezpodstawne: wystarczy porównać styl „Barw walki” ze stylem „Raportu”, by się o tym przekonać. W końcu czymś tam się różni fraza A. Brychta od frazy W. Zukrowskiego. (Lojalnie przyznaję, że na wielu konkursach czytelniczych „Barwy” zdobywały pierwszą lokatę, bijąc „Raport” o kilka tysięcy głosów. Ale bywało też odwrotnie).

Powierzchnowy czytelnik emigracyjny wychwycił z „Raportu” ryzykowne dowcipy na temat paru emigrantów (o, ironio losu, sam jestem emigrantem!), wychwycił błędy literowe w nazwach monachijskich ulic, podkreślił rzekomą bezczelność autora, porywającego się po czternastu dniach pobytu w obcym kraju na pisanie całego zbioru reportaży.

Powierzchnowi czytelnicy warszawscy, kierownicy partii przy Związku Literatów, wyczytali z „Raportu” sygnał mego całkowitego oddania się na usługi PZPR, wciągnęli mnie na listę kandydatów partii. (No, znowu tak nie namawiali, jakbym nie chciał, to bym kandydatem nie został, ale przyznam się, że byłem bardzo ciekawy, jak to jest być tym „partyjnym”, w moim przypadku pół-partyjnym. Był nawet moment, kiedy chciałem podjąć na serio wysiłek jakiejś bliżej nieokreślonej roboty wewnątrz organizacji, może coś proponować, może na coś wskazywać — naiwny! sądziłem, że tam komukolwiek na czymś zależeć, tej gromadzie nygusów, wałkoniących się, cudownie cynicznych, tak leniwych, że już nawet nie operujących frazesami; a jeszcze jak zobaczyłem ich

wszystkich w kupie, największych grafomanów Warszawy, jakieś postacie anonimowe, niegramotne, uległe i miękkie jak stado merynosów, zaganiane do sali przez szczekliwego jak brytan Pucia-Putramenta, jak mi się potem kumple zaczęli przyglądać podejrzanie, jak Hyniu Gaworski zaczął ode mnie pożyczać pieniądze, klepać po ramieniu i nazywać przymilnie: „Andriuszka”, no, pomyślałem sobie, warto było zostać kandydatem partii!).

Powierzchnowi czytelnicy wschodnio-niemieccy odczytali z „Raportu” moje niezaspokojone pragnienie spotkania „dobrego Niemca”, i zaproponowali mi zrobienie książki, oczywiście pochlebnej, o NRD.

Wielu było, jak widać, powierzchnowych czytelników.

Istotnie, piszę szybko, i z bezczelnością, właściwą ostrym zawodnikom. Uważam, że reportaż obiektywny nie istnieje. Uważam, że reportaż to walka, to krzyk, to mowa do tłumu. Dobry reporter nie cofnie się przed użyciem żadnego chwytu, od żałośnie tanich, do najbardziej perfidnych, jeśli tylko to przyniesie skutek, jeśli potrząśnie czytelnikiem. Inaczej w ogóle nie warto pisać, lepiej robić na drutach albo drapać się w tyłek. Wykorzystałem moje techniczne umiejętności po to, żeby wyrzucić moją małą, osobistą zemstę na tych sukinsynach, którzy zabili mi ojca, złamali życie mojej matki, którzy doprowadzili w końcu pośrednio do tego, że muszę uciekać z kraju, w którym nie mogę wykonywać swojego zawodu. Te ciosy były daremne. Nikogo nie dosięgnąłem z tamtych, nowi albo odnowieni oburzyli się straszliwie, krajanie uciśnięci przez komunizm wrzasnęli, że pies Moczara, Żydzi że to, cykliści że tamto. Wpadłem między wszystkie możliwe młoty i kowadła, a tych rzeczy w Polsce nie brakuje. A byłem, psia-krew, w momencie pisania tych reportaży zielony politycznie jak arbuż. Śmieszne, ale właśnie wtedy, w roku 66, zostałem na Zachodzie, gdybym nie był zakochany w mojej obecnej żonie, z którą wreszcie teraz wspólnie wyjechałem, i — zostałem.

Bardzo cenię tę swoją książkę. Od niej zacząłem patrzeć inaczej na wszystko, co mnie otacza. Nie moja wina, że ten tekst, w pewnym momencie, spełniał rolę rzeczywistego narzędzia propagandowego w celach, których przewidzieć nie mogłem. Wszystko zresztą da się nagiąć do pułapu interpretacji. To była książka sugestywna, zrobiona z gazem, dla czytelnika prostego, ludzie ją naprawdę czytali. Ba, czytają — w dniu wyjazdu z kraju otrzymałem listy od czytelników, dziękują mi za napisanie „Raportu”. Takich listów otrzymałem tysiące. Tylko duren powie, że pisali je urzędnicy pewnej instytucji w godzinach nadliczbowych. Nie. Pisali je ludzie, będący przeciwnikami każdej formy zniewalania naszego narodu. Ale żeby to zrozumieć, trzeba było mieszkać w Polsce aż dotąd, nie zaś czerpać wiedzę o reakcjach

społeczeństwa na Marzec i Grudzień z opowieści paru osób, nasmuchów radiowych i dokumentów.

Przez rok nie chodziłem na zebrania partyjne (w ogóle byłem tylko na trzech, w tym z dwóch uciekłem po pół godziny), wreszcie wezwano mnie przed oblicze egzekutywy, gdzie zostałem partyjnie opieprzony, następnie poinformowany, że zostanie przyjęty do partii już jako członek rzeczywisty. Następnego dnia złożyłem wypowiedzenie na piśmie, kategoryczne — choć na tyle śliskie, żeby oddalić nieco moment, w którym się zaczną represje, lub też je nieco złagodzić.

Odmówiłem też kategorycznie napisania choćby jednego słowa na temat NRD, mimo, że, też z ciekawości, pojechałem tam na blisko cztery miesiące.

Aż przyszedł czas, kiedy już nie mogłem wytrzymać. Na spotkaniach autorskich — a miałem je często, po kilka na tydzień, z tego się utrzymywałem — coraz odważniej mówiłem to, co myślałem. Byłem w każdym kącie Polski, donosy do wydziału kultury KC wpływały coraz gęściej, otrzymywałem ostrzeżenia od A. Syczewskiego, ówczesnego zastępcy Kraśki, a dziś wiceministra kultury, że jeśli nie przestanę krytykować naszej rzeczywistości, będzie ze mną źle. No i wreszcie wpadłem w Koszalinie; wywołałem tam, w klubie wojewódzkim Paxu, coś w rodzaju wieceu, trwającego kilka godzin. Inżynierowie, lekarze, nauczyciele dyskutowali na temat porządków w kraju z takim ogniem, że już wiedziałem: koniec mojej działalności demagoga anty-partyjnego, opłacanego z funduszków rad narodowych na upowszechnianie kultury.

Klub Paxu w Koszalinie zamknięto, ja otrzymałem zakaz druku i wystąpień publicznych na czas nieograniczony. Był to początek roku siedemdziesiątego. Zakaz druku mnie rozśmieszył — od dawna już nie napisałem nic, co by się nadawało do wydania w kraju.

Wreszcie zupełne osłupienie: czy naprawdę, żeby zwać z krzesła każdego kolejnego pachola, trzeba czołgów, krwi, śmierci zwyczajnych, szarych ludzi, chcących żyć, śmiać się, kochać, popić i pojeść, aż ciało samo odmówi posłuszeństwa? Ile to razy jeszcze mamy przeżywać, w kraju leżącym w Europie, tak wyniszczonym wojną, tak zintegrowanym etnicznie i religijnie? Czemu te skurwysyny, walczące jak psy o lokalską funkcję służenia czerwonemu panu, nie załatwiają tych spraw między sobą, jak normalni uczeni gangsterzy, spluwę pod żebra pan Y panu X, czemu naród ma płacić krwią za ich mafijne porachunki? Do diabła z takim ustrojem, z takim państwem! Zerwać plaster z ust, wypluć gips, napić się czystej wody!

Chcę pomóc moim bliskim, moim rówieśnikom, zasługującym

na los inny, niż ten, który ich czeka: wieczna szamotanina z wariatem, który zdrowego schwytał w kaftan bezpieczeństwa. Chcę robić to, co do mnie należy — pisać. Mogę to robić tylko tu, tylko po to tutaj przyjechałem. Zdumienie proszę sobie schować na powrót do główki.

Szanowna Pani Babciu, nie należę do ludzi, otwierających serce tak łatwo, jak puszkę sardynek. Proszę więc łaskawie docenić moje w tym kierunku starania. Zresztą, na koniec, ustawmy sprawę jasno i uczciwie: nie korzystam tu z Pani gościny, przeżęca mi wizja saloniku, pełnego zakurzonych bibelotów. Świat jest duży, pomieścimy się dość swobodnie. Będzie mi oczywiście miło, jeśli pozwoli Pani czasami złożyć sobie pełen szacunku ukłon.

Ach, nie ma już jej, nie ma! Podczas, gdy mówiłem, ulotniła się zwiewnie, zostawiając po sobie bladą, płowiejącą wśród spalin smugę zapachu, który skądś znam... Tak, to perfumy o nazwie „Warszawska dorozka”, kompozycja według recepty z wczesnych lat dziewiętnastych. O, więc jest coś, co nas łączy! Jaki żal, ach, miła Pani Babciu, kiedy się znów spotkamy? Czy przy wyrębie lasów na dalekiej szwedzkiej północy, czy w belgijskiej kopalni, czy na budowie autostrady w kanadyjskich ostępach? A może po prostu tak zwyczajnie, po ludzku, jak w Warszawie, tak i w Paryżu — przy kawce i beziku?



Dojmujące poczucie osamotnienia i pustki w jakimś obcym, nic mnie nie obchodzącym mieście. Dojmujące poczucie radości z szansy zrobienia tego, co chcę zrobić. Przejmująca obawa: czy to się uda, czy nie zacznę mnie wsysać bagno małostkowości tego wrzaskliwego życia, czy starczy zdolności i siły, czy wreszcie mój głos dojdzie tam, gdzie dojść powinien: do kraju. Szamotanina myśli i myślałek, chaos, pazurki strachu buszujące pod czaszką.

Początek emigracji to stan między śmiercią, a narodzeniem się na nowo, bez wyłączenia zgorączkowanej świadomości.

Dziwne sny: jakiś fragment szosy pod Rzgowem, przedstawienie w teatrze łódzkim, po którym byłem tak bardzo szczęśliwy, ulica warszawska, czyjś głos słyszany wyraźnie, tyle drobnych spraw niezłatwionych, „co robimy w niedziele?“, Zbyszek, Norbert, Alik, Darek... Żyję bardziej w nocy, niż w dzień. Kiedy tych ludzi zobaczę? Czy dobrze się stało, że znalazłem się tak daleko od nich? Czy wolno mi było poświęcać nasze wspólne życie dla osobistych ambicji zawodowych, dla tego raka zżerającego mnie od młodości: pisanie? Dla kogo ja to zrobiłem, tę ucieczkę?

„Spokojnie, spokojnie — powiada moja żona — przeżyjemy to. Początki zawsze są trudne”.

Słucham uważnie, uczę się tych słów. Bo za parę godzin ja powiem: „spokojnie, Ola, spokojnie. Przeżyjemy to jako”.

Bo za parę godzin pomyślę, że moja umiejętność pisania, i te wszystkie pomysły, wcale nie są moją własnością. I że musiałem wywieźć ten swój łeb, i ten cholerny sentymentalizm, i tę wściekłość, i pamięć — całe to zaczarowane lustro, z którego wyjdą na powrót wszystkie sceny i osoby w nim kiedykolwiek odbite, i będą żyć, rozmawiać z moimi bliskimi jeszcze wtedy, kiedy mnie nie będzie.

Tak, to był najwyższy czas, żeby wywieźć to lustro, które, zasmarowane brudną farbą, wkrótce rozpadłoby się w szary, skrzypiący proch.

Andrzej BRYCHT

LISTY CHOPINA do DELFINY

W OPRACOWANIU MATEUSZA GLIŃSKIEGO

Listy do Delfiny, odnalezione w 1945 roku w Polsce, zostały powitane z entuzjazmem, niebawem jednak została wszczęta przez A. Hedley'a (Anglia) gwałtowna akcja przeciwko ich publikacji ze względu na intymność treści i frywolność stylu niektórych ustępów, a w związku z tym podawana była w wątpliwość autentyczność korespondencji. Akcji tej oparł się energicznie Gliński i polemika („spór delfiński”) trwała długie lata, aż w 1967 roku ujawniony został fakt istnienia fotokopii oryginałów korespondencji i została dokonana ekspertyza, która ostatecznie i bezspornie ustaliła autentyczność listów.

Wydanie listów Chopina do Delfiny, uzgodnione z Międzynarodową Fundacją Chopinowską, zostało skonsultowane przez Polski Instytut Naukowy w Ameryce i zaaprobowane przez Fundację Kościuszkowską w Nowym Jorku.

Cena w przedpłacie — \$ 5,00 (F. 25,00 albo £ 2.2.0). Czeki należy wystawiać na CHOPIN PUBLISHING FUND i przysyłać pod adresem:

POLISH INSTITUTE OF ARTS AND SCIENCES IN AMERICA,
P.O. Box 623, Postal Station „A”,
TORONTO, ONT. (CANADA)

Zapiskane wczesnym rankiem

GODZINA

Jarzące słońce na liściach, gorliwe buczenie trzmieli,
Gdzieś z daleka, zza rzeki, senne gaworzenie
I nieśpieszne stukanie młotka nie mnie jednego cieszyły.
Zanim otwarto pięć zmysłów, i wcześniej niżeli początek
Czekały, gotowe, na wszystkich którzy siebie nazwą: śmiertelni,
Żeby jak ja wystawiali życie to jest szczęście.

LEKTURY

Zapytałeś mnie jaka korzyść z Ewangelii czytanej po grecku.
Odpowiem, że przystoi abyśmy prowadzili
Palcem wzdłuż liter trwalszych niż kute w kamieniu,
Jak też abyśmy, zwolna wymawiając głoski,
Poznawali prawdziwe dostojęstwo mowy.
Przymuszonym uwagą, nie dalszy niż wczoraj
Wyda się tamten czas, choć twarze cesarów
Inne dziś na monetach. Ciągłe trwa ten eon,
Lęk i pragnienie te same, oliwa i wino
I chleb znaczą to samo. Również chwiejność rzeszy
Chciwej jak niegdyś cudów. Nawet obyczaje,
Ucztę weselne, leki, płacze po umarłych,
Różnią się tylko pozornie. Na przykład i wtedy
Pełno było tych, których w tekście się nazywa
Daimonizomenoi, czyli biesujących
Albo i biesowatych (gdyż „opętanymi”
Język nasz ich mianuje z fantazji słownika).
Drgawki, na ustach piana, zgrzytanie zębami

Nie uchodziły wtedy za znamię talentów.
 Biesowaci nie mieli pism ani ekranów,
 Rzadko tykając sztuki i literatury.
 Niemniej przypowieść o nich pozostaje w mocy:
 Że duch nimi władający może wstąpić w wieprze,
 Które, zdesperowane tak nagłym zderzeniem
 Dwuch natur, swojej własnej i lucyferycznej,
 Skaczą w wodę i toną. Co wciąż się powtarza.
 I tak na każdej stronie wytrzymały czytelnik
 Dwadzieścia wieków widzi jako dni dwadzieścia
 Kres mającego raz kiedyś conu.

ECONOMIA DIVINA

Nie myślałem, że żyć będę w tak osobliwej chwili.
 Kiedy Bóg skalnych wyżyn i gromów,
 Pan zastępów, kyrios Sabaoth,
 najdotkliwiej upokorzy ludzi,
 pozwoliwszy im działać jak tylko zapragną,
 im zostawiając wnioski i nie mówiąc nic.
 Było to widowisko niepodobne, zaiste,
 do wiekowego cyklu królewskich tragedii.
 Drogom na betonowych słupach, miastom ze szkła i żeliwa,
 lotniskom rozleglejszym niż plemienne państwa
 nagle zabrakło zasady i rozpadły się.
 Nie we śnie ale na jawie, bo sobie odjęte
 trwały jak trwa to tylko, co trwać nie powinno.
 Z drzew, polnych kamieni, nawet cytryn na stole
 uciekła materialność i widmo ich
 okazywało się pustką, dymem na kliszy.
 Wydziedziczona z przedmiotów mrowiła się przestrzeń.
 Wszędzie było nigdzie i nigdzie, wszędzie.
 Litery ksiąg srebrniały, chwiały się i nikły.
 Ręka nie mogła nakreślić znaku palmy, znaku rzeki ni znaku ibisa.
 Wrzawą wielu języków ogłoszono śmiertelność mowy.
 Zabroniona była skarga bo skarżyła się samej sobie.
 Ludzie, dotknięci niezrozumiałą udręką,
 zrzucali suknie na placach żeby sądu wzywała ich nagość.
 Ale na próżno tęsknili do grozy, litości i gniewu.
 Za mało uzasadnione
 były praca i odpoczynek
 i twarz i włosy i biodra
 i jakiegokolwiek istnienie.

Czesław MIŁOSZ

O twórczości Sławomira Mrożka

I śmiejemy się obaj. I śmiejemy się z tego,
 że się śmiejemy. I z tego także, że... i tak
 dalej. Ale co jest pod tym ostatnim śmie-
 chem, na samym spodzie?

Sł. Mrozek: „*We młynie, we młynie,
 mój dobry panie*”.

Pisanie o Mroźku jest trudne m.in. dlatego, że jego twórczość stanowi zjawisko na skalę solidnej monografii, takiej jakie poświęca się pisarzom na dobre już zważonym, zmierzonym i policzonym, czyli w takim czy innym sensie zmarłym — tymczasem szczęśliwie Mrozek *is alive, and well, and living in Paris*, monografii więc na razie nikt nie zaryzykuje w obawie, że przed wydaniem jeszcze zostanie zdystansowana przez sam przedmiot rozprawy. A krótkie szkice na ten temat będą siłą rzeczy za krótkie, to znaczy powierzchowne. Szkic niniejszy powstał z zamiaru omówienia nowszej twórczości Mrożka, trudno dostępnej w Kraju* — szybko jednak okazało się, że trudno pisać o twórczości nowszej nie cofając się do dawniejszej, to znów wymaga poruszenia pewnych kwestii ogólniejszej natury, to znów — patrz wyżej. Tekst ten jest więc tylko pewną ilością refleksji, podjętych za stanowiska dość uważnego czytelnika Mrożka, jakim jest niżej podpisany, nie zaś — fachową analizą polonisty, jakim niżej podpisany nie jest.

Twórczość Mrożka stanowi intuicyjnie wyodrębniałną całość;

* *Dwa listy i inne opowiadania* — Instytut Literacki, Paryż 1970 (Biblioteka Kultury, tom 188); *Vatlav* — A Play in 77 Scenes (Translated by Ralph Manheim) Grove Press, Inc., New York 1970; *Szczęśliwe wydarzenie* — Sztuka w trzech aktach. *Kultura* Nr 5 (284), 1971 (Paryż).

mówi się „sytuacja jak z Mrożka”, „Mrożka typ humoru”, itd., głównym więc przedmiotem tych refleksji będzie próba określenia, na czym ta specjalna jakość polega. Nie sądzę, że takie wyjaśnienie wiele może pomóc w tzw. lepszym rozumieniu autora — nie twierdzę, że ja właśnie rozumie go lepiej niż inni, ponadto jak zauważył Rabindranath Tagore: nie przez oskubanie kwiatka poznaje się jego piękno — ale próby racjonalnej analizy zjawisk intuicyjnie oczywistych są *primo* interesujące, bo zawsze ciekawe jest zajrzeć „co jest w środku” (lub też: „na samym spodzie”), *secundo* — często pozwalają dostrzec coś nowego w nas samych, tych intuicji doznających.

Pierwszą rzeczą jaka narzuca się, gdy myślimy o twórczości Mrożka, jest oczywiście śmieszność. A więc pierwszym przedmiotem tych refleksji będzie: co to jest śmieszność?

Śmieszność jest własnością przedmiotu drwiny. Dla zaistnienia śmieszności potrzebne są dwa bieguny: śmiejący się i „śmiany”. Nie ma „śmieszności samej dla siebie” — choć bywa, że śmiejemy się sami z siebie. Śmieszność jest relacją, więc zdanie „X jest śmieszne” stanowi właściwie skrót zdania „X jest śmieszne dla Y”, w którym za Y podstawiamy siebie, albo jakąś określoną grupę ludzi, albo jakiegoś hipotetycznego „każdego”. W tym ostatnim wypadku właśnie zaniedbujemy wypowiedzianą pełną formułę, zakładając, że śmieszność danego X-a jest tak ewidentna, iż stanowi obiektywną własność, taką jak np. „czerwień”. Wszak mówiąc: „jabłko jest czerwone” nie dodajemy za każdym razem: „dla każdego, kto nie jest daltonistą”. Innymi słowy, na co dzień traktujemy śmieszność jako coś, co rozumie się samo przez się i jest odbierane za pomocą „zmysłu humoru”, niewiele — w tym ujęciu — odmiennego od zmysłu wzroku. A więc i daltonizm humoru traktujemy jako pewną ułomność, właściwą tylko pewnym, ułomnym właśnie, osobnikom. Można podnieść, że nie wszyscy ludzie śmieją się z tych samych rzeczy, tzn. dla różnych podstawień Y relacja śmieszności albo zachodzi, albo nie zachodzi, a ponadto ma różne stopnie natężenia — z grubsza jednak widać, że między pewnymi X-ami i pewnymi Y-grekami relacja ta zachodzi regularnie (choć niekoniecznie aktualizuje się w formie rechotu i bicia się po udach). Można więc zapytać: jakie są warunki konieczne i wystarczające, by relacja ta zaszła — lub prościej: kiedy X jest śmieszne?

Wydaje mi się, że warunkiem koniecznym jest raptowny spadek X-a w ocenie Y-greka: przedmiot śmieszności musi dobitnie wykazać swą niższość wobec tego, co Y-grek dotychczas o nim mniemał; nie jest to jednak warunek wystarczający. Drugim warunkiem, niezbędnym dla śmieszności jest brak i d e n t y f i k a c j i śmiejącego się z przedmiotem tego śmiechu

— w przeciwnym razie bowiem owo raptowe obniżenie się, wykazanie słabości itp. może wywołać reakcję solidarności i w s p ó ł - czucia; wówczas śmieszność nie zajdzie, lub zostanie osłabiona.

Opowiadano mi, że na pokazie filmu „Kanał” w Kairze publiczność arabska pokładała się ze śmiechu przy kluczowej scenie, w której oddział AK po dramatycznej przeprawie kanałami wychodzi na powierzchnię, nie wiedząc, że wylot obstawiony jest przez Niemców i że wszyscy wpadają w ich ręce; nie sądzę jednak, by świadczyło to o odmiennej konstrukcji arabskiego humoru *au fond*, lecz raczej, że odległość spraw, o których mowa w filmie, zablokowała tym widzom zdolność identyfikacji: świadomość, że oni w tej sytuacji byłiby (co najmniej) tak samo bezradni. Śmiały się tak jak my śmiejemy się ze straszliwych perypetii Mickey Mouse i Buster Keatona.

Wspólnym mianownikiem oceny pozycji X-a w różnych sytuacjach, a więc porównania tej pozycji z naszą, jest chyba s t o - p i e ń w o l n o ś c i, z jakiej my i nasz „przedmiot śmieszności” korzystamy. Śmiejemy się z osób, które nie wykorzystują w pełni przysługujących im normalnie możliwości. Jeśli przyjmujemy, że nasz „przedmiot” jest nam równy zakresem wolności, a przedmiot ten postąpi w sposób, który oceniamy jako tej wolności niewykorzystanie — z naszego punktu widzenia — zbędne, bzdurne, głupie, ś m i e s z n e właśnie — wówczas wybuchamy śmiechem. Człowiek zmuszony do biegu za strąconym przez wiatr kapeluszem bywa śmieszny, ponieważ — naszym zdaniem — s a m z a w i n i ł, a zatem się z nim nie identyfikujemy; zawiñił, bo np. w ogóle miał kapelusz (naszym zdaniem z b ę d n y — zwłaszcza jeśli sami nie mamy), lub ponieważ nie umocował go należycie (a t o n a l e ż a ł o z r o b i ć — m y w c i s n ę l i ś m y a ż na nos), itd. Śmiech zazwyczaj mija, gdy sami musimy gnać za naszym kapeluszem.

Klasycznym przykładem sytuacji komicznej jest przypadek Don Kichota, który spędził całą noc siedząc okrakiem na kamieniu, leżącym na łące — w przekonaniu, że zabrnął po ciemku na górski szczyt, otoczony przepaściami (łąka była podmokła i zrzucała przez niego kamyczki padały bez dźwięku, jak w otchłan). Jak przyzna każdy taternik, Don Kichot zachował się niezwykle rozsądnie — śmieszność jego położenia zachodzi więc tylko względem obserwatora, posiadającego *exterior knowledge* sytuacji i zakładającego, że „sam nie byłby taki głupi”, że Don Kichot w i n i e n b y ł rozejrzeć się, gdzie jest, jeszcze przed zmrokiem, itp. Zauważmy, że sedno tej sytuacji — zdeterminowanie działania przez brak odpowiedniej informacji — jest takie samo w wypadku Romea, zabijającego się nad ciałem martwej, jak sądzi, Julii. Różnica między komedią a tragedią leży więc w nastawieniu

widza — w jego zdolności identyfikacji, sterowanej jego oceną tego czy determinowanie (= ograniczenie wolności) działania jest obiektywnie konieczne (tragedia), czy zawinione przez samego bohatera (komedia).

Wyrażenie „obiektywnie konieczne” może wywołać protesty filozofów, podkreślam więc, że chodzi tu o subiektywną, w gruncie rzeczy, estymację tej konieczności; o to co uważamy za dostępny nam, jako przeciętnym ludziom, zakres wolności (w dziedzinie zdobywania informacji, sprawności intelektualnej i fizycznej, etc.). Często zakres ten przeceniamy, np. śmiejąc się na komedii filmowej ze zmagania Harolda Lloyda z łódką nad wodospadem — zapominamy wówczas, że przeciętnie jesteśmy dość sflaczali, a zatem że my sami w tej sytuacji leżelibyśmy już dawno na dnie wodospadu (co byłoby tragedią!).

Zaproponowane ujęcie śmieszności zdaje się sugerować, że śmiech jest przejawem dość nieładnej strony natury ludzkiej: *Schadenfreude*, wywyższania się nad innych, etc. Chyba nie tylko. Zauważmy, że drwina jest odwrotnością podziwu: śmiejemy się z kogoś lub czegoś, co ujawnia ograniczenia wolności; podziwiamy to, co uosabia większą wolność: odwagę, zręczność, rozum, nawet pieniądze. My sami zazwyczaj plasujemy się w sferze neutralnej tego co „normalne”, tzn. ani śmieszne, ani imponujące. Śmieszność jest w pewnym sensie poniżej tej strefy, podziw — powyżej. Zauważmy, że podziw blisko sąsiaduje ze strachem: coś, co nas znacznie przewyższa, może nam zagrozić. Wolność większa od naszej może każdej chwili pochłonąć naszą mniejszą wolność. Toteż raptowne zmniejszenie tego potencjalnego zagrożenia, redukcja cudzej wolności, powiększająca wolność naszą — przynosi ulgę. Nagle jest na świecie bezpieczniej, lepiej — i śmiejemy się, jak syte niemowlę. Nic np. nie sprawia większej satysfakcji jak wiadomość, że człowiek uchodzący dotychczas za uosobienie wszystkich cnót śmiertelnych — a zatem zagrożenie i kompromitacja naszych własnych niedoskonałości — urznął się, skandalicznie poprowadził i nabawił choroby wenerycznej. Nasz uprzedni podziw lub strach stanowią wciąż jeszcze skuteczną barierę dla identyfikacji, a więc wyrozumienia i współczucia, natomiast pojawiła się ulga — że opancerzony superman okazał się balonem, z którego uszedł gaz. Śmiejemy się.

Ironia jest czynną formą szyderstwa. Polega na pozornym udziale w śmieszności, prowizorycznym zredukowaniu własnej wolności do poziomu adwersarza, zstąpieniu w śmieszność, by ją tym lepiej wyreżyserować. Pozorność współudziału zazwyczaj bywa zaznaczana jakimś mrugnięciem w stronę obserwatorów, np. za pomocą przeszarżowania, nadmiernej skwapliwości, itp. Mrugnię-

cie znaczy: „my tak tylko, dla hecy”. Przy częstym powtarzaniu się ironii mrugnięcie może być coraz mniej zaznaczane, w końcu może go nie być zupełnie — bo obserwatorzy już przeszli na stałe na „odbiór ironiczny”. W tym wypadku wszystko będzie hecą, bo każdy gest inicjatora będzie uważany za „tylko tak, dla hecy”. Fernandel musiał kiedyś opuścić pogrzeb swego przyjaciela, ponieważ uczestnicy uroczystości zaczęli na jego widok chichotać.

Możliwe jest takie utrwalenie ironicznego odbioru, że nawet udział inicjatora stanie się zbędny — i każda sytuacja stanie się parodią samej siebie; cokolwiek dostrzeżemy, objawi nam się jako niekonieczne, kontyngentne, uwikłane i dziecinne wobec jakiejś hipotetycznej autonomii Koniecznego Bytu. Świat zmieni się w swą własną karykaturę. Karykatura polega przecież na zaakcentowaniu formy, a forma jest ograniczeniem, zamknięciem w „ta-kości-a-nie-inności”. Uwydatniając w karykaturze czyjś nos, podkreślamy jego — nosa — i tym samym jego właściciela — skrępowanie, zafiksowanie potencjalnie nieskończonej różnorodności wszelakich nosów w jedną tylko — niekonieczną przecież — formę. W gruncie rzeczy cokolwiek jest w jakiejś tam postaci, mogłoby być równie dobrze w innej, lub mogłoby tego nie być w ogóle — konieczność bytu jest nierozstrzygalną hipotezą; a więc sam fakt istnienia może się wydać śmiesznym skrępowaniem, a nieświadomość tego stanu rzeczy u jego przedmiotów — zabawną naiwnością. Docieramy tu do kresu, który wyzyskał Jacques Tati w swym filmie „Playtime”: nic się w nim nie dzieje, kamera rejestruje tylko fakt istnienia takich-a-nie-innych ludzi, demaskując kontyngentność ich bytu tak sugestywnie, że jeszcze po wyjściu z kina „rejestr ironicznego odbioru” się nie wyłącza i parskamy śmiechem na widok zwykłych przechodniów.

Warunkiem tego nastawienia — pańśmieszności, jakby to można nazwać — jest sytuacja bycia wyłącznie obserwatorem: normalna w kinie, nienormalna w życiu. Toteż na co dzień potrzebujemy lekkiego prztyczka, który by zwrócił uwagę na śmieszność, inherentnie zawartą we wszystkim co istnieje; przyzwyczajenie bowiem przytępia wrażliwość na formę. Często wystarczy jednak drobne tylko przesunięcie, np. klozet ze złota, zamiast z fajansu (pomysł Lenina), lub Świnia Pancerna w miejsce glinianej świnki-skarbonki (pomysł Mrożka), abyśmy odczuli rozmiar uwikłania (= braku wolności) tych przedmiotów w — niekonieczne przecież w sensie absolutnym — kształty, role i funkcje.

◆

Nie jest odkryciem stwierdzenie, że twórczość Mrożka i jego

typ humoru wywodzi się prosto z Polski. Znane okoliczności sprawy, że surrealizm w Polsce powojennej osiągnął bruku. Nie mam na myśli tylko tzw. nonsensów administracyjnych itp., lecz całość atmosfery w P.R.L. O zachwianiu poczucia normalności świata i rozluźnieniu związku słowa z rzeczą pisze wiele Staliński w „Cieniach w pieczarze”, powtarzać więc tego nie trzeba. Zwróćmy jednak uwagę, jak bardzo rozpleniły się tam różne pochodne śmiechu, choć odruch ten już niewiele ma wspólnego z zachowaniem sytego niemowlęcia.

Powiedziano wyżej, że śmiech jest objawem ulgi; rozpowszechnienie śmiechu w sytuacjach trudnych jest normalnym odruchem obronnym, adaptacją do trudności przy pomocy sztucznych nieco, ale bądź co bądź — ulg. Sytuacje łatwiejsze nie wymagają tyle śmiechu — lub raczej: nie takiego śmiechu — i dlatego np. Zachód w oczach przybysza z Polski wydaje się nudny i „bez fantazji”.

W Polsce śmiech brał się po wojnie z dwóch źródeł. Jednym jest to, co można by nazwać „humorem okupacyjnym” — śmiejąc się z ciemieżców osłabia ich grozę i łagodzi strach przed nimi. Tu należą kawały o Rosjanach, kolejnych figurach politycznych, etc. Drugie źródło otwarło się właściwie dopiero po wojnie, wraz z rosnącym poczuciem ubezwłasnowolnienia, spętania na co dzień, bezsilności — a więc z mimowolnym wrażeniem własnej śmieszności, lub nawet — co gorsze jeszcze — autopogardą. Polski humor nabrał cienkości i subtelności, kojarzonej dawniej tradycyjnie z humorem żydowskim — a więc powstał humor, typowy dla ludzi, uwikłanych w sytuacje narażające ich na częste upokorzenia, a zarazem tego uwikłania świadomych. Esencją tego humoru jest autoironia, która również ma funkcję obronną: obrony naszej godności osobistej. Autoironia ma na celu neutralizację, a nawet obrócenie drwiny obserwatora przeciw niemu samemu: „uważasz że jestem śmieszny — ale sam wiem o tym, więc jestem na tym samym poziomie co ty — więc przestaję być śmieszny — a nawet odwrotnie: to ty dałeś się nabrać, sądząc, że jestem tak naiwny, że...”, etc.

Tylko w atmosferze takiego humoru mógł powstać i zostać prawidłowo odebrany arcy-dowcip Wilama Horzycy z czasów szczytowego nasilenia stalinizmu: „*Stalin — to wielkie dziecko...*”. Można by rzec: w tym dowcipie jest już zawarty cały „problem Mrożka” — gdyby nie oznaczało to zastępowania jednej intuicji drugą. A właśnie nie o intuicje, a o zrozumienie w tych refleksjach chodzi.

Otóż te dwa źródła wydały nie tylko pewną ilość dobrych dowcipów, ale przede wszystkim wytworzyły stały odruch „odbioru (i nadawania) ironicznego”. Częściowo z konieczności, czę-

ściowo z upodobania wytworzył się i utrzymuje zwyczaj porozumiewania się niedomówieniami, aluzjami, „mówienia przypowieściami”. Każda wypowiedź stała się potencjalnie wieloznaczna: bo można ją wziąć *prima facie* lub ironicznie, do wyboru. W niektórych kręgach *sit venia verbo* intelektualnych mania ta przeszła normalne granice i wręcz nie wypada mówić o czymkolwiek wprost i na serio, bo naraża to na podejrzenie o prostoduszność i „brak inteligencji”. Drobnym lecz charakterystycznym przykładem tej orientalizacji duchowej — bo cała ta zabawa słowno-myślowa jest typowo orientalna, por. choćby Biblię — może być rozpowszechniony ponad rozsądną miarę obyczaj stosowania co krok cudzysłowów. Ponieważ w podminowanym świecie każda rzecz może każdej chwili wylecieć w powietrze — lepiej się nie angażować. To nie ja mówię, to kolega; ja tylko cytuję... W razie jakiegokolwiek eksplozji zawsze można zrobić minę, jakby się ją już od dawna przewidywało. „*Nas z Krakowa nie nabiorą. Krupczakowski. Trzetrzewiński*”.

Stąd też gust do stylizacji, pastiszu, *fin de siècle'u* — do świata w cudzysłowie. W tej atmosferze tzw. typ humoru Mrożka wisiał w powietrzu, i nie wyczerpał go Gałczyński — jednak zbyt mało intelektualny. Nie twierdzę, że w Polsce roilo się od Mrożków — na skryształowanie tego widzenia świata w dokonanie trzeba było jego miary talentu — ale roilo się i roi od dobrych cytelników. „A to nastraja i to podnieca” — mówiąc słowami Tuwima.

Nie chcę tymi stwierdzeniami umniejszyć mrożkowej zasługi — jego ogromną zasługą jest postawienie na ten właśnie „cerebralny” składnik atmosfery, o której mowa — chce tylko podkreślić, że twórczość Mrożka ma więcej normalnych, tzn. w realnym świecie tkwiących korzeni, niż się to na pierwszy rzut oka wydaje, zwłaszcza na bardziej do jednoznaczności przyzwyczajonym (= „naiwnym”) Zachodzie. Świat Mrożka jest pod wieloma względami projekcją świata polskiego: przeciętnego Polaka nie zaskakuje nadmiernie fakt, że w skromnej nawet łazience może załęgnąć się tygrys, w sposób właściwie wynikający z tkwiących w naturze rzeczy możliwości („*drogą ewolucji z wysoko zorganizowanej pasty do zębów*” — *vide* „*Męczeństwo Piotra Oheya*”), że Król Edyp każdej chwili może, bez względu na wiek, zasługi i nieapetyczność, zostać wypier..lony (*vide* „*Vatzlav*”), i że „ci, co mnie niosą” zawsze mogą postawić kanapę przy drodze i przestać nieść („*Ci, co mnie niosą*”). Alegoria — lub to co przywykło się traktować jako alegorię — może pozostać nawet nie w pełni przekładalna na język codzienny (jak choćby owo „niesienie”); w tej tonacji nie będzie dysonansem. Mało kto będzie domagał się wyjaśnień „co autor miał na myśli”. A to dobrze i źle zara-

zem. Złe, bo utrwała pewne stereotypy. Jednym z nich jest sąd, że Mroźek jest satyrykiem. Nie jest to moim zdaniem słuszne; może: już nie, może: nie tylko.

Mroźek pisze właściwie ironiczne bajki. Bajki te bywają podobne, lecz bynajmniej nie tożsame z „otaczającą nas rzeczywistością” (cudzysłów przywieziony z Polski). Bajki te ociekają drwiną z ludzi, ich spraw i zachowań, ale nie jest to ich głównym celem — satyra jest w pewnym sensie produktem ubocznym, o czym niżej. Te sprawy i zachowania zostają wydrwione przez sam fakt, że znalazły się w ironicznym kontekście — zauważmy, że Mroźek rzadko szarżuje — a znalazły się tam jako elementy kompozycji, nie zaś obiekty „chłostania biczem satyry”.

Ironiczność — owo mrugnięcie do odbiorców — uzyskuje Mroźek przez sięgnięcie do rzeczy skądinąd znanych, które stają się groteskowe dopiero przez zmianę położenia w świecie, por. np. stylizację językową bohaterów — ich kwestie „same w sobie” są często „normalne” i w innym kontekście wzięte zostałyby na serio. Jest to ożywienie archetypów: odnajdujemy je już w „Alicji w Krainie Czarów”, gdzie ozywają postacie znane wszystkim angielskim dzieciom z dziecinnych wierszyków; por. u Mroźka choćby tytuł „We młynie, we młynie, mój dobry panie” (nie mówiąc już o stylizacji językowej tego opowiadania!), metaforę „Indyka” i liczne archetypy ludowo-obsceniczne (jak „bicie konia” w „Kynologu”, czy wspomniany już los Króla Edypa).

Można sobie wyobrazić sztukę Mroźka, osnutą np. na wierszyku:

*Siała baba mak — nie wiedziała jak;
Dziadek wiedział, nie powiedział,
Za to potem w kozie siedział.*

Sądzę, że Mroźek potrafiłby z tego wyczarować rodzaj groteskowego „Procesu” Kafki (przemówienie Prokuratora na rozprawie Dziadka: „...jednostka, uprawiająca nie tylko zbrodniczy sabotaż gospodarczy, hamująca postępy agrotechniki w naszej ojczyźnie, lecz i czynnie występująca przeciw rosnącej aktywności zawodowej kobiet, która...”), wywołujący nie tylko tzw. salwy śmiechu, ale i stale w jego świecie obecny dreszcz grozy.

W tym właśnie miejscu kończy się przejrzystość *kunstgriff*ów, a zaczyna „przedziwna sztuka”, polegająca na takim dozowaniu obu komponent śmieszności: kompromitacji i nie-identyfikacji, by rzecz utrzymać w stałej ambiwalencji. Na „Karolu” np. wręcz ciarki chodzą po kościach i nie wiadomo, czy Okulista nie staje się chwilami postacią z greckiej tragedii. *I mean it.*

Temu służy też mroźkowa precyzja psychologiczna: opis np. kłopotów psychicznych człowieka ubranego, lecz w skarpetkach

tylko, który znalazł się nagle w nieznanej okolicy, jest tak celny — i tak znany każdemu, choćby ze zmorowatych snów (u Mroźka jest dużo z techniki marzeń sennych!), że nieuchronnie nasuwa się myśl o tym, że i n a m się to może każdej chwili przytrafić. Narrator z opowiadań Mroźka jest Józefem K. — tyle, że w pierwszej osobie.

Śmiejemy się, ale śmiejemy się z siebie — na wyrost. Toteż ten śmiech nie przynosi ulgi. Przeciwnie: odkrywają się nowe obszary możliwego uwikłania, a my już wiemy, że śmiech nie jest żadną *katharsis*.

By zbliżyć się do tego, co jest „*pod tym ostatnim śmiechem, na samym spodzie*” posłużmy się słowami narratora z przepięknego — tak po prostu — opowiadania „We młynie”: rzeka przyniosła zwłoki wszystkich, którzy kiedyś, jakoś, weszli w jego życie, on je pogrzebał, aż tu rzeka przynosi jeszcze jedno ciało: jego własne.

Wobec tamtych znajomych, których do tej pory przynosiła rzeka nie miałem dotąd poczucia winy, najwyżej odczuwałem coś w rodzaju obowiązku, żeby z nimi coś potem zrobić, obowiązku, którego zresztą [...] nigdy nie udało mi się ani wystarczająco określić, na czym on polega, ani tym bardziej zadawałaję wypełnić. Ale co do ich początku, jeśli za początek przyjmiemy to, skąd się brali tam, w górze rzeki, nie miałem z tym nic wspólnego. To rzeka topiła ich, przynosiła, ja tylko czekałem na nich przy śluzie i to wszystko, pod tym względem przynajmniej miałem czyste sumienie. Ale teraz okazało się, że ja też tam kiedyś byłem, tam, w górze rzeki, jaką więc miałem gwarancję, że nie brałem udziału w tym co się tam działo, a na skutek czego oni ku mnie płynęli, martwi? Co ja tam robiłem, jak się zachowywałem?? Jeżeli nawet nie byłem współnikiem tego spławiania, a skąd to wiadomo, to czy broniłem ich, próbowałem ratować? Jaka tam była moja rola, czy całkiem czysta, niewinna,

[...]

Nie, nie bałem się niestety mojego trupa, ale bałem się teraz czego innego — tego właśnie, co działo się w górze rzeki. I nie tylko ze względu na moją niewinność. Bałem się całkiem po prostu tego, co sprawiło, że zatopiony, spławiony, zostałem także i ja. To naturalne: dopóki chodziło o innych... A musiało to być coś ode mnie — i od nich — niezależnego — bo przecież nie do pomyslenia było, że to ja sam, na umyślnie, wrzuciłem siebie do wody, tam, w górze, a potem pobiegłem szybko w dół, szybciej niż prąd, żeby na siebie oczekiwać i siebie wyłowić. Coś mnie wrzuciło, więc coś, co nie było mną, więc czego musiałem bać się przez odwrotność tej samej zasady, na której nie bałem się swojego swojskiego trupa.

Mój trup był okrętem, na którym przypłynął strach i poczucie winy. Smętni pasażerowie.

Jeszcze co do winy, łatwiejsza sprawa. Przyszło mi do głowy, że mogę ją odkupić strachem. (Ale czym odkupić strach?).

Zatrzymajmy się przy tych słowach: wina i odkupienie. Są to pojęcia kluczowe dla tego, co potocznie nazywa się problematyką

moralną, z nią zaś wiąże się *gros* literatury od pewnego poziomu wzwyż. Problematyka moralna, czyli: zagadnienia dobra i zła, czyli: pewna klasyfikacja zjawisk. Powiem od razu do czego zmierzam: do wykazania analogii między dwoma „ogładami” świata: moralnym i — brak na to terminu: — z punktu widzenia „śmieszności”, *ridicULARIA*.

Podniosłem wyżej relatywność właściwości bycia śmiesznym — jest to bowiem atrybut przedmiotu przez kogoś wartościowanego. To samo odnosi się do kwalifikacji „dobry” i „zły”. Z góry przyjmuję zarzut tzw. relatywizmu moralnego: kwalifikacja „dobry/zły” jest względna, bo wbudowana w nasz język stanowi jedynie skrót formuły „X jest dobry dla (czy: z punktu widzenia) Y” — za Y można podstawić jednostkę („Jak Kali ukraść krowę, to dobrze...”), jakąś grupę („dobre dla narodu, (partii, ludzkości”), lub metafizyczny absolut — Istotę Najwyższą, Historię, etc. Trudność leży w tym, do czego relatywizować. Zdawał sobie z tego sprawę Kant, opierając swój kategoryczny imperatyw na relatywizacji względem człowieka w ogóle — bez rozbicia na „ja”, „ty”, „on”. To samo wyraża starsze sformułowanie: „miłuj bliźniego swego, jak siebie samego”, a także przysłowie: „nie czyń drugiemu, co tobie niemiło”.

Rozwodzę się nad tym dla podkreślenia wagi zasady identyfikacji w przyjętych systemach moralności. Identyfikacja zaś wyznacza zarówno obszar tego co „dobre lub złe” — Y-grek ocenia tu postępowanie X-a względem drugich, t a k i c h j a k o n s a m; jak i tego co „imponujące lub śmieszne” — ocenia on postępowanie X-a względem siebie samego z punktu widzenia tego co jest „normalne” — dla Y-greka i innych t a k i c h j a k o n (normalność jest przeciętną). Nie trzeba dodawać, że obie dziedziny zajmują się oceną sposobu korzystania z wolności.

Te dwa podziały mogą być niezawisłe: ktoś może być zakwalifikowany równocześnie jako „dobry” (*plus* na pierwszej skali) i „śmieszny” (*minus* na drugiej skali); np. ktoś, kto dał się naciągnąć na zbędną jałmużnę.

Obydwie skale wartościowania zjawisk — chciałoby się rzec, i mawia się: instynkty — stanowią normalne wyposażenie normalnego człowieka. Obydwie pełnią w społeczeństwie funkcję normatywną: by zostać pełnoprawnym członkiem jakiejś grupy, trzeba zdać egzamin (zazwyczaj automatyczny) zarówno ze swej „nie-złości” jak i „nie-śmieszności”. Funkcjonalnie pierwszy egzamin jest ważniejszy: „złość” jest bowiem postawą aktywną i może szkodzić grupie, podczas gdy śmieszność jest bierna i dotkliwa tylko dla jej nosiciela. Stąd nierówna pozycja obu skal: moralności i owych *ridicULARIA*. Nic więc dziwnego, że większa waga spo-

łączna spraw etycznych i ich odbicia w świadomości (problemy winy i odkupienia) przeniknęła i do literatury.

Nawiasem wtrąć, że negatywną stroną tej bujności śmiechu w PRL, o jakiej wspominałem wyżej, jest dość wyraźne naruszenie tej naturalnej hierarchii: dobry kawał w pewnym sensie — i w oczach pewnych ludzi — o d k u p u j e niedobry postępek; dosłownie można się w y k p i ć z pewnych wątpliwych moralnie pociągnąć.

Literatura winna chyba zachowywać hierarchie istniejące w życiu. Ale domagamy się też od niej pełności. I z tego punktu widzenia eliminacja lub nie branie pod uwagę *ridicULARIA* jest zubożeniem. Dam przykład takiego zubożenia.

U Kierkegarda — chyba w „Pamiętniku uwodziciela” — jest scena, w której narrator (autor) wypływa samotnie łódką na morze, po czym — jak opowiada — kładzie się na jej dnie (nie zakotwicząc) i patrząc w rozgwieżdżone niebo snuje refleksje, których jakości czas do dziś nie podważył i figurują w dziełach różnych egzystencjalistów, przeważnie francuskich. A ja, czytając, nie mogłem się skupić, bo przeszkadzał mi obraz brodatego pana w surducie (wiek XIX) na dnie łódki, gdzie zazwyczaj znajduje się trochę wody; a poza tym — jak on wpęłił pod ławeczkę? a jeśli nie było ławeczki, to jak wiosłował, i w ogóle — co z łódką, przecież zdryfuje?! Piszę o tym nie dla wygłupu, tylko dla zilustrowania potrzeby (instynktu!) uwzględniania i tej kategorii rzeczywistości.

Powie kto, że nie potrafię wczuć się w XIX-wieczną konwencję, która śmieszności nie uwzględniała, a jeśli tak, to osobno, jako „humorystykę”. Ale przecież rozwój literatury jest właśnie zmianą konwencji, a chyba jedną z głównych funkcji społecznych — a także tzw. poznawczych — śmieszności jest zapobieganie wrastaniu konwencji w życie (w tym sensie jak paznoknie mogą wrastać w skórę). Uświadomienie sobie nadmiernej „takości-a-nie-inności” np. stylu czy poglądów, uświadamia nam, że posługujący się nimi uwikłał się (tj. zaczyna być śmieszny) i że pora na coś więcej.

Tym „czymś więcej” XX-wiecznej literatury jest chyba właśnie wprowadzenie ironii i rzeczy pokrewnych nie jako ozdobnika, lecz uzupełnienia. Gombrowicz napisał gdzieś w swym „Dzienniku”: *Domagałbym się cnót nie budzących śmiechu*. Coś podobnego wyraził przed nim Irzykowski, podnosząc wartość „cynizmu” Witkacego, którym ten poddawał wszystko próbie na wytrzymałość.

Cudzysłów przy słowie: *cynizm* zaznacza mój sprzeciw przeciwko nazywaniu tak postawy uwzględniania śmieszności. Jeśli słowo „cynizm” znaczy cokolwiek — nie zaś, jak utrzymuje jeden

z mych przyjaciół, zostało jedynie wymyślone przez obłudników — skłonny byłbym je kojarzyć z postawą wyłączenia obu instynktów: i moralnego i „śmiesznego”.

Irzykowski — Witkacy — Gombrowicz — i Mroźek, dodajmy od razu; polska literatura nieźle obrodziła przedstawicielami — i współtwórcami — tego *novum*: uzupełnienia o wymiar ironiczny. Każdy z nich wniósł coś swojego: Irzykowski — wizję świata „pałubicznego”; Witkacy — fantastykę jako instrument poznania rzeczywistości, nie zaś wehikuł ucieczki przed nią; Gombrowicz — świadomość obiektywnego istnienia tego *pomiędzy*, które wytwarza się wśród ludzi. Wszystkich ich łączyła wrażliwość na śmieszność — i nawet zamiłowanie do kawałów. (Dla przypomnienia: bohater „Snów Marii Dunin” Irzykowskiego martwi się gdzieś na marginesie, ponieważ mu „stłuczono cenną umbre, dar hrabiego Umbrii”).

Mówiąc, że Mroźek jest spadkobiercą i kontynuatorem tych trzech, mam na myśli nie „wpływowość” (choć kwestia wpływów Gombrowicza jest otwarta — osobny rozdział w monografii, która Mroźka niewątpliwie nie minie!) — a właśnie parantele i spadek.

„Pałubiczność”, fantastyka, ferdydurkowatość u Mroźka — to spadek, choć rzeczy te dotarły raczej drogą osmozy, a nie wybrane zostały świadomie z odpowiednich ksiąg. Chcę przez to powiedzieć, że rodowód Mroźka i jego czytelników należy zapewne cofnąć wstecz — a więc poszukać zawiązków tej surrealistycznej atmosfery, która sprzyja i pisaniu i czytaniu tej twórczości, znacznie wcześniej. Znaleźć je byłoby pewnie nie trudno: Witkacy cierpiał na wyraźną obsesję apokaliptyczną, wywiezioną z rewolucji rosyjskiej; Gombrowicz — jak wskazał Miłosz — był prostą nieomal konsekwencją anachronizmów socjalnych (dwór polski!); Irzykowski — zapewne — takichże anachronizmów kulturalnych i obyczajowych, *vide* jego stałe biadanie nad „wtórnością” polskiej literatury. Zadr w świadomości, niepokoju w powietrzu, wrażenia, że świat jest podminowany — jak się zdaje nigdy w polskim życiu nie brakowało, choć nie zawsze przenikały do literatury.

W wypadku twórczości Mroźka nie tylko przeniknęły, lecz wypełniły ją po brzegi.



Powiedziano wyżej, że zasadniczym rysem tej drogi rozwojowej literatury, na której znalazła się twórczość Mroźka, jest nałożenie kategorii *ridicularia* na prostą klasyfikację „dobry: zły”. Mieści się tu zarówno wspomniana uwaga Gombrowicza o „cnotach nie-śmiesznych”, jak i spostrzeżenie Irzykowskiego, że *człowiek głupi nie może być naprawdę dobry*. „Głupota” w tym

ujęciu nie ma charakteru obelgi — można ją zastąpić wyrażeniem „niepefna świadomość”. W tym nowym „ogładzie” świata, o którym tu mowa, ta strona kondycji ludzkiej nabiera wagi (i nabrzmiewa konsekwencjami) grzechu pierworodnego — choć nie wszyscy (właśnie z uwagi na charakter „nieświadomości”) zdają sobie sprawę z jego istnienia. Proponuję rozważenie następującego fragmentu refleksji narratora z „Monizy Clavier”, patrzącego na Monizę i równocześnie na plakat, który ją przedstawia:

... *nizszość, gorszość prawdziwej Monizy od jej wyobrażenia uratowała częściowo mnie i ją. Bo jednocześnie z owym plugawym zawstydzieniem i złością powstał we mnie bunt przeciwko tyranii tamtej, z włosami rozsypnymi na murze, ze śnieżnym uśmiechem i czerwonymi wargami. Potrzeba odnalezienia się wobec jej przemocy, jej przyciągania równie silnego, jak jej nieosiągalność. Kto wie, czy nie odezwała się we mnie solidarność żywej istoty, równie skazanej, bo tak samo żywej, jak ta, co stała przede mną. Może właśnie jej bezbronność wobec tamtej rywalki idealnej mnie wzruszyła — i to, że tylko ja sam wiedziałem o tej bezbronności. Poczułem się więc zobowiązany, jak człowiek który, zaskoczony w górach przez burzę, uświadomi sobie, że jest najsilniejszy spośród swoich towarzyszy i chce nie chcąc musi wyprowadzić siebie i drugich z nieszczęścia. W tej sytuacji we troje nie było nikogo poza mną, kto by musiał wziąć na siebie odpowiedzialność. Moniza żywa o niczym nie wiedziała, Moniza z plakatu była poza światem żywych i uśmiechała się tylko. Pozostawałem ja sam.*

Zdają sobie sprawę z elementu bezczelności, zawartego w wyszukiwaniu cytatów i przedstawianiu ich autorowi do zdyskontowania — nie twierdzą więc, że jest to deklaracja ideowa Mroźka. Ale fakt, że te słowa o solidarności i odpowiedzialności zostały napisane dowodzi, że pod „tym ostatnim śmiechem, na samym spodzie” kryje się coś innego, niż jeszcze jeden śmiech, ostateczny. Bo w tym wypadku — nie zostałyby napisane. Drwina, śmiech — i związane z nimi okrucieństwo (= odmowa identyfikacji, w s p ó ł czucia) — tracą na tym tle swój charakter *person to person*. Śmiech jest tylko jedną z możliwych reakcji na coś bardziej zasadniczego, na coś, co dzieje się *tam, w górze rzeki* i dotyczy jednakowo wszystkich istot *tak samo skazanych, bo tak samo żywych*. Rzecz idzie po prostu o To Co Jest.

Mroźek jest jansenistą. Dla jansenisty świat jest zawsze ustawiony „za nisko” względem jakiegoś przeczucialnego stanu idealnego, człowiek — zawsze poniżej Bóstwa, jedyne bytu adekwatnego, a więc godnego; zatem nieadekwatność i niegodność są normalną kondycją rodzaju ludzkiego, a jedyną nadzieją — Łaska. W mroźkowym świecie nie ma zaś łaski — jedynie wszechogarniające uwikłanie. Śmiech jest alternatywą rozpaczy. Toteż nic dziwnego, że ten śmiech nie jest radosny.

Kondycją człowieka jest „heteronomiczność” — człowiek jest wprawdzie sam (*vide* absolutną samotność narratora mroźkowych

opowiadań), ale nie stanowi samoistnej „essencji”: do jego istoty należy bowiem nie tylko to, czym jest dla samego siebie, ale i to, czym jest dla innych; a także to (kolejne odbicie w lustrze), czym sądzi, że jest dla innych, itd. Poprawiając jedno odbicie, psuje tym samym drugie; równowaga (czy też: autonomiczność) jest z natury rzeczy wykluczona; oddajmy głos samemu Mroźkowi:

O ile można odmierzać sobie stopień uwagi udzielanej nam przez ludzi: kochają, lubią, szanują, o tyle z miejscami sprawa ciężka. Prawdopodobnie w ogóle nas nie dostrzegają, ale kto ich tam wie. I może właśnie ta niepewność zmusza nas do wysiłku, do popisywania się przed tymi miejscami, może dlatego tym bardziej łakniemy z nimi pobratania. Można założyć, że uda się nam uzyskać najwyższe napięcie i najbardziej pochlebny gatunek uwagi ku nam ze strony wszystkich ludzi na świecie. Zostawszy królem świata nie mamy już nic do roboty, jak tylko spakować dostatnie walizki i pojechać do jakiegoś miejsca, na którym nam szczególnie zależy, żeby nas uznało, do miejsca, któremu niegdyś przysięgliśmy rewanż. Niekoniecznie muszą to być piramidy, albo kolosalne wodospady. Może to być jakiś niczym nie wyróżniający się, ale jednak osobliwy, prowincjonalny park, zapamiętany dla jakichś przyczyn jeszcze z dzieciństwa, albo z lat późniejszych. Jakaś ulica, albo pagórek, za którym trochę inaczej niż zwykle zachodziło słońce. Tam dopiero zaczynają się podboje. Stańmy, usiądźmy, ustawmy się bokiem, tak, owak, lewa noga naprzód, a to prawa — i nic, albo ściślej mówiąc, nie nie wiadomo. Trzeba by coś uchwycić, nad czymś się zastanowić, a tu nie wiadomo nawet dokładnie nad czym. Nie ma już dookoła ludzi, nawet my sami wydajemy się sobie kłopotliwi. Jak tu mówić o miłosnym zawołaniu, o sprzymierzeniu się, kiedy nagle my sami zaczynamy sobie zawadzać, my sami dla siebie zaczynamy być tym małym kuzynem panny, który siedzi z nami i z nią razem w tym samym pokoju i chciałoby się dać mu parę groszy na kino. A jeżeli się usuniemy, to nas nie będzie. Trudna sprawa.

Może są ludzie, którzy nie zapędzają się aż tak daleko. Jednak jest to różnica tylko w dalekowzroczności pożądań, nie w samych pożądaniach. Takim chyba jest lepiej. Nie widzą, że nawet gdyby udało im się załatwić sąsiadów, to i tak czeka ich następnie kłopotliwa przeprawa z kamieniem, albo z jakąś mizerną kupą patyków.

(„Moniza Clavier”)

Zależność od Formy — tak akcentowana już u Gombrowicza — zostaje tu doprowadzona do ostatecznych konsekwencji, absolutnego i nieodwołalnego wszechuwikłania. Bo nie chodzi tylko o świat zewnętrzny: wszak samo życie jest towarzyszeniem własnemu trupowi, który w niewiadomych okolicznościach został spławiony (por. *Geworfenheit* Heideggera!) — „tam, w górze rzeki”. Skoro więc można w ogóle mówić o wolności — a starałem się podkreślić związek tego pojęcia zarówno z etyką jak śmiesznością — to jest nią tylko ten ruch, wędrówka za unoszącym nurtem.

Bo rzeka przecież płynie i nie kończy się tutaj, przy młynie. Nie wiem, gdzie jest jej ujście, ale też nie wiem, gdzie jest jej początek, a mimo to tu jestem. Więc mogę być i tam. Idąc za rzeką, która poniesie moje ciało, nie będą już wprost zależny od mojego ciała, bo ono, więc i ja, my dwoje,

będziemy jednakże zależni od rzeki. Więc ona nam będzie Arką Przymierza. I ja dokądś dojdę i ono dokądś dopłynie.

Zapewne, względna to swoboda. Ale czy nie lepiej być już zależnym od ruchu, niż od nieruchomości? Od rzeki, niż od trupa?

(„We młynie, we młynie, mój dobry panie”)



Chcąc zobrazować „kondycję uwikłania”, wspomniałem o lustrach. Istnieje rysunek Chass Adamsa — amerykańskiego „czarnego” humorysty — przedstawiający bardzo zwyczajnego klienta na fotelu bardzo zwyczajnego zakładu fryzjerskiego. Przed nim i za nim wiszą lustra, odbijające twarz i tył głowy; te odbicia powtarzają się w przeciwnych lustrach, te również, itd. — powstaje niekończący się szereg malejących głów klienta z tyłu i *en face*; i oto w pewnym miejscu tego szeregu, na miejsce kolejnego odbicia, wskakuje nagle przerażająca Morda... Wydaje mi się, że obrazek ten mógłby ilustrować istotę mroźkowego Zakładu.

Tyle, że Morda nie pojawia się w nim wyłącznie dla kawału. Ona jest częścią struktury świata. Świat u Mroźka jest pozornie wchrowaty (w sensie geometrycznym), tzn. brak w nim wyraźnego zenitu sensu, słuszności, „tak trzeba”. Ale nienaruszony pozostaje drugi kierunek: w dół. A więc nie jest to żadna czysta heca: rozszerzony przez fantastykę świat „na powierzchni”: np. możliwość polowania w łazience („Ohey”) czy cudowne rezultaty „natężenia się” („Moniza”) są tylko dodatkową okazją kompromitacji mroźkowych bohaterów. *Au fond* postępowanie ich i konsekwencje tego postępowania są „normalne”, tzn. takie, jak w poza-mroźkowym świecie. Głupiec pozostaje głupcem, łajdak — łajdakiem, a niesprawiedliwość — niesprawiedliwością. W tym właśnie sensie mówiłem o „nałożeniu” kategorii ironii na kategorie moralne (w szerokim znaczeniu).

Przeźrzeń, w której nie ma zenitu, tylko nadir, ma formę leja. Taką formę ma mroźkowy świat i to tłumaczy m.in. dlaczego w tej twórczości akcja ma charakter drugorzędny: dla „dziania się” wystarczy lekkie tylko starcie ludzi uczeplonych ścian leja, aby zaczął się samorodny ruch, osuwanie w dół, *regressio ad ridiculum*. Pointa zaznacza się gwałtowniejszym przechybem, spadnięciem — rzekłbym: na mordę — w jakąś chamską sytuację. Niższość, gorszość, głupszość — ale nie „zielone i niedojrzałe” jak u Gombrowicza, a dotkliwe i upokarzające — stanowią prawie nieodmiennie punkt docelowy dramatów i opowiadań Mroźka. Nora pod schodami wyznacza właściwą realność świata dla narratora „Monizy Clavier”; arcy-zawile przygotowania, żeby choć trochę ponieśli rozbijają się o głupi fakt, że trumna okazuje

się za krótka („Ci, co mnie niosą”); na list, majstersztyk autoanalizy, a zarazem „zaangażowania w drugiego człowieka” przychodzi odpowiedź: „... jakby Pan nie mógł posady, to może jakie stare pajacyki dla dziecka, albo jakie palto dla mnie...” („Dwa listy”); upragnione Niemowlę okazuje się wampirem („Szczęśliwe wydarzenie”).

Na dnie leja czeka Cham. Śmierdzący, bijący w razie czego w mordę, autentyczny. Tzw. galeria typów u Mrożka zawiera prawie zawsze jakąś personifikację tepej Łapy ze „Strip-tease’u” — i Wnuczek z „Karola”, Edek z „Tanga” czy Gen. Barbaro z „Vatzlava”, choć nie piastują żadnego Złotego Rogu, w y s t a r c z a j ą jako *endgültige Lösung*.

Złotego Rogu nie piastuje zresztą nikt — w świecie Mrożka nie ma wszak łaski. Tzw. zwyczajni ludzie (np. chłopci w „Vatzlavie”), nawet jeśli się zbytnio nie blamują, opadają na dno jak ziemia okrzemkowa, z której — wiadomo z góry — żadnego dynamitu nie będzie. A ci, którzy „do czegoś dążą”?... Protagonista może być sobie niewinnym szarakiem („Na pełnym morzu”), „niezaangażowanym fachowcem” („Karol”), entuzjastą („Tango”), kanałią („Vatzlav”) — na placu zawsze pozostanie Cham, w myśl zasady, że co z tego, że mądry przegadał, kiedy głupi pobił. Cham nie jest demoniczny sam przez się; demonizm leży w sytuacji, która z grubsza ma taką strukturę: działający — w jakikolwiek sposób — protagonista zsuwa się na dno leja, ośmieszając się po drodze swą działalnością, bezsensowną i pretensjonalną wobec faktu, że Cham j u z t a m j e s t. Cham reprezentuje logikę sytuacji „ot, co jest po prostu”, wobec której wszystko inne okazuje się tylko jakąś formą uwikłania. Ale to nie czyni go Bóstwem. W mrożkowym jansenizmie nie ma i bóstwa. Cham też jest uwikłany — właśnie w swą chamskość, przyziemność; mówiąc po gombrowiczowsku: jest zamknięty w swej Formie; tkwi przecież na dnie Leja, i my — czytelnicy i widzowie — patrząc nań wiemy, że lej ten jest skonstruowany na zasadzie n a s z e g o świata, a więc dno jest właśnie dnem, i ponad nim są przecież... I wtedy właśnie dostrzegamy nas samych, uczipionych ścian leja. I tak tłumaczy się wiew grozy, towarzyszący zawsze mrożkowej „śmieszności”.

„Vatzlav” jest mrożkowym „Kandydem”. Przyjrzyjmy mu się, bo jest reprezentacyjny dla tego, o czym była wyżej mowa. Najogólniej biorąc jest to sztuka o ludzkiej wszawości, wieloimiennej: podłości, tchórzostwie, *Geltungswahn*, lizusostwie, chciwości, itd. — ucieleśnionych w arcywyszarzu Vatzlavie, ex-niewol-

niku wyrzuconym po katastrofie okrętu niewolników na obcy ląd. „Obcy, a więc zapewne szlachetny...” Na tym lądzie żyją ludzie i dzieją się różne sprawy: kapitalista Nietoperz pije (dosłownie) krew ludu pracującego, zaś lud pracujący kłóci się ustami swych przedstawicieli o to, kto ma dłuższy stryczek na szyi; ślepy król Edyp został strażnikiem moralności i prawa, inaczej — kapusiem, zaś dzieje Jokasty powtarza *à rebours* żona pana Nietoperza, zakochując się w swym synu (który w międzyczasie stał się niedźwiedziem) i porzuca dlań swego pieska pokojowego (który donosi rzecz gdzie trzeba); Sprawiedliwość okazuje się córką Geniusza, poczętą przezeń z g ł o w y, wraz z doktryną likwidacji ucisku nieposiadających przez posiadających, inaczej — likwidacji posiadających; okazuje się i ukazuje, występując jako strip-teaserka pod recytację Deklaracji Praw Człowieka. Dramat, operetka i tragedia — w formie archetypów „Burzy”, „Zemsty Nietoperza” i „Króla Edypa” — splatają się w gąszcz czarnej farsy, przez którą ze zmiennym szczęściem i niezmienną wszawością przedziera się Vatzlav — aż do końca tego najlepszego ze światów i swojej po nim wędrówki. Świat ów kończy „wyzwolenie” przez armie Generała Barbaro, wiedzione ideą zmarłego, choć wiecznie żywego Geniusza (który wypchany i obnoszony na drągu wskazuje drogę w świetlaną przyszłość), za czym konflikty socjalne i jednostkowe zostają w mig — po żołniersku, panie dziejski — rozwiązane: pan Nietoperz idzie na szubienicę; nieposiadający również — choć po chwili ich się odcina („to ich na przyszłość naucz...”); niedźwiedź zostaje wykastrowany jako wielbłąd („udowodnij, żeś nie wielbłąd...”), a Król Edyp, jako się rzekło — wypier...lony przez wyzoliciele — nie dla przyjemności, a dla zasady. Vatzlav trafia na ten sam brzeg, na który niegdyś wyrzuciły go fale, dosłownie *holding the baby* — ponieważ Sprawiedliwości ktoś w międzyczasie zrobił bękarta. Ści-gany przez policję wstępuje ponownie w morze. „Jeśli nie wrócę” — zwraca się do publiczności — „będziecie wiedzieli, że dotarłem. Wówczas będziecie mogli pójść za mną”.

„Wy” — to „my”, cała widownia. Podejrzewam, że i autor.

Wobec tej *desperatio maxima* na samym spodzie mrożkowego śmiechu przestaje być trywialne pytanie „po co?”. Po co Mroźek pisze? (Wyłączam odpowiedzi trywialne — i nie kieruję tego pytania do Mrożka). Skoro Lej i jego mieszkańcy zostali opisani — i to wielokrotnie: zauważmy przepotwarzanie się postaci, np. Pustelnika z „Indyka” w Króla Edypa z „Vatzlava”, Edka z „Tanga” w Gen. Barbaro, itp. — cóż pozostaje? Lej został spenetro-

wany do samego dna — poniżej już nic nie ma, chyba Lewiatan. Jaki jest więc mroźkowy *message*?

Na tym poziomie literatury można automatycznie wykluczyć naiwność — n.b. odpowiadającą w mroźkowym jansenizmie grzechowi śmiertelnemu — a więc i naiwne przypuszczenie, że chodzi tylko o satyrę. Satyra na wszechświat? Jeśli Mroźek kiedykolwiek był satyrykiem, to dawno nim być przestał. Fragmenty o wykładni satyrycznej — np. „rodak za granicą” („Moniza” i — obawiam się — partie „Vatzlava”) — stanowią raczej gotowe archetypy, takie jak realizacja potocznych porzekadeł, odwołanie się do znanego już i gotowego elementu świata (co nie łagodzi kompromitacji!) — a nie próby jego zmiany na lepsze (jakie lepsze?!). Mroźek nie sprawia wrażenia człowieka, który chciałby cokolwiek reformować. Śmiech ten jest mniej „krwawy”, niż się wydaje to nam, kiedy dostrzegamy nasze fotografie wprawione w te konstrukcje. Ma on więcej do czynienia z owym śmiechem derywowanym, o którego roli wspominałem w związku z życiem w świecie podminowanym; winien nas chronić przed nadmiernym blamażem w razie — każdej chwili przecież możliwego — ukazania się Mordy. To zabezpieczenie przed naiwnością (= grzechem śmiertelnym) — może nie skuteczniejsze, ale godniejsze, niż czysta desperacja i strach. Ale ten aspekt „użyteczny” też sprawy nie wyczerpuje. Oddajmy więc głos samemu Mroźkowi: „... *literatura nie polega na tym, żeby coś wykazać czy udowodniać bezpośrednio. Literatura jest raczej kształtowaniem nie-znaczenia przy pomocy znaczeń, tak jak muzyka jest kształtowaniem milczenia przy pomocy dźwięków*” (zob. „Słowo”, *Kultura* Nr 7/8, 1971).

Odpowiedź na pytanie „po co?” staje się prostsza — Mroźek uprawia bowiem p o e z j ę.



Gdy uspokoił się pierwszy wybuch wesołości (*Nieeee... kpiarz Mroźek — p o e t a, ha, ha, ha...*), przystępuję do uzasadnienia tego stwierdzenia. Oczywiście „poezja” jest tylko słowem, można więc z nią zrobić prawie wszystko. Sprecyzuję zatem, jak to słowo rozumiem.

Poezja jest sztuką, której materiałem są słowa; sztuka zaś — to jedyny przedmiot, w zastosowaniu do którego slogan McLuhana: *medium is the message*, ma sens. *Message* to po polsku: przekaz, komunikat. Komunikat jest dla odbiorcy i tylko wtedy ma zawartość. W uproszczeniu można powiedzieć, że zawartość komunikatu to tyle, co wrażenie odbiorcy. Zawartość *message* sztuki to wrażenie piękna.

Ponieważ *medium* poezji stanowią słowa: ściślej — ich kompo-

zycje — *message* poezji, czyli piękno, mieści się w kompozycji słów, czyli *medium*. Ale ponieważ znaczenie słowa jest tak samo jego częścią jak dźwięk, kompozycje te coś znaczą, i to znaczenie też musi być piękne. Mniej enigmatycznie wyraża to stara, zacna zasada, że w poezji i treść musi być piękna, i forma. Ale podpisując się pod sformułowaniem McLuhana (czego innego zresztą w oryginale dotyczącym), odzegnałem się od klasycznego rozróżnienia na treść i formę. M.in. dlatego, że zbyt trudno jest sprecyzować, co jest czym, co treścią, a co formą. Ta trudność jest inherentna — bo właśnie tam zaczyna się sztuka, gdzie granica między formą a treścią się zaciera. Co w muzyce jest treścią, a co formą? Rym i z góry narzucony rytm nie są koniecznym warunkiem poezji. A więc dla odróżnienia poezji od nie-poezji potrzebne jest jakieś inne kryterium. Chyba jest nim wspomniane wrażenie piękna. To znaczy: utwór zaklasyfikujemy do poezji, jeśli będzie ca ły piękny, zaś do nie-poezji — jeśli nie ca ły (lub w ogóle nie).

Może się wydawać, że ujęcie to (powtórzę: sztuka jako: *medium is the message*, *message* jako piękno) wprowadza zamęt, niczego nie wyjaśniając: pojęcie *piękna* jest bowiem równie mętne — lub bardziej — co pojęcia treści i formy.

Po raz trzeci w tym szkicu odwołam się do formułki „X jest... dla Y”. Podobnie jak w wypadku „śmieszności” i „dobra”, „piękno” jest też skrótem; naprawdę bowiem mamy prawo mówić tylko „X jest piękne dla Y”. Ponieważ nie chodzi tu o postępowanie X-a wobec innych (jak w wypadku dobra), ani nawet X-a wobec siebie (jak w wypadku śmieszności), lecz o nieobserwowalne odczucie, którego każdy Y-grek doznaje prywatnie, w zakresie „piękna” panuje największy zamęt i kryteria są trudno uchwytnie. To samo X może być „piękne” dla jednych Y-greków, a „niepiękne” dla innych; nawet dla tego samego Y-greka ocena X-a może być różna w różnych okresach życia, bo może przebiegać na innym „podkładzie” (= materiale porównawczym). Cóż dopiero w „grupie Y-greków”! Niemniej jest faktem, że podobnie jak dla „dobra” i „śmieszności”, także i dla piękna istnieje pewna przyjęta w danym czasie przeciętna „podkładu”, inaczej: przeciętnie wrażliwy odbiorca, względem którego owo wyrażenie „piękny dla” relatywizuje się na tyle automatycznie, by mógł powstać skrót „piękno”, intuicyjnie zrozumiały. Co kryje się za tymi intuicjami, trudno sprecyzować. Osobiście skłonny jestem przypuszczać, że przymiotnik „piękny” jest wyspecjalizowanym znaczeniem przymiotnika „przyjemny” (który też oczywiście jest relatywny!), i że mówiąc o wrażeniu piękna mówimy o czymś, co nie jest całkiem różne od przyjemności, jakiej doznajemy obserwując mistrzowską partię jakiejś gry. Reguły tej gry musimy znać — na tyle,

by móc ją śledzić; a zarazem nie na tyle, żebyśmy sami potrafili przewidzieć wszystkie ich implikacje — gra byłaby wówczas nudna, a więc nie: przyjemna. Myślę o grze w bardzo szerokim znaczeniu — podpada pod nie wszelkie dążenie do uzyskania czegoś w sytuacji, gdzie nie wszystko jest dopuszczalne; należy tu więc i gra w szachy, i dowodzenie twierdzenia matematycznego, i tłumaczenie hieroglifów. Mówi się przecież: „piękna partia”, „elegancki dowód”, „zgrabne tłumaczenie”. Słowa te wypowiadają częściej obserwatorzy — zwolnieni od trudu decyzji — niż sami grający. Nie wiem, co jest na samym spodzie tego uczucia przyjemności: może satysfakcja z powstania „nowej jakości”, tryumfu nad chaosem, przybliżenia obietnicy — szatańskiej podobno!: — *eritis similes Deo?* Niemniej faktem jest, że „poczucie piękna” istnieje tak samo, jak istnieje „poczucie moralne” i „poczucie humoru” — i sztuka dlatego jest potrzebna, że owo poczucie jest normalnym składnikiem normalnego człowieka. Uprawianie poezji nie dopuszcza więc pytania „po co?”. Pytanie miałoby ten sam statut, co pytanie „po co istnieją ludzie?”. Można takie pytanie postawić, ale nikt nie zna odpowiedzi.

Z poezją jest kłopot — bo przyłgnęło do niej wyobrażenie mowy wysiłonej, treści naciągniętych, rymów wywleczonych za włosy; w przyjętej tu terminologii — wszelakiego uwikłania, czyli śmieszności. Znany esej Gombrowicza „Przeciw poetom” precyzuje rzecz należycie.

Ale śmieszna jest tylko ta poezja, która już z góry zamierza być poezją — a więc dźwięki i znaczenia ułożone w kształt już wyśpiewany i załatwiony. I tu śmieszność pełni swą powinność: eliminuje *depassé*.

Ale piękna gra w ogóle (Mrozek nazywa ją literaturą, nie poezją) nie jest *depassé*, bo ludzie pozostają na nią wrażliwi. Znajdują się więc i grający. I właśnie Mrozek rozgrywa na naszych oczach taką grę, której zadaniem jest być piękną, to znaczy: cieszyć zręcznością, zaskakiwać nieoczekiwanym, ukazywać nieostrzeżone.

O „cieszeniu zręcznością” sztuki Mroźka mówić nie trzeba, jeśli mamy na myśli konstrukcje, pomysły czy wręcz kawały. Ale słowo, to właściwie wszystko: i myśl, i skojarzenie, i dźwięk, i rytm. I wszystkie te płaszczyzny muszą brać udział w grze. I tak właśnie jest u Mroźka.

Chcę wskazać na coś, co czasem umyka uwadze, skupionej na płaszczyźnie cerebralnej tej twórczości — piękno języka. Mroźkowa zwięzłość, którą uzyskuje efekt kompromitacji, gdy zawrze w kilku słowach coś, co dotychczas „rozłaziło się” i zdawało się większe, poważniejsze niż się nagle okazuje („... *poza tym panowała bieda. A nawet nie tyle bieda, ile brak dostatku*”). — w

odniesieniu do czegoś, co naprawdę jest rozległe i nieogarnione, ma wartość olśnienia: „*Wiatr pamiętam tylko latem. Może dlatego, że zimą, kiedy nie ma liści, wiatr przechodził obojętnie przez sieć gałęzek, nie zostawał z nami.*”

Proponuję też odczytanie na głos początku „*We młynie*” — opowiadania, które jest właściwie jakimś współczesnym odpowiednikiem (*bonny soit qui mal y pense*) czterowerszy Omara Chajjama:

Byłem parobkiem u młynarza, co młyn dzierżawił wodny. Właściciel młyna oddał się karierze wojskowej i politycznej, przebywał daleko i młynem się nie interesował. Mówiono, że doszedł do wielkich zaszczytów i godności.

Rytm tych zdań i delikatna stylizacja — zabawna i wzruszająca zarazem — sprawiają, że budzi się w nas przekonanie, iż są one takie jak być powinny; i to właśnie to najlepsze pociągnięcie w grze, które cieszy.

Myślę, że nie trzeba już mnożyć przykładów dla ilustracji tego, co — w moim rozumieniu — wyraża formuła *medium is the message*. W formule tej mieści się też wyjaśnienie niepowtarzalności dzieła sztuki: bowiem zmiana *medium*, np. języka, narusza *message*. I tylko w tym zawiera się „narodowość” literatury — *qua* literatury.

Toteż jeśli sztuce Mroźka coś grozi na szerokim świecie — to zli tłumacze. Bo nie brak spektatorów — ani klocków — mroźkowej gry w „kształtowanie nie-znaczenia przy pomocy znaczeń”. Choć należy wierzyć, że sztuki wysokiej próby i *traduttore* nie zdradzi — ponieważ wyraźny kształt jest odporny.

M. BROŃSKI

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Wiersze

Danuta Irena BIENKOWSKA

RYTM ŻYCIA

*Zmysłem dotyku próbowaliśmy wymacać puls ziemi
I patrzyliśmy, jak rośnie trawa
I jak bezszelestnie i niedostrzeżenie
Otwierają się pączki kwiatów.*

*Dlaczego nie ma granicy między nocą, a dniem?
Dlaczego słońce ciągle świeci ponad chmurą?
Chociaż go nie możemy zobaczyć!
I cała ziemia — zawieszona w pustce kosmicznej —
Unosi nas coraz dalej,
W bezwymiarową, nieokreśloną przestrzeń.
A my, jak wodorosty, kotłyszemy się z falą
I wydaje nam się, że stoimy na „opoce”.
Ludzkość — wirujące atomy elektronów,
Nasze myśli i uczucia — sprowadzone do procesów chemicznych,
A ponad wszystkim chaos,
W którym toną nasze pojęcia o życiu.
W „anty-wszecchświecie” „anty-człowiek”
Szuka jakiegoś podłoża,
Ale życie jest jak obłok
Który wciąż zmienia kształty
I wymyka się wszelkim definicjom.
I już nigdy nie odkryjemy
Sekretu rośnięcia traw*

*I będziemy patrzeć bezsilnie,
Jak umierają kwiaty.
Intelekt ślizga się po powierzchni.
Trzeba dobrać się do wnętrza i ciąć.
Tnę i z wnętrza ziemi
Wytryska żywa krew.
Przykładam ucho
I słucham szeptu kwiatów
O wiecznym dojrzewaniu
I o wiecznym więdnieniu.
Pożółkną księgi wszystkich filozofów
I spleśnieje zawarta w nich mądrość.
I tylko kropla wody
Spada w morze
I nie ginie.*

JEDNA GODZINA ŻYCIA

*Jakże mogę się zmienić
W jednej godzinie życia?
Co mam z siebie zabrać,
Co zostawić?*

*Czy chcesz mnie pociąć na części
Tyle zabrać, tyle schować,
Włożyć do stoika, zakleić?*

*Czy mam siebie sprowadzić
Do wyraźnych wymiarów,
Tyle funtów wagi,
Tyle zdanych egzaminów,
Tyle marzeń niespełnionych?*

*Czy wolisz mnie bez głowy,
Czy bez serca,
Czy skróconą o przeszłość,
Czy bez jutra, czy bez dziś?
Bo wiele jest możliwości,*

*Życie pulsuje krwią
I myśl płynie poprzez serce.
I nawet czubki palców*

*Są do czegoś potrzebne
I nie mogą wystawać poza czasem.*

*Więc daj mi coś więcej
Ponad jedną godzinę —
Pięć minut na refleksję,
Dwie minuty na radość,
Jedną minutę na żal.*

Danuta Irena BIENKOWSKA

Filip ISTNER

ZADZIWIENIE

*„Zaprawdę to osobliwe nie przebywać odtąd
już na ziemi”*

(Z „Pierwszej elegii” Rilkego)

*Znaleźć się poza czasem i spełnieniem.
Poza przestrzenią i pustką.
Poza światłem i sobą.
Poza mineralno-roślinno-zwierzęcym,
Jedynym bytem wiadomym.*

*Niebył to nawet nie ciemność.
(W mrok wchodzimy zmysłami).
W zadziwieniu szukam śladu
Rainera Marii,
Z „Elegii duinejskich” —
Naiwna metamorfoza cierpienia w piękno
Nie spełniła się.
Pustka
— I jej nawet nie ma —
Zadziwienie,
to wszystko co zostaje.*

Filip ISTNER

POLSKA

Pan Sławomir Eugeniusz Strakosz (Buffalo, New York, USA) przysłał redakcji *Kultury* interesujący polonik w postaci wiersza Siergieja Jesienina, pod tytułem „Polska”. Znam dobrze twórczość Jesienina, ale z wierszem tym nigdy dotąd się nie zetknąłem. Nie ma go w żadnych przedwojennych wydaniach tego poety, ani sowieckich ani emigracyjnych. Również nie znalazłem go w żadnym z wydań późniejszych. Pan Strakosz wyjaśnia, że wiersz został zamieszczony w V tomie „Poezji”, wydanym w Moskwie, w roku 1968. Nie wykluczone, że chodzi o pierwodruk.

Niewątpliwie Jesienin napisał ten wiersz podczas pierwszej wojny światowej, najprawdopodobniej u jej schyłku, chociaż technika i słownictwo wskazywałyby raczej na rok nieco wcześniejszy. Znamienne, że jest to klasyczny sonet, rygorystycznie rymowany: abba — abba — cdc — dcd. Odstępstwo od klasycznego wzorca polega jedynie na przeplataniu trzynastozgłoskowca z jedenastozgłoskowcem. Jesienin formy sonetu prawie nie używał.

J. Ł.

*Nad Polską pożar w chmurach się rozpalił
i pod nawistym jego skrzydłem płoną miasta.
Lecz ponad łuną dawnych wieków gwiazda
świeci i Wisła płacze, krwawe tocząc fale.*

*A lata idą, biegną coraz dalej,
z ich korowodu nowy sens wyrasta.
Że nawet wróg, gdy czas zwycięstwa nastał,
zarzuca kwieciami ciężkie wojny szale.*

*O, Polsko, sen Kościuszki, zamkniętego w lochu,
o, niewolnico, z światłością u czoła!
Widzę: Mickiewicz wstaje razem z tobą z prochów,*

*w dniu odrodzenia o armaty woła.
Choć jeszcze w ogniu zmartwychwstały pochód,
już słysząc dzwon tryumfu z wież kościoła!*

Siergiej JESIENIN

(Przełożył z rosyjskiego Józef Łobodowski)

Archiwum polityczne

Refleksje marginesowe

W stanie zdrowia oczu Juliusza Mieroszewskiego jak dotąd, niestety, nie zaszyły jeszcze poważniejsze zmiany na lepsze. Ale rasowy publicysta nie kapituluje. Poniższy artykuł został napisany przy pomocy dyktafonu. Radio i dyktafon stają się dla Mieroszewskiego narzędziami pracy do chwili — mamy nadzieję że niezbyt odległej — gdy nastąpi poprawa.

Redakcja

I

Czy może istnieć kapitalizm w jednym kraju? Nowoczesny kapitalizm technologiczny nie może istnieć w jednym kraju. Powstaje dziś wiele firm wielonarodowych (*multinational*). Jak wszystko na świecie — potężne koncerny wielonarodowe mają swoje wady i zalety. Do kraju, który udziela im gościny — wnoszą w posagu postęp technologiczny, kapitały, możliwość zatrudnienia robotników, inżynierów i administratorów. Główną wadą owych wielonarodowych gigantów przemysłowych jest sprawa lojalności i kontroli. Oddział wielonarodowego koncernu działający w Anglii jest lojalny w stosunku do swojej centrali, której siedziba znajduje się poza Anglią. Firmy tego typu obserwują miejscowe ustawodawstwo i przepisy — nie oznacza to jednak, by podlegały pełnej kontroli. Jeżeli, na przykład, zagraża kryzys walutowy — firmy o których mówimy — wycofują część swych kapitałów w momencie, kiedy funta szterlinga należy wzmacniać a nie osłabiać. O ile można oczekiwać od firm brytyjskich solidarności z polityką rządu — o tyle nie można ani oczekiwać ani wymagać analogicznej solidarności ze strony firm wielonarodowych. Innymi słowy — firmy wielonarodowe można by kontrolować tylko poprzez wielonarodowe organizacje. To jest jedna z

głównych przyczyn, która spowodowała powstanie Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej.

Kapitalizm w fazie technologicznej nie jest możliwy w jednym kraju kalibru Anglii czy Francji. Przemysły elektroniczne, komputery, projekty super-samolotów jak „Concorde” — wymagają skupienia potencjałów wytwórczych i kapitałów. Kto ma kontrolować ów kapitał przez wielkie „K”? Oczywiście wielonarodowe instytucje wspólnego rynku.

EWG powstała, bo tego wymagała logika rozwoju kapitalizmu w fazie technologicznej. Czy to oznacza, że zbliżamy się powoli do ideału gospodarki nie wielonarodowej lecz prawdziwie międzynarodowej? Nie sądzę.

Kapitalizm w każdej fazie swojego rozwoju jest tym czym był i czym zawsze będzie. Dlatego myślę, że świat podzieli się z czasem na wielko-obszarowe systemy gospodarcze. Owe systemy będą prowadziły między sobą walkę konkurencyjną, obwarują się taryfami celnymi i przekształcą nasz glob w Europę z XIX wieku.

Nie wierzę w międzynarodowe posłannictwo kapitalizmu.

II

W chwili gdy dyktuję te słowa, szkocka stocznia w Upper Clyde jest sceną znamiennych wydarzeń.

Stocznia — choć o świetnych tradycjach — jest przestarzała i od lat wykazuje milionowe straty, które jak dotychczas pokrywał rząd. Powzięto więc plan reorganizacji Upper Clyde a także i innych stoczni szkockich. Wszystko musi być unowocześnione — zarówno urządzenia techniczne jak i styl zarządzania. Rząd brytyjski odmówił pokrywania deficytów Upper Clyde i wyznaczono urzędowego likwidatora przedsiębiorstwa w jego obecnej formie.

W Szkocji panuje znaczne bezrobocie — nic więc dziwnego, że robotnicy bardzo stanowczo sprzeciwili się planom rządu.

W Upper Clyde starły się ze sobą dwie logiki: logika kapitału i logika pracy.

Nie ulega wątpliwości, że plan rządu jest trzeźwy i rozsądny z punktu widzenia kapitalistycznej gospodarki. Logiczna jest również argumentacja rządu, że nierentowne przedsiębiorstwo nie zapewni robotnikom ani stałego zatrudnienia, ani wysokich zarobków.

Lecz istnieje również i druga strona modelu. Ponieważ kapitał dokonywał inwestycji, inkasował zyski i pokrywał straty — rościł sobie prawo do ostatecznego słowa w tej sprawie.

Robotnicy są jednak również inwestorami. Zainwestowali w stoczni Upper Clyde całe swoje życie, umiejętności fachowe, trud i pot, które przemieniają młodzieńca w dojrzałego mężczyznę. Trudno powiedzieć wykwalifikowanemu stoczniovcowi: „drogi panie, od jutra będzie pan szył kostiumy damskie, ponieważ w Upper Clyde jest pan zbędny”. Zresztą szyć kostiumów dam-

skich również nie jest takie pewne z powodu bezrobocia. Cóż więc pozostaje? Zasiłek dla bezrobotnych lub emigracja do Niemiec. Ambasada NRF rozpatruje około stu podań brytyjskich robotników dziennie.

W Upper Clyde robotnicy postanowili przejść zagrożoną stocznię w swoje ręce i kontynuować pracę. Nie jest to zwyczajny strajk okupacyjny lecz próba uruchomienia i zarządzania przedsiębiorstwa przez robotników.

W Labour Party w różnych okresach wielokrotnie dyskutowano zagadnienie tzw. demokracji przemysłowej (*industrial democracy*). Chodziło w tym wypadku o zwiększenie wpływu i udziału robotników zarządach zakładów przemysłowych. Podkreślano również, że robotnicy brytyjscy w pełni dorastają do tego typu zadań. Lecz zwiększenie wpływu robotników w zarządzaniu fabrykami a oddanie zarządu całkowicie w ręce robotników, to są dwie całkowicie różne propozycje.

Oddanie zakładów przemysłowych w całości robotnikom — wymagałoby albo nowego ustawodawstwa albo rewolucji. W Anglii nie zanoszą się ani na jedno ani na drugie.

Stocznie są finansowo wspomagane przez rządy na całym świecie. Tak jest w Niemczech, w Japonii i w innych krajach. Wspomaga się również finansowo przemysły istotne w sensie zbrojeniowym, konkurencyjnym, a nawet prestiżowym. Do takich działań produkcji należą komputery, nowoczesne silniki lotnicze, linie okrętowe, lotnicze itp.

Weźmy dla przykładu komputery, które w znacznej mierze są brytyjskim wynalazkiem. Przez wiele lat brytyjski przemysł komputerowy posiadał monopolistyczne stanowisko na rynkach światowych. Jest rzeczą ważną — nie tylko z punktu widzenia ekonomii lecz i słuszności, by rząd finansowo wspomagał przemysł komputerowy — w przeciwnym bowiem wypadku zyski z wynalazczości brytyjskiej ciągnęliby obcy, a nie Anglia.

Dopłaca się do różnych przemysłów z różnych przyczyn. Jedną z tych przyczyn winien być również wzgląd na ludzi. Ponieważ gospodarka to nie jest tylko eksport i bilans płatniczy lecz — przede wszystkim — ludzie. Zwolennicy gospodarki kapitalistycznej winni sobie zdać wreszcie sprawę z faktu, że kapitalizm — jeżeli ma być obalony — nie obalą deficyty, kryzysy czy inflacje — tylko ludzie.

Padły opinie wypowiedziane przez entuzjastycznych socjologów, że w Upper Clyde powstaje nowe społeczeństwo.

Choć jestem jak najbardziej za nowym społeczeństwem nie zaryzykowałbym takiej opinii. Nie ulega jednak najmniejszej wątpliwości, że wydarzenia i doświadczenia Upper Clyde — wstrząsnęły głęboko systemami myślenia tak kapitalistów jak i robotników. Gdyby nie było akcji robotniczej w przeszłości — nie byłoby związków zawodowych, 8-miogodzinnego dnia pracy, *Welfare State* itd., itp.

Wydarzenia w Upper Clyde z oczywistych względów miały ogromną *publicity* w prasie, w radio i w telewizji. Lecz w świecie

pracy dokonują się powoli nie mniej ważne przemiany, które nie skupiają na sobie tyle uwagi.

Kto słyszał przed drugą wojną światową o strajku nauczycieli, dziennikarzy, urzędników bankowych, funkcjonariuszy pocztowych? W pewnych wysoko cywilizowanych krajach strajkowali nawet lekarze. To są wszystko rzeczy, które jeszcze przed 20-tu laty nie śniły się nawet lewicowym filozofom.

Inteligenci pracowali nie tylko dla pieniędzy lecz przede wszystkim dla zdobycia i utrwalenia statusu społecznego *middle class*, który ich odcinał od klasy robotniczej. Nauczyciel czy urzędnik bankowy mógł być lichy płatny lecz przysługiwała mu znacznie wyższa ranga społeczna niż robotnikowi, nawet o zawodowych kwalifikacjach. Młody podporucznik może mieć pensję o wiele mniejszą niż wysłużony sierżant, lecz podporucznik jest panem oficerem i należy do innej kasty społecznej, niż sierżant. Podobnie zestratyfikowane było całe społeczeństwo.

Nastąpiło szereg zmian. W *affluent society* jedynym miernikiem sukcesu społecznego czy jakiegokolwiek innego są pieniądze. O randze społecznej nie decyduje kasta lecz stopień zamożności wyrażający się poprzez własny dom, samochód, telewizję i tysiące „gadżetów”, potrzebnych i niepotrzebnych ale zawsze kosztownych. Co komu z nienagannego melonika, tradycyjnej teczki i pięknie zwiniętego parasola — jeżeli właściciela tych insygniów *middle class* nie stać na samochód i urlopy za granicą. Czy *affluent society* ma być tylko dla topniejącej liczby milionerów i rosnącej grupy wysoko płatnych robotników przemysłowych, którzy zarabiają po 50 czy 60 funtów tygodniowo?

W tych warunkach inteligenci dokonali odkrycia, że najpewniejszą drogą wiodącą do podwyżki płac i w konsekwencji, do uczestniczenia w *affluent society* — jest tradycyjna metoda robotnicza tj. strajk.

Wyeksplodowano również mit powołania. Inteligent w wielu wypadkach — w przeciwieństwie do robotnika — w obranym zawodzie realizował swoje szczytne powołanie. To stanowiło moralno-duchową „wartość dodatkową”, która miała wynagradzać niedobory finansowe.

Nauczyciel z powołania jest zwykle znakomitym nauczycielem i w konsekwencji powinien być lepiej zapłacony niż nauczyciel przeciętny.

Trzeba było jednak długiego czasu i wielu przemian społecznych by inteligenci zdali sobie sprawę, że ludzie pracujący za pieniądze i dla pieniędzy są wszyscy *de facto* najemnymi robotnikami.

Solidarność wszystkich, którzy zdobywają chleb i dobrobyt jako najemnicy — powoli rośnie. W tym procesie, który ledwo się rozpoczął — tkwi załazek nowego społeczeństwa.

Ludzie ważniejsi są od jakiegokolwiek ideologii czy doktryny. Politycy, którzy o tym zapominają — pogłębiają wyobcowanie współczesnego człowieka, który żyje na cmentarzu ideologii i dogmatów.

III

W umyśle Europejczyków Chiny kojarzą się zwykle z Rosją Sowiecką i ze Stanami Zjednoczonymi. Lecz dla Pekinu istnieje jeszcze jedno bardzo ważne mocarstwo a mianowicie Japonia. Czy Japonia jest już super-mocarstwem? Czy państwo, które wydaje tylko jeden procent swojego dochodu narodowego na zbrojenia — może być super-mocarstwem tak jak Stany Zjednoczone, które wydają 8 procent na zbrojenia?

W Europie nikt nie mówi o militarystyce japońskiej tylko o motocyklach japońskich, o wytworach elektronicznych, jak telewizje i inne skomplikowane przyrządy i „gadżety”, które kupujemy po cenie znacznie niższej od analogicznych produktów fabrykowanych na naszym kontynencie. Lecz w Chinach pamięć o wojnach japońsko-chińskich jest bardzo żywa i Japończycy uważani są za wrogów wczorajszych a może i jutrzejszych.

By zdać sobie sprawę z chińskiego poglądu na Japonię trzeba poświęcić chwilę uwagi Formozie.

Ta chińska wyspa o portugalskiej nazwie odgrywa bardzo ważną rolę w stosunkach amerykańsko-chińskich.

Amerykanie chcieliby widzieć w OZN zarówno Chiny komunistyczne jak i Chiny nacjonalistyczne Czang Kai-szeka. Lecz zarówno Mao Tse-tung jak i Czang Kai-szek wyrażali wielokrotnie pogląd, że nie może być dwóch Chin w obrębie OZN. Czy to oznacza, że Czang Kai-szek odwoła swoją delegację w chwili gdy Chiny komunistyczne zostaną przyjęte do OZN?

Formoza w rękach Czang Kai-szeka nie stanowi dla Chin komunistycznych żadnego zagrożenia. Nie wydaje się również prawdopodobne by Stany Zjednoczone, po doświadczeniach w Wietnamie, użyły kiedyś Formozy jako bazy do wojny wyzwoleniczej na kontynencie Chin. Amerykanie szukają formy, która pozwoliłaby im wycofać się z Indochin bez utraty twarzy i przypuszczają, że Chiny im to ułatwią. Chińczycy pamiętają natomiast, że Formoza była przez 50 lat kolonią japońską i przestała nią być dopiero w roku 1945. Wiedzą też, że Czang Kai-szek podpisał szereg układów z Japonią. Formoza w rękach Czang Kai-szeka czy w rękach Czang Kai-szeka i Amerykanów nie stanowi bezpośredniego zagrożenia dla Chin. Natomiast Formoza jako baza japońska stanowiłaby bezpośrednie zagrożenie dla kontynentu chińskiego. Oczywiście w Pekinie nikt nie przypuszcza, że któregoś dnia flota japońska zajmie Formozę i wysadzi na ląd swoich komandosów i piechotę morską. Chińczycy boją się natomiast, że z chwilą gdy Amerykanie wycofają się z Południowo-Wschodniej Azji Japończycy — mówiąc obrazowo — wskoczą w ich buty. Chińczycy podejrzewają, że pomiędzy Tokio a Waszyngtonem istnieją w tej sprawie tajne układy.

Nie sądzą by Japończycy byli wyznaczeni testamentem przez Amerykanów na ich następców w Azji. Tego rodzaju operacje robi się zwykle bez testamentu i bez układów.

Abstynencja atomowa Japonii nie będzie trwała wiecznie. Japończycy już dziś produkują rakiety, które są dziwnie podobne do pocisków między-kontynentalnych amerykańskich i sowieckich. Japonia posiada bazę przemysłową i technologiczny *know-how*, które umożliwiłyby jej przedzierzgnięcie się w super-mocarstwo atomowe w przeciągu dekady. Wówczas sprawa Formozy mogłaby wyglądać inaczej niż dziś. Wydaje się więc prawdopodobne, że Chińczycy zechcą przyłączyć Formozę do macierzy, nim Japonia stanie się atomowym mocarstwem.

Chiny nacjonalistyczne są zabytkiem z epoki w której myślano o *liberation*, o wyzwoleniu. Przez wyzwolenie rozumiano przywrócenie niepodległości. Chiny w przeciwieństwie do państw Europy Wschodniej są państwem niepodległym choć komunistycznym. W Chinach można mówić o obaleniu czy zmodyfikowaniu komunizmu, lecz nie o wyzwoleniu, ponieważ Chiny są wyzwolone spod obcej przemocy i są niepodległe. Są bardziej niepodległe niż Formoza. Reżym Czang Kai-szeka nie ma żadnych kwalifikacji na nauczyciela demokracji. Gdy na kontynencie chińskim nastąpi kiedyś „odwilż”, wówczas Chiny przyciągną do siebie Formozę, która w gruncie rzeczy jest wyspą „na emigracji”.

W lipcu tego roku podjęto w Japonii na szeroką skalę badania opinii publicznej. 75 % respondentów opowiedziało się przeciwko zbrojeniom, a przede wszystkim przeciwko zbrojeniom atomowym. Istnieje jednak w Japonii mniejszość, która po mału zaczyna sobie zdawać sprawę z zarysowującej się sytuacji. Okinawa wróciła do Japonii. Jeżeli w najbliższych latach Amerykanie stopniowo i powoli wycofają się z Wietnamu, z Korei, z Formozy — jeżeli Chiny w tym okresie rozbudują swój potencjał atomowy i stworzą odpowiedni *delivery system* — wówczas na terenie Azji powstanie zupełnie nowa sytuacja. Polityka, jak wiadomo, jest grą rzeczy możliwych.

Jeżeli dopuści się do sytuacji w której Chiny będą jedynym azjackim mocarstwem atomowym — ich możliwości w Azji staną się wręcz nieograniczone. Chiny będą mogły po prostu szantażować Japonię.

Szok spowodowany Hiroszimą i Nagasaki jest zrozumiały. Bronie atomowe są straszne i etycznie odrażające. Lecz uzbrojenie atomowe nie może mieć charakteru jednostronnego. Innymi słowy, nie możemy dopuścić do układu, w którym państwa komunistyczne miałyby zdecydowaną przewagę w dziedzinie atomowej nad tak zwanym wolnym światem.

Polityczna struktura naszego globu musiałaby wyglądać zupełnie inaczej by Japończycy mogli spokojnie odrzucić zbrojenia atomowe ze względów etycznych.

W zakończeniu tych uwag należy uwypuklić dwa następujące punkty: Punkt pierwszy — Formoza wcześniej czy później powróci do Chin. To leży w logice rzeczy. Punkt drugi: Przyłączenie Formozy do Chin oznaczać będzie dzwon alarmowy dla Japonii.

IV

Dyskusja o słowach pomiędzy Kołakowskim a Mroźkiem w zeszycie lipiec-sierpień *Kultury* — przypominała mi trud i móżół w przełożeniu na język polski *newspeak*'u. Przed 20-tu laty przetłumaczyłem dla Biblioteki *Kultury* „Rok 1984” Orwella. *Newspeak* to był oficjalny język partii. Lecz niezależnie „Wielki Brat” powołał komisję do opracowania nowego słownika języka angielskiego, który z czasem miał zastąpić wszystkie inne istniejące słowniki. Z tego oficjalnego słownika wykreślono szereg słów jak „wolność”, „demokracja”, „socjalizm” itp. Partia wniosowała, że jeżeli nowe pokolenie uczące się w szkołach nie będzie znało tych słów — nie będzie również znało pojęć, które owe słowa oznaczały. Totaliści orwellowscy wierzyli więc, że na początku było słowo. Jak nie ma słowa — nie ma i jego znaczeniowej treści.

Komuniści dokonali z sukcesem innego zabiegu w podobnej dziedzinie. Nie wykreślili słów jak „socjalizm”, „demokracja” czy „wolność”, lecz nadali tym słowom znaczenia przeciwstawne. Operacja udała się w całej pełni. Nawet zdecydowani przeciwnicy komunizmu mówią o socjalizmie w Polsce Ludowej, mimo, że w Polsce jak długa i szeroka socjalizmu nie ma na lekarstwo.

Tak oto część orwellowskiej apokalipsy została urzeczywistniona. Slogan z „Roku 1984”, „Wolność jest niewolnictwem” pokrywa się w całości ze sloganem, że „Polska jest Socjalistyczna”. W obu wypadkach użyte terminy oznaczają swoją odwrotność.

Juliusz MIEROSZEWSKI

7 sierpnia 1971

Widziane z Brukseli

Breżniew nie czyta „Kultury”

A szkoda. Bo gdyby czytał, to nie tylko odczuwałby przynajmniej raz na miesiąc wyrafinowaną rozkosz kulturalną i wypo- cząłby po pasjonującej acz męczącej lekturze *Prawdy*, ale dowiedziałby się także kilku rzeczy, które pomogłyby mu w spełnianiu jego odpowiedzialnych funkcji w służbie wielkiego narodu sowieckiego, tudzież — jak mawiał wieszcz Lejzorek Rojtszwaniec — w służbie absolutnej rewolucji światowej. Jeżeli bowiem polityka jest sztuką rządzenia poprzez przewidywanie skutków naszego działania, to z ostatniego okresu szkolnego ekipa kremłowska otrzymuje kategorię dwóję. My nie mamy sobie nic do

wyrzucenia. Zrobiliśmy wiele, aby w naszych nieudolnych felietonach przestrzec kogo trzeba przed katastrofalnymi dla ZSSR skutkami braku wyobraźni przywódców sowieckich, ich ocieężałości, wiecznego nienadążania, i „mienia wszystkim za złe”.

Nadaremnie. Znowu bowiem wspólną cechą ostatniego etapu było zaskakiwanie Kremla najważniejszymi wydarzeniami na arenie światowej. Znowu jego reakcja była z reguły błędna, ale za to spóźniona.

„*Pu shih*”...

... co po chińsku oznacza „niet” odpowiedział Mao swemu przyjacielowi, amerykańskiemu dziennikarzowi Edwardowi Snow, w 1965 roku na pytanie czy chciałby coś przekazać Johnsonowi. Nie wiem jak jest po chińsku „tak”, ale 6 lat później ten sam Snow miał już wiele do przekazania Nixonowi: mianowicie zaproszenie do Pekinu.

90-sekundowe oświadczenie Nixona wstrząsnęło całym światem, co od razu było widać, ale najbardziej wstrząsnęło Kremlom, czego jednak nie można było dostrzec. Nie tylko bowiem zapanowało w Moskwie głębokie milczenie, ale władze uniemożliwiły nawet wysłanie do Paryża filmu, nakręconego przez francuską TV, o reakcji ulicy moskiewskiej na zaproszenie Nixona.

Milczenie Moskwy przeszło wszystkie granice — jeżeli milczenie w ogóle granice posiada — przy czym wyrażało ono nie dyskrekcję tak charakterystyczną dla propagandy sowieckiej, a zakłopotanie władzy.

Milczące trzęsienie Kremlom trwało całych 10 dni. W dniu jedenastym *Prawda* wystrzeliła z armaty i na 12 szpaltach wypowiedziała się „w związku z kontaktami Pekinu z Waszyngtonem”. Tytuł wskazywał, że rzecz jest poważna. Ale też i na tytule się skończyło. W treści artykułu bowiem, nie było żadnej rewelacji, ani cienia poważnej analizy skutków podróży Kisingera do Pekinu, tej najlepiej zakamuflowanej operacji w historii dyplomacji amerykańskiej.

A więc *Prawdą*, a w dzień później reszta prasy sowieckiej, nie miała, i to po 10 dniach, nic do powiedzenia poza mrukliwą przestrogą, że rząd ZSSR „analizuje wszystkie możliwe konsekwencje zbliżenia chińsko-amerykańskiego”.

A przecież zawalił się właśnie — jak to skromnie zapowiadaliśmy już kilka miesięcy temu — cały gmach polityki sowieckiej, tak mozolnie budowany przez kilka pokoleń stalinowskiej szkoły niezwykłej strategii. Widmo dogadania się Chin i USA, które od zwycięstwa Mao krążyło nad Moskwą, stało się ciałem.

Stalin bał się Mao i sabotował jego wielki marsz jeszcze w czasie wojny domowej. Potem, kiedy na stypie po rozbiórce Polski, zakwitła przyjaźń z Hitlerem, zgodnie z zasadą „przyjaciele naszych przyjaciół...”, Stalin zwrócił się ku imperialnej Japonii. To wtedy właśnie Józef Wisarionowicz zaskoczył całą Moskwę przybывая na dworzec aby osobiście pożegnać ambasadora japoń-

skiego, wyjeżdżającego po podpisaniu traktatu z ZSSR. Ściskając ostentacyjnie dłoń osłupiałego ambasadora, Stalin wyszeptał ciele: „I my także jesteśmy Azjatami”, mimo, że ci Azjaci masakrowali wówczas innych Azjatów. Po wojnie, kiedy przyjaźnie się odwróciły, a Mao, wbrew wysiłkom Stalina, doszedł jednak do władzy, Rosjanie mieli zadanie ułatwione. Zimna wojna nie stwarzała alternatywy: Pekin skazany był na sojusz z Rosją. Aby go umocnić, Rosjanie wymyślili wojnę w Korei i zmusili Chińczyków do entuzjastycznego wysłania tam ochotników.

Ale nadeszła odwilż i koniec wojny w Korei. I wtedy właśnie Chińczycy zaczęli przypominać sobie, że jeżeli Formoza stanowi przedmiot sporu z USA dopiero od roku 1950, to przecież terytoria na wschód od Amuru, a więc cały prawie sowiecki Daleki Wschód, stanowią przedmiot nieporozumień już od ok. 200 lat. Dopóki trwała pomoc sowiecka, a Chiny były słabe, Mao pretensji publicznie nie zgłaszał. W miarę jednak wzrostu chińskich ambicji i poczucia siły, rosły także szantaż i presja sowiecka. Jeżeli jednak naciski ze strony Chruszczowa, wycofywanie techników itd., pozostawały w sferze, nazwijmy ją, politycznej, to pomysły jego pozbawionych wyobraźni następców przekroczyły granice, których, jak nauczał pewien znany nam ekonomista, nikomu bezkarnie przekraczać nie wolno.

W tym miejscu przechodzimy do spraw jak najbardziej współczesnych. Przełom dokonał się wraz ze zwycięskim najazdem na Czechosłowację w 1968 roku i triumfalnym ogłoszeniem doktryny tow. Breżniewa. Odurzeni tym sukcesem Rosjanie, zamiast zastanowić się co Chińczycy naprawdę myślą, zaczęli im grozić. Znany nam już Victor Louis wydrukował w prasie angielskiej niedwuznaczną zapowiedź zastosowania tej właśnie doktryny także wobec Chin, uzupełniając to ewentualnością zbombardowania chińskich instalacji atomowych. Sam Breżniew uzupełnił obraz propozycją zawarcia paktu zbiorowego bezpieczeństwa w Azji, nieudolnie maskując tendencję do izolowania Chin, tak jakby w ogóle było możliwe izolowanie 800 milionów ludzi.

Równocześnie, jak na zamówienie, do Białego Domu wprowadził się Nixon. Mao, jak sam przyznał, tak zresztą jak każdy zwierzchnik kościoła, nie lubi i nie ufa heretykom, natomiast woli mieć do czynienia z przeciwnikiem jawnym, totalnym. Stąd względne zaufanie do Nixona i do jego argumentów i stąd Kisinger w Pekinie.

Aż dziw bierze, że Rosjanie tego wszystkiego nie rozumieli. Przecież wiadomo było od dawna, że Snow wywiózł z Pekinu nader interesujące rzeczy. Za co bierze pieniądze wywiad i dyplomacja sowiecka, jeżeli wszystko po kolei tak zaskakiwało Moskwę, że wydarzeniom pierwszej wagi towarzyszyło z reguły zakłopotane milczenie. Gdzie były oczy i uszy Kremla, tak czułego na bizantyjski protokół, gdzie były asy wywiadu i kpt. Czechowicz, kiedy po raz pierwszy w historii, w październiku 1970 roku, Mao dał się publicznie sfotografować w towarzystwie Amerykanina Snow i jego małżonki. Szkoda pieniędzy sowieckiego podatnika,

jeżeli ani MSZ ani wywiad nie byli w stanie przygotować Krem-la tak, aby nie trzeba było trzymać ludzi sowieckich przez cały 10 dni w niepewności co mają myśleć.

16 godzin wystarczyło Kisingerowi, by przedyskutować z Czu En-lai'em najbardziej skomplikowane *dossier* w polityce światowej. 10 dni potrzebował Kreml aby zareagować na wydarzenie, które przewraca cały układ sił na świecie. I to zareagować nieudolnie i śmiesznie. Oto mianowicie, tak jak Mao posłużył się dziennikarzem Snow'em, tak i Breżniew zapragnął mieć w tej „grze w chińczyka” swojego dziennikarza. Ponieważ p. Louis odegrał już swój numer, sięgnięto po innego wytrawnego propagandzistę. Odezwał się więc niejaki p. Dadianc, były „korespondent” pseudo-agencji „Nowosti” w Paryżu. Zastąpił on już raz, kiedy to po wydarzeniach (jak wiadomo tym słowem określa się najbardziej krwawe porachunki na wschodzie) nad Ussuri ogłoszono w *Mondzie* artykuł, wzywający do solidarności białej rasy w obliczu żółtego niebezpieczeństwa. Obecnie zabrał głos na tych samych łamach. Tym razem aby uprzedzić naiwną Zachodnią Europę przed perfidną grą USA, które kosztem europejskich sojuszników chcą załatwić swoje sprawy z przekupnym Mao.

Oczywiście, nie brak tu elementów mogących wywołać niepokój zachodniego świata. W perspektywie azjatyckiej Jałty tkwi spore niebezpieczeństwo dogadania się cudzym kosztem. Ale przecież wiadomo, że nie tym przejmują się Rosjanie. Dla nich wizyta Nixona w Pekinie oznacza przede wszystkim otwarcie wojny o sukcesję po Mao. Oni wiedzą najlepiej jak wiele zmienia odejście dyktatora, pamiętają, że po śmierci Stalina, krwawej dinozaurze o władzę towarzyszyła gruntowna zmiana polityki.

Tylko, że znowu może zawieść ich wyobraźnia. Walka o sukcesję po Mao rozpoczęła się w istocie już dawno. I można chyba wyrazić pogląd, że pierwszą rundę tej walki Rosjanie już przegrali. Nie oznacza to wcale, że wygrali ją Amerykanie. Oznacza natomiast, że nie po to Mao pozbył się w czasie rewolucji kulturalnej Liu Szao-tsi i innych zwolenników pogodzenia się z ZSSR, aby ta tendencja miała zwyciężyć kiedy przewodniczący przestanie już układać swoje myśli. Jak wynika z ostatnich wydarzeń, faktycznym — jeżeli nie formalnym — następcą Mao będzie Czu En-lai. Co prawda, Czu od 10 lat nie był na urlopie, ale jak to stwierdził Kisinger, 73-letni premier nie wykazuje śladów zmęczenia. Snow zaś dodaje, że po zakończeniu rozmowy o godz. 6-ej rano spać poszedł on, bo Czu udał się do pracy. Do pracy, to znaczy do umacniania pozycji Chin jako trzeciego super-mocarstwa.

„Dupa masa”...

...co po rumuńsku oznacza „po obiedzie” — powiedział Ceausescu do swego zaskoczonego pilota, kiedy ów zapytał go na lotnisku Wnukowo w Moskwie, w drodze powrotnej z Chin, o datę odlotu do Bukaresztu. Zdziwienie pilota było uzasadnione,

wszyscy bowiem spodziewali się dwudniowego pobytu i wyczerpujących rozmów z przywódcami sowieckimi. Tym razem jednak znowu zabrakło im wyobraźni i zamiast przepytac dokładnie Ceausescu na okoliczność jego rozmów z Chińczykami, Rosjanie woleli się pogniewać, że Rumun bez ich zgody i instrukcji w ogóle w taką podróż się wybrał.

Gayby to już nie było takie nudne, to obecne zmiany na Bałkanach można by śmiało przypisać wyłącznie tow. Breżniewowi. Bowiem to co się obecnie dzieje na Bałkanach jest właściwie następstwem zaaplikowania jego doktryny w 1968 roku. To właśnie wyzwolicielski pochód na Pragę wyzwolił na Bałkanach tak ogromne rezerwy strachu, że w kąt poszły urazy i wiekowe nieufności, a zaczęło się pośpieszne poszukiwanie środków obronnych.

Najsprytniejsi byli znowu Rumuni. Uprzedzaliśmy o tym Breżniewa w *Kulturze*, ale bez skutku. Bez szumu Ceausescu nawiązał możliwie najbliższe stosunki z Jugosławią, umocnił przyjaźń z Albanią, wreszcie wprowadził do bałkańskich salonów dwa kraje NATO, to znaczy Grecję i Turcję.

Taka defensywna auto-pacyfikacja Bałkanów od samego początku Rosji się nie spodobała. Podróż Ceausescu do Pekinu dołała jeszcze oliwy do ognia. Rosjanie nie widzieli żadnego powodu, aby byle Rumun jechał tam, gdzie drzwi przed Rosjanami są zamknięte. No i nieprzyjemnie było słuchać, jak Chińczycy wzywają naród, aby brał przykład z Ceausescu „jak bronić ojczyzny przez zamachami na niepodległość”. Kiedy na domiar złego w dniu wyjazdu Ceausescu z Pekinu, przyjechał tam Tepawacz, jugosławiański minister spraw zagranicznych, na Kremlu zawrzało. Jugosławianie w Pekinie! To się jeszcze pokaże.

I rzeczywiście. Kosygin, którego najsmutniejsza twarz świata wyrażała prawdziwy stan ducha, odegrał się na Ceausescu i nie wypuścił go poza lotnisko w Moskwie. Nakarmił blinami i nie po dwóch dniach, a po dwóch godzinach wypędził do domu.

Ponieważ Rumuni na brak wyobraźni nie cierpią, więc Ceausescu po powrocie przedsięwziął pewne środki zaradcze. Tym bardziej, że już dawno szukał pretekstu do zaciśnięcia śruby na wewnątrz. Intelktualistom i młodzieży rumuńskiej przewróciło się bowiem w głowie. Zapragnęli mianowicie zastosować także i w kraju niektóre z nauk jakie głosi ich przywódca w dziedzinie międzynarodowej. Zagrożenie sowieckie dało Ceausescu idealny i wszędzie z powodzeniem stosowany pretekst do wykończenia co bardziej lekkomyślnych kandydatów do naprawiania socjalizmu. Wyrzucił kilku działaczy, ustawił film, literaturę i w ogóle ideologię, oraz popisał się takim przemówieniem na „aktywie”, że sam Susłow nie wymyśliłby lepszego.

Na próżno, nie zdążył.

Pierwsze uderzenie przyszło z flanki. Z Budapesztu. Rumuni z Węgrami, jak wiadomo, lubią się jak pies z kotem i, jak tylko nie starczało Żydów, zawsze siebie wzajemnie wykańczali. Nie trzeba było więc zbyt usilnie przekonywać Budapeszt, że warto by Rumunom przykrócić cugli. Najpierw więc pewien komenta-

tor TV, a potem sam sekretarz węgierskiego KC powiedzieli co myślą o chińskiej polityce towarzysza Ceausescu. Kiedy zaś zamiast przeprosić, Ceausescu pojechał do Finlandii a swego wiceministra posłał do Izraela, chłodem powiało wprost od północy.

Moskwa postanowiła zadziałać. Tuż po odjazdowaniu 25 sesji RWPG w Bukareszcie, przywódcy krajów socjalistycznych udali się na urlop. Dziwnym zbiegiem okoliczności wszyscy w to samo miejsce. Na Krym mianowicie, do dachy Breżniewa. Może tak się umówili, a może im to lekarz przepisał. Przyjechał nawet 25 sesji z Mongolii, choć mu to po drodze nie było. Nie przyjechał tylko Ceausescu. Może nie musiał, bo to samo morze i to samo powietrze ma u siebie w domu. A może go nie zaprosili...

Aczkolwiek w chwili pisania tych słów okoliczności krymskiego pikniku są jeszcze niejasne to obserwatorzy zadają sobie już sporo pytań. Np. kiedy ci wypoczywający przywódcy zdążyli zredagować tak długi komunikat końcowy, skoro w przeddzień wypoczynku Żiwkow i Honnecker byli jeszcze u siebie w domu. Uważna lektura komunikatu coś niecoś jednak wyjaśniła. Po obowiązkowym zamarkowaniu drobiazgów typu „zadowolenie z sesji RWPG” czy też „precz z brutalną represją w Sudanie”, komunikat mianowicie ostro piętnuje „wszelkie typy lewicowego i pravicowego oportunistów”.

Nic dziwnego, że osamotniony Ceausescu smutno duma na drugim brzegu Morza Czarnego, patrzy w siną dal, ku Krymowi, a studiując komunikat układa sobie rozmaite równania i szarady polityczne. Aby mu te rozrywki umysłowe skomplikować Rosjanie dodali mu manewry na Węgrzech z udziałem wojsk sowieckich, węgierskich i czechosłowackich oraz grzeczny wniosek o zgodę na przemarsz trzech dywizji z ZSSR zmierzających na jesienne gry wojenne do Bułgarii.

Wszystko to razem dało w końcu pewną całość. Po pierwsze Ceausescu przypomniał sobie, że ostatni raz towarzysze pierwsi sekretarze spotkali się bez udziału towarzysza rumuńskiego w Bratysławie, przed najechaniem Czechosłowacji. Po drugie — że gdy wówczas wojska sowieckie weszły do Czechosłowacji w kwestii manewrów, to do dziś jeszcze nie wyszły.

I wcale nie wykluczone, że wyniku takiej analizy Ceausescu musiałby się ugiąć i skutecznie „zjednoczyć”, gdyby nie fakt, że uwaga Moskwy została nagle skierowana na zupełnie inny teren.

„Incz Allah’ ...

... co znaczy po arabsku „Wszystko jest w ręku Boga” — powiedział gen. Nimeiri do ambasadora sowieckiego w Chartumie, kiedy ten grzecznie pozwolił sobie zwrócić uwagę na nietaktowne zachowanie się rządu sudańskiego, który zakończył właśnie wieszanie i wystrzeliwanie całej czołówki komunistycznej i lewicowej, oskarżonej o próbę puczu wojskowego. Nie wiadomo ile jest prawdy w tym zarzucie. Osobiście wątpię, aby to komuniści sudańscy próbowali zamachu, był on bowiem tak nieudolnie zorga-

nizowany, że mógł być raczej dziełem zbiurokratyzowanej partii komunistycznej, zniedołężniałej po 25 latach sprawowania władzy, ale nie prężnej, młodej i idącej dopiero po władzę kompartii sudańskiej.

Mniejsza jednak o drobiazgi. Dla nas ważne, że wydarzenia w Sudanie potwierdziły znowu tezę o zawodowym nieprzygotowaniu polityków sowieckich. Dali się znowu zaskoczyć, popełnili maksimum możliwych błędów, zachowali się przy tym jak najgorzej. Sowietci nie umieją bowiem przegrywać z godnością i jeżeli nie mogą gdzieś postać od razu kilku dywizji i stale ekshumowanego marsz. Koniewa, to wychodzi na jaw ich dyplomatyczne partactwo.

Sudan, jak wiadomo, leży w strategicznie ważnym miejscu. Kiedy więc tylko stał się niepodległy — niezależnie od tego kto kolejno przejmował potem władzę — to Rosjanie natychmiast mianowali Sudan krajem postępowym, walczącym o wolność i socjalizm. Kiedy do władzy doszedł Nimeiri, ZSSR ofiarował mu pomoc, broń i naturalnie bezinteresownych doradców. Za pomocą tej właśnie broni i doradców Nimeiri natychmiast wyróżnął prawicową sektę Ansarów.

Na wymordowaniu przeciwników z prawa wyczerpał się jednak program sojuszu komunistów sudańskich z gen. Nimeiri. Ten nie zamierzał z nikim dzielić władzy, co niedwuznacznie dał do zrozumienia aresztując sekretarza generalnego partii komunistycznej oraz usuwając ministrów komunistycznych lub komunistujących. Fakt, że po prawicy przyszła kolej na lewicę nie oznacza wcale, że niewdzięczny Nimeiri był umiarkowanym centrowcem. Niektórzy pamiętają jeszcze, że był on ukarany przez swego poprzednika za wyjątkowe, nawet jak na Afrykę, okrucieństwo w pacyfikacji sudańskiego południa. Krótko mówiąc, Nimeiri postanowił rozwiązać partię, rozpuszczając ją w Arabskiej Unii Socjalistycznej, wzorowanej na modelu egipskim, oraz przystąpić do Federacji związanej w Bengazi pomiędzy Libią, Egiptem i Syrią.

Ale taki program komunistom nie odpowiadał. Nie chcieli się rozpuszczać i nie chcieli federacji z państwami, gdzie komunistów już dawno i skutecznie wytępiono. Nastąpiła więc próba puczu z lewa. Komunizujący oficerowie obalili Nimeiri'ego, ale popełnili ogromny błąd pozostawiając go przy życiu. W trzy dni później zręcznym manewrem Nimeiri obala puczystów, ale nie powtarza ich błędu: wystrzeliwuje i wiesza całą górę komunistyczną, w tym wielu niewinnych i uczciwych ludzi. W Sudanie panuje bowiem zasada — wykończyć ewentualnych mścicieli. I tak się stało.

No dobrze, spytacie, a co ma do tego kraj zwycięskiego socjalizmu. Ano, bardzo wiele. W Sudanie bowiem ZSSR z właszej niejako woli znalazł się w najtrudniejszej chyba sytuacji ostatnich lat. Nie ma z tej sytuacji dobrego wyjścia.

Naturalnie ZSSR mógł ująć się za wieszanymi komunistami i bronić zasad proletariackiego internacjonalizmu. Musiałby wtedy zerwać z Nimeiri (jak np. z Izraelem), odwołać specjalistów

i wstrzymać pomoc (jak np. Chinom) i w ogóle obrazić się (jak np. na Ceausescu). Ale wtedy musiały się poważnie liczyć z pogorszeniem swej sytuacji strategicznej, musiały opuścić bazy nad Morzem Czerwonym, musiały pokłócić się z płk. Kadafi z Libii, a kto wie, może musiały także zmniejszyć nieco zasięg swojej obecności w samym Egipcie. Nie chodzi tu o żarty, a o 10 miliardów dolarów i o realizację strategicznych marzeń wszystkich carów wszech-Rosji.

Drugie wyjście też było niedobre. Oznaczało, że w imię tych 10 miliardów dolarów i baz na Suezie, Kreml uda, że nic ważnego się nie dzieje, odwróci głowę od powieszonych towarzyszy, przemieszczenie cichutko komunistów sudańskich w szeregi męczenników i szybko przejdzie do następnego punktu w dziedzinie światowej rewolucji i budowy socjalizmu w krajach arabskich.

Było też trzecie wyjście, najgorsze ze złych. I to właśnie wybrał Breżniew. I chciał pogrozić i bał się. I protestował i cofał się. Pokrzykiwał w TASS'ie i mitygował w notach. Przepraszał, że musi przeszkadzać w egzekucjach, ale na demonstracji pod ambasadą sudańską w Moskwie nie było ani jednego Rosjanina. Osiągnął wynik fatalny. Ośmieszzył się i stracił twarz, jeżeli ją jeszcze posiadał. Stracił ją do tego stopnia, że Nimeiri, zwyczajny oprawca w generalskim mundurze, odpowiadając na pytanie odnośnie dwóch not sowieckich, spokojnie i z zimną pogardą oświadczył: „Nie czytałem ich, miałem inne sprawy na głowie”.

Oczywiście, ktoś może powiedzieć, że jak się ma bomby wodorowe, to twarz nie ważna. Nie wiem, ale rzecz nie wydaje mi się taka prosta, zwłaszcza jako precedens dla przyszłych sojuszników ZSSR. Na Bliskim Wschodzie Rosjanie bowiem zbierają obecnie plony własnych siewów.

Jeżeli chodzi o przykłady likwidowania komunistów, to Nimeiri mógł się uczyć u samych Rosjan. Tak popularne u niektórych komentatorów sięganie do czystek stalinowskich i procesów moskiewskich jest demagogiczne, ale już np. fakt wydania przez Stalina grupy komunistów niemieckich Hitlerowi stanowi precedens pouczający. A co powiedzieć o wydaniu Nagy'a, Małetera i innych w ręce katów w Budapeszcie? A gdzie pacyfikacja Berlina, Budapesztu itp.? Dlaczego Nimeiri miał się kłopotować i liczyć z ZSSR, kiedy Moskwa właściwie nie zareagowała na wymordowanie 500.000 komunistów w Indonezji? No, a w samych krajach arabskich, tuż obok, u sąsiadów Sudanu? Gdzie są komuniści egipscy, wysłani na śmierć z pragnienia do obozów na pustyni przez „Bohatera ZSSR” Nassera? Jak zareagował ZSSR na eks-terminację komunistów w Iraku i Syrii? A następca Nassera, Sadat, mając u siebie 15.000 „doradców” rosyjskich i całą broń z ZSSR, nie zawahał się przed likwidacją lewej frakcji z Ali Sabrim na czele, choć nosił on przecie dumne miano „człowieka Moskwy”. Co uczynił ZSSR? Posłał do Kairu Podgorny'ego. Może z ultimatum? Guzik. Z traktatem o przyjaźni na 15 lat. Ali Sabri może ich nie doczekać, bo według „generalnego prokuratora so-

cialistycznego", a taki tytuł nosi jego oskarżyciel, Sabri'emu grozi kara śmierci.

A w samym Sudanie? Przecież Nimeiri wie, że Kreml poparł frakcję, która oderwała się w 1970 roku od KC i postanowiła popierać Nimeiri'ego. Wie, że mimo, iż pierwszy jego apel o likwidowanie komunistów poszedł w masę jeszcze w lutym tego roku, to pomoc sowiecka, specjaliści i sprzęt nadchodzą nadal. Z tej broni właśnie rozstrzelano komunistów i oficerów sudańskich.

I tu wracamy do naszej myśli przewodniej. Czymże innym niż *zarabizowaną* wersją doktryny Breżniewa o ograniczonej suwerenności jest zasada proklamowana przez sokoła Islamu, płk. Kadafi, o nieuchronnej interwencji państw Federacji z Bengazi w przypadku zagrożenia socjalizmu, przepraszam ustroju, w którymś z krajów federacji. To właśnie w imię tej arabskiej doktryny Breżniewa, Kadafi porwał samolot brytyjski i wydał katom z Chartumu dwóch jego sudańskich pasażerów. To właśnie w imię jedności arabskiej i zarabizowanej doktryny Breżniewa, Sadat przetrzucił znad Suezu do Chartumu na pokładzie samolotów sowieckich brygadę sudańską, która zdecydowała o powrocie Nimeiri'ego i masakrze komunistów. Analogie są tak uderzające, że nie ma nawet cienia wątpliwości, iż szkolnymi operacjami dla Kadafi'ego i Sadata są Budapeszt 1956 i Praga 1968.

„Cicho, sza...”

...powiedziałem do siebie po polsku po przeczytaniu tego co wyżej: nie ma się z czego cieszyć! I nie należy kończyć tego krótkiego przeglądu ostatnich sukcesów sowieckiej myśli politycznej bez sformułowania garści refleksji natury ogólniejszej. I bardzo smutnej. Nie jest bowiem wesoło, kiedy jedno z mocarstw decydujących o losach świata popełnia szkolne błędy, choć, jak wiadomo, w polityce błąd jest gorszy od zbrodni i zachowuje się jak pensjonarka, choć dziewictwo w polityce nie jest cnotą.

Nie jestem zresztą w tej zadumie osamotniony. Jak wynika ze znajdujących się w moim posiadaniu tajnych dokumentów CIA, w kwietniu tego roku przed Podkomisją bezpieczeństwa Senatu USA stanął p. Robert Conquest, jeden z czołowych sowietologów angielskich, mało popularny w ZSSR, ale szanowany na Zachodzie. P. Conquest już po raz drugi zaproszony został na koszt rządu USA aby podzielić się z senatorami swymi poglądami na sytuację w ZSSR. Conquest stwierdził więc, a było to w kwietniu, a więc przed ostatnią „czarną serią” Kremla, że stoimy „w obliczu najbardziej niebezpiecznej dekady w historii świata” i że niebezpieczeństwo to płynie z przeciętności ekipy sowieckiej, złożonej z „ludzi o trzeciorzędnym poziomie, o ograniczonej inteligencji, o predyspozycji do wpadania w panikę w obliczu nagłych kryzysów”.

Conquest uważa, iż źródła tego niskiego poziomu i braku odporności intelektualnej i psychicznej wynikają z faktu, iż bigoteryjni dogmatycy kierujący obecnie Związkiem Sowieckim ufor-

mowani zostali w latach stalinizmu i terroru, „w najbardziej wyniszczającym rozum ludzki okresie ZSSR”.

Jak widać, wesoło rzeczywiście nie jest, zwłaszcza, iż niebezpieczeństwo rośnie wprost proporcjonalnie do wzrostu liczby megalomanów w silosach po obu stronach.

Oczywiście byłaby jakaś nadzieja, gdyby przywódcy sowieccy czytali *Kulturę*. Ale — jak wynika z rezultatów ich polityki — oni *Kultury* nie czytają. Czytają jednak na pewno Lenina. Radziłbym im więc zapoznać się z tym fragmentem dzieł wielkiego wodza i nauczyciela, gdzie przestrzega on pewnego wroga ludu:

„A wy, Zinowiew, nie malujcie nacjonalizmu na czerwono”.

Ani na żaden inny kolor!

BRUKSELCHYK

Pisane 7 sierpnia 1971 r.

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 204 - WITOLD GOMBROWICZ

TEATR

TOM V „DZIEŁ ZEBRANYCH”
(IWONA KSIĘŻNICZKA BURGUNDA —
ŚLUB — OPERETKA)

Str. 224

Cena F. 18,50 (dol. 4,00; £ 1.60)

TOM 205 - WITOLD GOMBROWICZ

DZIENNIK (I)

1953-1956

TOM VI „DZIEŁ ZEBRANYCH”

Str. 304

Cena F. 25 (dol. 5,00; £ 2.00)

TOM 206 - SERIA « DOKUMENTY »

WŁADYSŁAW BIEŃKOWSKI

DROGI WYJŚCIA

Trzecia praca autora „Motorów i hamulców socjalizmu” (Tom 183 „Biblioteki Kultury”) i „Kryzysu rolnictwa” (Tom 193 „Biblioteki Kultury”).

Str. 88.

Cena F. 10 (dol. 2,25; £. 0,93)

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Lato bieżącego roku obfitowało w wydarzenia. Gazety już po dwóch tygodniach wydają się beznadziejnie przestarzałe, nie mówiąc o pismach, które ukazywały się w lipcu. Przeglądając notatki za ostatnie dwa miesiące widzę, że większość z nich prawie nikogo nie może zainteresować.

Jednak dwa wydarzenia, które miały miejsce w lipcu br. poza granicami Związku Sowieckiego, będą miały niewątpliwie długotrwały wpływ na politykę Moskwy.

Zacznijmy od przewrotu i kontrprzewrotu w Sudanie.

Z niezwykłą dla siebie szybkością zareagowała *Prawda* na upadek generała Nimeiri i dojście do władzy Haszem El Atta. Już w tytule była ocena: „Zmiany na lepsze”. Gazeta przedrukowała oświadczenie irackiej agencji telegraficznej, depeşe Tass'a z Kairu oraz ocenę kairskiego korespondenta, podkreślającą: „Nimeiri i członkowie rewolucyjnego komitetu zostali aresztowani”. „Irak uznał rząd Haszem El Atta”. Tass informował, że jest przewidziane „stworzenie narodowo-demokratycznego frontu, który będzie reprezentował sojusz robotników, chłopów, narodowej inteligencji, żołnierzy, wolnych oficerów oraz przedstawicieli narodowego kapitalizmu”.

Jednym słowem wspaniałe zwycięstwo sił postępowych.

Następnego dnia czytelnicy *Prawdy* dowiedzieli się, że rewolucyjny komitet sudański otrzymuje depeşe z wyrazami poparcia nowego rządu.

Przeszedł jeszcze jeden dzień i na samym dole 5-tej strony pojawiła się króciutka wzmianka zatytułowana: „Wydarzenia w Sudanie”. Wynikało z niej jasno, że „Przewodniczący komitetu rewolucyjnego (niestety już innego, choć również rewolucyjnego) Dżaffar Nimeiri... oświadczył, że uczestnicy przewrotu zostaną surowo ukarani, że ukarani będą również i komuniści”.

Przez cztery dni prasa sowiecka wstydliwie pisała o wydarzeniach w Sudanie na ostatnich stronach, w paru wierszach infor-

mując o egzekucjach komunistów i uczestników przewrotu. Moskwa widocznie na coś liczyła. W ciągu tych dni, gdy w Sudanie odbywało się polowanie na członków kompartii, w Kairze — na kongresie Arabskiego Socjalistycznego Związku — wystąpił sekretarz KC KPZS, Borys Ponomarew. Nie wspominając ani słowem o Sudanie, sekretarz KC kładł nacisk na wieczystą przyjaźń wiążącą ZSSR z Egiptem. *Prawda* poinformowała, że po przemówieniu Ponomarewa „w sali długo nie milkły burzliwe oklaski i wiaty na cześć sowiecko-egipskiej przyjaźni, KPZS i narodu sowieckiego”. A więc wszystko dobrze, a nawet znakomicie.

Ale już 28 lipca, w dwa dni po wystąpieniu sekretarza KC KPZS w Kairze, na pierwszej stronie *Prawdy* pojawia się tytuł: „Represje nie ustają”. To — o Sudanie. A na 4-ej stronie oświadczenie Tass'a piętnujące krwawy terror i rozdmuchiwanie antykomunistycznej propagandy, która może radować jedynie imperialistów i reakcjonistów. Pojawiają się już pierwsze wiadomości o „protestach” mas pracujących. Możliwe, że robotnicy trochę się zdziwili, że należy protestować przeciw działalności arabskich postępowych leaderów, kochających bez zastrzeżeń naród sowiecki. No, ale jak każą protestować — to protestują.

Nawiasem mówiąc Aleksandr Galicz poświęcił jedną ze swych ostatnich piosenek właśnie protestom. Opowiada on, jak robotnikowi z dziada pradziada, Klimowi Piotrowiczowi, polecają wystąpić z protestem. Dano mu zawnazs przygotowany tekst, a on — człowiek piśmienny — nie przeczytał go przedtem, a dopiero bezpośrednio na trybunie:

„Izraelska, — mówię, — soldateska,
znana jest całemu światu.
Jak matka, — mówię, — i jak kobieta:
żądam ich ukarania!”

Okazało się, że działacz partyjny, przygotowujący teksty, pomylił papierki. Ale wszystko odbyło się w porządku: wszyscy klaskali i głosowali za odpowiednią rezolucją.

W ciągu szeregu następných dni mnożyły się protesty w całym Związku Sowieckim. Gazety grzmiąły: „Terror w Sudanie”. 31 lipca ukazało się oświadczenie Tass'a, w którym przywódcy sowieccy, którzy stracili cierpliwość, przywoływali swoich podopiecznych Sudańczyków do porządku, grożąc sankcjami. Jednocześnie w *Prawdzie* pojawiła się króciutka wzmianka: „Pekin — Chartum — wzajemne gratulacje”. Sowiecki czytelnik zrozumiał, że sudańscy przywódcy ostatecznie zdradzili naród sowiecki.

Znacznie ostrożniej zachowała się sowiecka prasa w odniesieniu do informacji o zamierzonej wizycie Nixona w Pekinie. Wiadomość o tym pojawiła się w *Prawdzie* z trzydniowym opóźnieniem, w porównaniu do prasy światowej. Potem, przez osiem

dni, gazety ograniczały się do cytatów z pism i gazet zagranicznych, bez własnych komentarzy. Wybór cytatów — rzecz jasna — równał się komentarzowi. We wzmiance „Zaproszenie ze stażem” można było przeczytać że *Washington Daily News* „komentuje decyzję Nixona odwiedzenia Pekinu na zaproszenie władz chińskich, jako kulminacyjny moment 26-cioletnich zabiegów Mao i Czu En-lai’a doprowadzenia do skutku spotkania z prezydentem Stanów Zjednoczonych. „W drugiej wzmiance podano, że w artykule zamieszczonym w *Washington Post* znany sinolog, prof. Edward Friedman, sugeruje Amerykanom wykorzystanie faktu, że Mao jest przy władzy, gdyż rzekomo uważa on, że „w dalszej perspektywie Ameryka niekoniecznie jest zagrożeniem dla Azji”. *Prawda* podkreślała, że zdaniem Friedmana „nie wszyscy w kierownictwie Chin podzielają ten punkt widzenia Mao”.

Specjalnie obszernie cytowano komentarz Bułgarskiej Agencji Telegraficznej zakończony pytaniem: „Czy chęć 'normalizacji' (w cudzysłowach) nie jest w pierwszym rządzie podyktowana dążeniem do zjednoczenia sił w określonym kierunku, nie mającym nic wspólnego z prawdziwą troską o pokój i międzynarodową współpracę?” I, aby postawić kropkę nad i, Bułgarska Agencja sama odpowiada na swoje pytanie: „Na tle światowej polityki amerykańskiej i zabiegów kierownictwa chińskiego, by rozbić antyimperialistyczne szeregi, amerykańsko-chiński komunikat jest wyraźnym świadectwem tajnego porozumienia z imperializmem w celach politycznych”.

I gdy 25 lipca ukazał się wreszcie komentarz podpisany, jak zwykle w takich wypadkach, przez I. Aleksandrowa — linia rządu sowieckiego była już jasna. Komentarz zajął w gazecie dwanaście szpalt, z których na 10-ciu i pół wyłożono ocenę spotkania Mao-Nixon w prasie zagranicznej od *New York Times* do *Trybuny Ludu*. Czołowe miejsce wśród innych cytatów zajęło podane wyżej bułgarskie oświadczenie. Od siebie I. Aleksandrow dodał uspakajająco: „Wszelkie rachuby na wykorzystanie kontaktów Pekinu i Waszyngtonu dla jakiegoś „nacisku” na Związek Sowiecki i kraje socjalistyczne świadczą jedynie o utracie zmysłu realizmu.

Po tej linii prowadzona jest dzisiaj kontrpropaganda w prasie sowieckiej: Związek Sowiecki nie boi się spisku dwóch grabieżców.



Niedawno ukazała się w druku pierwsza część 5-go tomu sześciotomowej „Historii KPZS”. Może i nie warto byłoby zwracać uwagi na to radosne wydarzenie, gdyby nie ukazała się w niej nowa interpretacja przyłączenia do Związku Sowieckiego republik bałtyckich przed 31 laty. Jeszcze nie tak dawno „Historia Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego” (Moskwa, 1959 r.) twierdziła, że: „Pod naciskiem mas narodowych, w czerwcu 1940 roku we wszystkich trzech republikach bałtyckich nastąpiła zmiana rządu. Władza przeszła w ręce sił postępowych... Masy pracujące wystąpiły z żądaniem natychmiastowego stworzenia w ich kra-

jach władzy sowieckiej, zniszczonej przez Ententę w 1919 roku, i zjednoczenia ze Związkiem Sowieckim”.

Jak wiadomo, rząd sowiecki spełnił tę prośbę.

Tak pisano jednak tylko do niedawna. Teraz stało się wiadome, że w czerwcu 1940 roku w republikach bałtyckich odbyła się „rewolucja socjalistyczna”. Dokonano niezwyklej falsyfikacji historii: falsyfikacja ta ma ogromne znaczenie.

W książce mówi się dalej: „Socjalistyczne rewolucje na Łotwie, Litwie, Estonii, Zachodniej Białorusi, Zachodniej Ukrainie, a także w Północnej Bukowinie miały cały szereg specyficznych właściwości”.

O tych właściwościach mówi sekretarz KC estońskiej kompartii, Kebin, w jubileuszowym artykule, ogłoszonym w *Prawdzie*. „Rewolucja socjalistyczna w Estonii przeszła bezkrwawo — pisze sekretarz KC — tylko dlatego, że w Estonii, na skutek zawartego jesienią 1939 roku układu o wzajemnej pomocy, znajdowały się oddziały Armii Czerwonej. Nie mieszały się one (!?) w wydarzenia, ale sama ich obecność nie pozwoliła burżuazji powtórzyć lat 1918-1919 i wezwać na pomoc zachodnich imperialistów.

Jeśli zamienić daty i zamiast „Estonia” napisać „Czechosłowacja”, to otrzymamy „historyczne uzasadnienie” przebywania „nie mieszkających się” oddziałów Armii Czerwonej (i sojuszników) nad brzegami Wełtawy. Można także w tę formułę „socjalistycznej rewolucji w obecności nieinterweniującej Armii Czerwonej” wstawić i inne kraje. Krótko mówiąc doktryna otrzymała historyczne uzasadnienie. Wszystkie „narody blisko związane z narodami ZSSR wspólnotą historycznych losów, wspólnotą długoletniej walki z caratem...” mogą liczyć na pomoc. Nawiasem mówiąc, na tę pomoc mogą liczyć i niektóre inne narody, które nigdy przedtem nie należały do imperium rosyjskiego, jak to miało miejsce np. z Północną Bukowiną.

Specjalnie pikantnie — jeśli tak można to określić — wyglądają twierdzenia o rewolucji socjalistycznej na Litwie latem 1940 roku. Problem polega na tym, że przeszła ona tam zupełnie nieoczekiwanie. W pierwszym tajnym układzie między Moskwą a Berlinem, podpisanym w sierpniu 1939 roku, Litwa miała należeć do Niemiec. Ale potem Stalin rozmyślił się, i zamienił na Litwę województwo lubelskie. W notatce z rozmowy Mołotowa z Hitlerem 12 listopada 1940 roku szereg razy wymienia się pretenzje Hitlera, że województwo lubelskie nie jest z ekonomicznego punktu widzenia żadną kompensacją za Litwę, na co Mołotow stale odpowiadał, że jednak po tej zamianie będą definitywnie usunięte jakiegokolwiek tarcia między Niemcami, a Rosją.

Koniec końców przekonano Hitlera, i na Litwie mogła się dokonać „rewolucja socjalistyczna”.



Przez cztery dni, od 29 czerwca do 2 lipca, w Moskwie, na Kremlu, przemawiali sowieccy pisarze, ściślej, delegaci na V-ty

zjazd pisarzy ZSSR. Występowało, jeśli się nie mylę w obliczeniach, 36-ciu mówców, przy czym przygniatająca większość przemawiających nie przemawiała lepiej niż pisała: równie nudno i równie wiernopoddanie.

Ciekawe, że mówcy to rozumieci i drugim głównym tematem wszystkich bez wyjątku wystąpień (pierwszy to wierność partii) były skargi na szarość, na mierność zalewające literaturę sowiecką.

„Naszym największym nieszczęściem w literaturze, to nadmiar miernoty, tej zwodniczej widzialności, kiedy piany jest więcej niż żywej wody” — oświadczył Czyngiz, Aitmatow. „Nie mamy prawa — apelował Borys Polewoj — zamiast dobrego jedzenia, zamiast — powiedzmy — świeżego pachnącego chleba, dawać czytelnikom literackie plewy”. I bijąc się ze skrucą w pierś, przyznawał: „A przecież tak bywa, towarzysze, tak bywa”.

Sam Aleksander Czakowski, redaktor *Litieraturnoj Gaziety*, zaszczycony udziałem w zjeździe partii, smętnie stwierdzał: „Co raz bardziej zwiększa się ilość książek nudnych, ubogich w treść i pozbawionych jakichkolwiek walorów artystycznych”.

Niewprawny w dyplomacji, bułgarski pisarz Paweł Bocu, nazwał rzeczy po imieniu: „Są wypadki — nie należy obawiać się nazywania rzeczy po imieniu — agresywnego grafomaństwa”.

Najbardziej zabawne wyjaśnienie powodów dlaczego „agresywne grafomaństwo” zachwaziło literaturę sowiecką dał przewodniczący Komitetu do Spraw Druku przy Radzie Ministrów ZSSR, B. Stukalin (jeden z głównych cenzorów literatury). Okazuje się, że redaktorzy pism i dyrektorzy wydawnictw nie mogą odmawiać autorom rzemieślniczych książek z powodu „szerokiej demokracji naszego ustroju”. Można powiedzieć, że jest to typowy przykład prawdziwej sowieckiej demokracji. „Demokraci redaktorzy i dyrektorzy” mogą odmówić publikacji książek Sołżenicyna, natomiast grafomanów drukują chętnie i obficie.

Może jedynie Czyngiz Aitmatow zdecydował się na aluzję do rzeczywistego powodu kryzysu literatury sowieckiej, zaznaczając, że pałka w rękach krytyków bezlitośnie rozprawia się z pisarzami utalentowanymi ale nie całkowicie będącymi w linii, i wymienił tu nazwisko kirgiskiego pisarza Nurpieisowa i Białorusina Wasyla Bykowa.

W powodzi oficjalnych przemówień wystawiających partię i gromiących wrogą i nieprzyjazną ideologię można jednak wyłowić ślady sporów istniejących w środowisku literackim.

Dla Mikołaja Gribaczewa, jednego z najbardziej tępych reaktorów: „Pierwszym osiągnięciem w prozie w ostatnich latach jest odejście od artystyczno-historycznych fałszywych świadectw”. Za takie fałszywe świadectwa uważa Gribaczew książki próbujące choćby częściowo ukazać prawdę o okresie stalinowskim.

A dla Je. Jewtuszenki historia lat 50-tych pokazała „niektóre tragiczne strony przeszłości, których albo nie podejrzewaliśmy, albo mieliśmy o nich błędne pojęcie”. Gribaczew uważa prawdę za fałszywe świadectwo, a Jewtuszenko porównuje prawdę z łuk-

kiem — „Jeśli schowasz końce łuku w wodę, to środek łuku jest na zewnątrz, a jeśli środek schowasz, to końce się wysuwają”.

Z ostrą odprawą licznym „rosyjskim patriotom” wystąpił Konstantin Simonow: „Moja ojczyzna jest dla mnie najdroższą rzeczą na świecie. Jest dla mnie najlepszą ze wszystkich — piękniejszą od innych! Ale wystarczy wyrzucić z tych zdań słowa 'dla mnie', a z patriotycznych przekształcają się one w nacjonalistyczne”.

Ale Simonow nie byłby Simonowem gdyby ograniczył się do tak prostego i jasnego osądzenia nacjonalizmu, skierowanego przede wszystkim do rosyjskich szowinistów. Uzupełnił on swoje przemówienie cytata z Bielińskiego, która z miejsca zmieniła sens przemówienia. „Kochać swoją ojczyznę — pisał Bieliński — to znaczy chcieć gorąco widzieć w niej realizację ideałów ludzkości... W przeciwnym wypadku patriotyzm będzie chińszczyzną, która kocha swoje tylko za to, że jest swoje, a nienawidzi obcego, tylko za to, że jest obce”. Słowo „chińszczyzna” postawiło wszystko na swoim miejscu i wywołało oklaski pisarzy, zachwyconych kunsztem Simonowa wybierania cytaty.

Niemniej zręczne przemówienie wygłosił Jewtuszenko. Osądził on Anatolija Kuzniecowa, ale jednocześnie osądził Koczetowa za powieść „Czego ty chcesz?”. Jewtuszenko oświadczył, że „Nie może być zakazanych tematów”, ale zgodził się, że może być „zakazane podejście do tematów” (nie bardzo jest jasne co to znaczy). „Gdy czyta się artykuły niektórych namiętnych obrońców przeszłości — powiedział — to zdumiewa, w jaki sposób ci młodzi ludzie, urodzeni po rewolucji październikowej, zapożyczyli swoje ideały od reakcyjnych ideologów słowianofilijskich”. Jewtuszenko przypomina, że: „W Rosji śpiewano nie tylko 'Boże caria chрани', ale również 'międzynarodówkę’”.

Zadeklarowawszy w ten sposób swoje „prawdziwe komunistyczne” credo, Jewtuszenko zażądał dla siebie i dla swoich rówieśników udziału w kierownictwie prasą i życiem literackim.

Trudno stwierdzić, czy Jewtuszenko przekonał, że on i jego współwyznawcy są bardziej prawowierni obrońcami sowieckiego ustroju, od neosłowianofilów. Jewtuszenko i Wozniesiński zostali wybrani do zarządu Związku Pisarzy, natomiast nie ma ich już w sekretariacie, który faktycznie kieruje Związkiem.

Fakt jednak pozostaje faktem — kierownictwo Związku Pisarzy (jak zresztą w całym Związku Sowieckich Republik), pozostaje w rękach starców. Czterdziestoletniego Jewtuszenkę trudno nazwać młodzieńcem. Średni wiek delegatów na zjazd pisarzy wynosił 56 lat. Wiek sekretarzy jest jeszcze wyższy. Ciekawe, że średni wiek delegatów na pierwszy zjazd pisarzy w 1934 roku był 35,5 lat.

Trzeba co prawda stwierdzić, że na pierwszym zjeździe było wśród delegatów 52,8 % członków partii, a na piątym — 80 %. Człowiek mający skłonność do zadań matematycznych mógłby łatwo ustalić równanie, że im więcej członków partii, tym więcej starców, tym gorsze książki.

Jak zwykle, na zjazd pisarzy sowieckich przyjeżdżają goście

zagraniczni. Na pierwszym zjeździe był André Malraux, Aragon, Weisskopf, przysłał list Romain Rolland. Na V-tym zjeździe nie było zagranicznych pisarzy, byli tylko delegaci, przedstawiciele związków pisarzy z różnych krajów, z Jarosławem Iwaszkiewiczem na czele. O większości gości nawet uprzejmi gospodarze nie mogli nic powiedzieć.

Zjazd odbył się pod znakiem nowego wybitnego znawcy literatury, Leonida Iljicza Breźniewa, cytaty z którego ozdabiały 85 % przemówień na zjeździe. No, ale to jest tradycją zjazdów sowieckich. Drogę wskazał już Maksym Gorkij. I-szy zjazd zamknął on słowami: „Niech żyje partia Lenina — wódz proletariatu, niech żyje wódz partii Josif Stalin”. Wystarczy tylko zmienić nazwisko „wódza partii” w pełni zachowując formułę.

Adam KRUCZEK

Pięciolatki literatury ukraińskiej

Nie tak dawno moskiewska *Gazeta Literacka* mocno obraziła się na pewnego francuskiego autora, który powiedział, że głównym źródłem natchnienia dla literatury sowieckiej jest kalendarz. Obraża nastąpiła mimo to, a może właśnie dlatego, że jest to prawda. Literatura ukraińska ostatnich kilku lat była wielce obciążana różnymi datami i rocznicami. Sama rocznica leninowska wypełniła jakieś trzy lata. Nie łatwo wprowadzać do literatury tematykę tak mało literacką; największe powodzenie w tym wychwalaniu Lenina przypadło poecie (nie najgorszemu), Witalijowi Korotyczowi, autorowi wiersza „Lenin, tom 54”. Do tego doszły dwa, raczej domowe, wcale okazałe rocznice — Łesi Ukrainki i Wasyla Stefanyka. A oprócz tego wypadło pomagać Francuzom w obchodzeniu stulecia paryskiej Komuny. Mówiąc nawiasem, jeżeli nacisk kładzie się na rocznice, jest to niewątpliwy dowód wewnętrznej stagnacji literackiej.

W warunkach sowieckich przypisuje się wielkie znaczenie zjazdom literackim, jak gdyby na nich można było planować dalszy rozwój piśmiennictwa. A że zjazdy te odbywają się w przybliżeniu co pięć lat, wygląda na to, że istnieją literackie pięciolatki, których zadania zresztą tak samo nie są wykonywane, jak zadania pięciolatek gospodarczych. Poprzedni zjazd pisarzy Ukrainy (1966) był jeszcze o tyle interesujący, że omawiano na nim doniosłe życiowe problemy: sprawę obrony ukraińskiego języka przed rusyfikacją i zagadnienie literatury przekładowej. Natomiast, szósty z kolei zjazd, który odbył się w dniach 18-21 maja bieżącego roku, miał wszystkie cechy czysto breźniewowskiego

stylu: pominięto na nim wszystkie bolesne i drażliwe zagadnienia, ograniczając się do uroczystych pochwał generalnej linii partii. Ale zanim dojdziemy do dokładniejszego omówienia, zatrzymajmy się na dwóch epizodach wcześniejszej, przedzjazdowej daty, które dobrze ilustrują warunki, w jakich literatura ukraińska wchodzi w bieżącą pięciolatkę.

Pierwszy z tych epizodów dotyczy niezbyt znanego pisarza, Romana Andrijaszuka. W lecie 1969 roku charkowskie czasopismo *Prapor* (Sztandar) wydrukowało powieść „Połtawa”. Wprawdzie powieść jest całkiem dobra, ale jakoś nie została zauważona i krytyka zupełnie ją przemilczała. Aż nagle i niespodziewanie, dopiero w grudniu 1970, stary halicki komunista, Bohdan Dudykewycz, uderzył na alarm w oficjalnym partyjnym piśmie *Radianśka Ukraina*: Andrijaszuk, powiada, przeinaczył historię walki Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy po pierwszej wojnie światowej. Zgodnie z patetyczną formą komunistycznych wypowiedzi, autor „zmacił... czyste źródła” wybranej tematyki.

Na sygnał, rzucony przez oficjalne pismo, musiał, rzecz prosta, zareagować Związek Pisarzy Ukrainy, ukazało się jeszcze kilka artykułów i zwołana została specjalna narada dla omówienia szkodliwej powieści. Wszyscy wymyślali Andrijaszukowi, ale nie będziemy przytaczać dosłownie tych pośmiewek, ani powtarzać krytycznych argumentów, ograniczymy się do teoretycznego uzasadnienia win Andrijaszuka, sformułowanego lapidarnie przez literackiego krytyka (i członka-korespondenta Akademii Nauk) Leonida Nowiczenkę. Powieść Andrijaszuka jest, według niego, dlatego szkodliwa, że autor „usiłuje oceniać” wydarzenia owych lat w Ziemi Halickiej „w inny sposób, niż to na ogół zostało przyjęte w marksistowskiej historiografii”.

Jak błyskotliwie Nowiczenko przedstawił całą istotę realizmu socjalistycznego, widać najlepiej na kilku przykładach. Jedną z postaci Andrijaszuka uważa, że gdyby rząd Petruszewycza w taki a nie inny sposób poprowadził ofensywę w roku 1919, przeciw armii Hallera, to utrzymałyby w swoich rękach Lwów, Hałyczyna uzyskałaby niepodległość i nie znalazłaby się pod polską władzą. „Błąd” autora polega więc na tym, że gdyby kierował się interpretacją „ogólnie przyjętą”, wiedziałby, że Petruszewycz (podobnie jak Petlura) wcale nie chciał niepodległej Ukrainy: myślał tylko o tym, komu by tu „sprzedać” Ukrainę, a już najpewniej Polsce.

Drugi przykład. W powieści Andrijaszuka występuje ksiądz grecko-katolicki, który, przynębiony sytuacją ziemi Halickiej pod polską władzą, wygłosił kazanie do wiernych, oświadczając w nim, że taki niesprawiedliwy świat nie mógł być stworzony przez dobrego Boga, wobec czego on, ksiądz, postanawia złożyć sukienkę duchowną. Tu znowu autor powieści rozminął się z prawdą „ogólnie przyjętą ocen”, ponieważ nie może być odstępstwa od reguły, według której każdy kapłan grecko-katolicki jest „lo-kajem i szpiegiem Watykanu” i nic mu nie może sprawić więk-

szej przyjemności, jak sprzedanie Ukrainy jeśli już nie Watykanowi, to przynajmniej katolickiej Polsce.

Właściwie to powinno wystarczyć, ale trzeci przykład wypada tak paradoksalnie, że warto go przytoczyć. Autor „Połtawy” zapewnia, że w Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy roіło się od polskich agentów. Gdyby to napisał za czasów Stalina, to zapewne otrzymałby najwyższą państwową nagrodę, bo przecież Stalin zlikwidował tę partię i wystrzelał jej przywódców właśnie za to, że, opanowana przez burżuazyjnych nacjonalistów, sprzedawała Ukrainę polsko-niemieckiemu imperializmowi. Na nieszcześnie Andrijaszuk spóźnił się o całe czterdzieści lat. W chwili, kiedy pisał swoją powieść, KPZU była już „zrehabilitowana” i już nie wolno było zamącać jej „czystych źródeł”.

Jak widzimy, „ogólnie przyjęte oceny” zmieniają się niemal tak często, jak generalni sekretarze Komitetu Centralnego KPZS, ale każdej chwili stanowią dla pisarza obowiązujące dyrektywy. I gdyby nawet czterdziestu Andrijaszuków pisało powieści o Hałczyźnie pod polskim panowaniem, wszyscy oni muszą być identycznie zorientowani. Na tym właśnie polega realizm socjalistyczny.

Na domiar złego, Andrijaszuk jest nie tylko utalentowanym autorem, którego stać na naprawdę dobrą prozę, ale także człowiekiem stojącym na wysokim poziomie intelektualnym, partyjny prymityw zaś najbardziej nie lubi i boi się piśmiennictwa intelektualnego, bo wpada w przestrasz, gdy mowa o tym, czego on nie zna. Gdy na przykład Andrijaszuk wspomina o wojnie z Albigenami, komisarze niepokoją się: może tych Albigenów w ogóle nigdy nie było i pisarz ich sobie wymyślił, żeby naprowadzić czytelnika na analogię — że niby właśnie w taki sam sposób niszczy się obecnie Ukraińców.

Biorąc ogólnie, ostatnie dziesięciolecie charakteryzują się tym, że partyjni komisarze nabrali w kierownictwie literackim znacznie większej siły. Dawniej taki na przykład Instytut Literatury przy Akademii Nauk w Kijowie był solidną naukową instytucją, na jego czele stał wtedy Ołeksander Biłeckyj. Jako człowiek starej szkoły z solidnym wykształceniem klasycznym, był dobrym znawcą europejskich języków i literatury. I przy największym nawet partyjnym nacisku, nie można go było sprowadzić poniżej poziomu pewnej naukowej przyzwoitości, jak również nie wypadało pozbawiać go prawa do twierdzenia, że wartość literatury ukraińskiej można naprawdę określić tylko na tle literatury światowej.

Tamta generacja, pochodząca ze starej szkoły, już wymarła, a na jej miejsce przyszli partyjni komisarze. Kiedy przed dziesięć laty umarł także Biłeckyj, na stanowisko dyrektora Instytutu Literatury wyznaczono Mykołę Szamotę. Nie można o nim powiedzieć, że jest całkowicie pozbawiony wykształcenia, ale jest to wykształcenie bardzo specyficzne; Szamota skończył Wyższą Szkołę Partyjną przy Komitecie Centralnym KPZS, z tytułem doktora filologii, a po wyznaczeniu na stanowisko dyrektora Instytutu został on wybrany rzeczywistym członkiem Akademii Nauk

w Kijowie. Formalnie biorąc, niby wszystko w porządku. Ale „filologia” Szamoty jest tak samo osobliwa, jak całe jego wykształcenie; jest to filologia partyjna, a tytuł naukowy zobowiązuje go nie tyle do naukowej uczciwości, co do pilnowania, żeby nie było odchyień od partyjnej linii. Tak oto partyjni komisarze przeniknęli w ciągu ostatnich dziesięcioleci do wszystkich dziedzin życia literackiego i mocno je sprymityzowali. Komisarze nie znoszą w literaturze jakichkolwiek niejasności i, broń Boże, żeby pisarz wdawał się w jakieś filozofowanie, które można interpretować w dwuznaczny sposób.

Wspomniany powyżej Bohdan Dudykewycz pisał o powieści Andrijaszuka w następujący sposób: „Cała powieść wypełniona jest jakimiś mętными, niewyraźnymi ‘filozoficznie’ rozważaniami bohaterów, w których nie łatwo wysledzić myśli autora”.

Przy czytaniu powieści nie trudno zorientować się, jakie to „niewyraźne” rozważania niepokoją Dudykewycza. Ot, na przykład, takie zdanie: „W Hałczyźnie zawsze pozostanie iskra umiłowania wolności, nawet wtedy, kiedy ją zrobią polskim czy niemieckim krajem”. Nie ma tu żadnej specjalnej filozofii i Dudykewyczowi nie brakuje inteligencji aż do tego stopnia, aby nie zrozumieć, że czytelnik może tę myśl poprowadzić dalej i dojść do wniosku, iż w Hałczyźnie, nawet po zerobieniu jej na rosyjską, „pozostanie iskra umiłowania wolności”. Wypada więc, że książka prowokuje czytelnika w kierunku antysowieckiej propagandy. To dlatego komisarze nie lubią książek, w których „niełatwo wysledzić myśli autora”. Pragną oni, aby wszystko było jasne i niedwuznaczne, i czuje się znacznie spokojniej, gdy, jak grzyby po deszczu, ukazują się powieści o następującym schemacie: zapóźniony w rozwoju kołchoz, ponieważ zły przewodniczący pozwala na rozkradanie socjalistycznej własności i rujnowanie gospodarstwa; sekretarz partii demaskuje zbrodniarzy, w rejonie wyznaczają nowego przewodniczącego, kołchoz staje się przodującym, a w epilogu powieści mamy wesele zasłużonej przodownicy.

Niczym nie można bardziej zaniepokoić literackiego komisarza, jak twierdzeniem, że piśmiennictwo sowieckie rozwija się według przytoczonego schematu. Komisarz natychmiast zaczyna udowadniać, że realizm socjalistyczny przedstawia nieograniczone możliwości dla różnorodnej tematyki. I ma swoją rację, bo podany schemat pozwala na niezliczone wariacje: zamiast kołchozu można przedstawić sowchoz, fabrykę, spółdzielnię, można przetasowywać „pozytywnych” i „negatywnych” bohaterów. To wszystko nie zmienia faktu, że w ostatecznym rozrachunku wszystkie utwory wypadają bliźniaczo do siebie podobne.

Literatura tego rodzaju jest popierana wszystkimi sposobami i z roku na rok ukazuje się coraz więcej tytułów, co daje podstawy do mówienia na partyjnych, literackich, czy innych zjazdach o „rozkwicie” ukraińskiej kultury. Nie podają tytułów tych literackich utworów, ani nazwisk ich autorów, bo nie ma potrzeby: do czytelnika mego artykułu książki te nigdy nie dotrą,

a gdyby nawet dotarły, musiałbym czytelnika uprzedzić, że na czytanie tych książek marnować czasu nie należy.

A teraz omówię drugi z obiecanych przez mnie epizodów, charakteryzujący sytuację literatury ukraińskiej, z nieco innej strony. Sprawa łączy się z czasopiśmem *Wseswit*. Czasopismo powstało podczas jednego z tych, zawsze krótkich okresów, kiedy w konsekwencji złagodzenia terroru kultura ukraińska nabiera cech większej narodowej niezależności i, choć jak zawsze gnębiona, zdobywa się na szybkie odrodzenie. Toteż nie dość poinformowany cudzoziemiec łatwo mógłby dojść do wniosku, że na Ukrainie coraz to następuje nowy renesans.

Działo się to w 1958 roku. Literatura ukraińska istotnie wtedy odradzała się i potrzebowała, jak oddechu, bliższego kontaktu ze światem zewnętrznym. Tak doszło do powstania owego czasopisma, które jak świadczy sama jego nazwa, miało dawać informacje z całego świata, kładąc nacisk na zjawiska kulturalne, a zwłaszcza literackie. Rolę takiego informatora czasopismo wykonywało dość podle. Wynikało to już z samego nastawienia: podawano wiadomości przede wszystkim ze świata „socjalistycznego”, a jeżeli już z Zachodu, to tylko o zjawiskach „postępowych”. Całą resztę fałszowano tak bardzo, że gdyby w tym była choćby część prawdy, połowa mieszkańców Europy dawno by uciekła do Związku Sowieckiego.

Dochodzi sam fakt istnienia żelaznej kurtyny, przez którą sowieckiemu pisarzowi jest równie trudno przebić się, jak każdemu innemu obywatelowi. W wyniku informacje nigdy nie pochodzą z pierwszego źródła, lecz z drugich rąk: przeważnie z satelickich wydań tego samego typu, albo z zachodnich czasopism ilustrowanych, co przypadkowo trafiają do Kijowa. A zanim wiadomości przejdą przez kuchnię redakcyjną, zatracają swoją aktualność, a często są tendencyjnie przekręcane.

Wybór naczelnego redaktora *Wseswitu*, Ołeksija Połtorackiego, był z partyjnego punktu widzenia jak najbardziej właściwy. Chodzi o konformistę pozbawionego wszelkich zasad, całkowicie skompromitowanego w kołach literackich. W okresie stalinowskim donosił na likwidowanych ówczynie pisarzy, a w latach ostatnich z jego zaprawionego w donosicielstwie pióra korzystało KGB, gdy trzeba było oskarżyć działaczy narodowej opozycji: Swiatosława Karawańskiego, Wiaczestawa Czornowoła i innych.

Wydawałoby się, że pod takim pewnym kierownictwem *Wseswit* nikomu nie będzie zawadzać. A jednak, kiedy w roku 1961 do partyjnego programu włączono tezę o „złaniu się narodów”, czasopismo to w ogóle stało się niepotrzebne. „Złanie się narodów” to przejrzysty eufemizm, oznaczający po prostu rusyfikację, która będzie tym skuteczniejsza im bardziej zredukuje się rola innych, nie rosyjskich języków. Jeszcze w szczęśliwszych czasach, w roku 1926, Mychajło Hruszewskij przewidywał, że pod władzą sowiecką pozostanie dążenie Rosji do „utrzymania ukraińskiej kultury w podrzędnym stanie, do jakiego sprowadziły ją carskie zakazy, i tego dystansu, jaki wytworzył się między wielkopanstwo-

wą kulturą rosyjską kulturą prowincji, a przede wszystkim najbardziej niebezpieczną, bo posiadającą największe aspiracje, kulturą ukraińską. Zapewnić kulturze wielkorosyjskiej absolutną hegemonię... Zepchnąć lokalne kultury do „domowego użytku”, kulturze wielkorosyjskiej zaś przeznaczyć rolę „okna do Europy”, tej formy, w jakiej twórczość całego świata ma docierać do wiedzy, świadomości i użytku „mniejszych narodów” (stąd zbędność przekładów na ukraiński i na inne języki) itd., itd.

W ciągu ostatnich dziesięcioleci sprawy te zaszły na Ukrainie już dość daleko: prawie całkowicie usunięto język ukraiński z wyższego, a nawet ze średniego szkolnictwa. Literatura naukowa, z nielicznymi wyjątkami, ukazuje się w języku rosyjskim. Przestało istnieć ukraińskie wschodoznawstwo, w którym wybili się tacy badacze i tłumacze, jak Agatanheł Krymskij, Pawło Ritter, Andrij Kowaliwskij; jeśli kto pragnie czytać wschodnich pisarzy, ma do dyspozycji przekłady rosyjskie. Aby ostatecznie sprowadzić mowę ukraińską do „domowego użytku”, jak to mawiano w XIX stuleciu, wystarczy zerwać literackie związki z Zachodem: kto chce czytać zachodnich autorów, niech ich czyta w rosyjskich przekładach.

I właśnie na zawadzie stanęło, przy całej swojej słabości, owe czasopismo *Wseswit* — mimo wszystko jakieś „okienko do Europy”. A że nie można go po prostu zamknąć, wzięto się na sposób, żeby samo powoli upadło. Kilkakrotnie uprzedzano Połtorackiego, że w niedostatecznym stopniu oświetla rewolucyjną walkę na Zachodzie, natomiast zbyt wiele miejsca udziela apolitycznym, czysto artystycznym zagadnieniom. Mimo że taki konformista, Połtorackij, jako dobry znawca literatury zachodniej, ogłosił w czasopiśmie bodaj że dwa tuziny pierwszorzędných przekładów. Widocznie przekonano się, że, aby odebrać *Wseswitowi* wszelką wartość, potrzebny jest nowy redaktor naczelny. Przed samym zjazdem pisarzy na miejsce Połtorackiego wyznaczony został Dmytro Pawłyčko.

Nasze przypuszczenia, że zmiana ta ma właśnie taki cel, a nie inny, są na razie czysto apriorystyczne, ale chyba nie mylimy się, bo wszystkie posunięcia, przeprowadzane dziś w literaturze ukraińskiej, są obliczone nie na polepszenie, lecz na jej uduszenie. Nowy redaktor *Wseswitu* to taki sobie chłopcacyzna, któremu mało zależy na tym, co dzieje się na literackim Zachodzie, natomiast z partyjnego punktu widzenia jest człowiekiem całkowicie pewnym.

Wystarczą te dwa epizody, choć można by ich przytoczyć ze dwadzieścia, aby przekonać się w warunkach jakiego upadku został zwołany szósty zjazd ukraińskich pisarzy. Powinien był stać się wydarzeniem, ale pozostał mało ważnym epizodem, mimo, że zorganizowano go z całym uroczystym przepychem. Zadbano, by wspaniale wypadło prezydium zjazdu, do którego weszli nie tylko wszyscy partyjni dostojnicy Ukrainy, ale również Biuro Polityczne KC KPZS *in corpore*. Imponująco w zamyśle miały wypaść referaty, których było aż pięć, każdy poświęcony innemu rodzajowi

literackiemu (proza, poezja, dramat, literatura dla dzieci, krytyka). Ale wszystkie zagadnienia twórcze, wszystkie konflikty zostały w tych referatach starannie pominięte. Sprawozdawcy ograniczyli się do danych liczbowych: wymieniano, kto pisze dobrze, kto przeciętnie, a kto nieco gorzej. Chwalono się osiągnięciami statystycznymi: w okresie piątego zjazdu (1966) było 770 członków związku, a obecnie — 858. Poinformowano, że w ciągu ostatnich pięciu lat wydano 514 książek, nawet wdawano się w takie szczegóły, jak ilość wydrukowanych arkuszy. Co do mnie, sądzę, że można by podać jeszcze ogólną wagę, bo na zjeździe omawiano właśnie tę kołchoźniczą literaturę schematyczną, którą najlepiej byłoby ważyć na kilogramy. A o literaturze prawdziwej, która na zjeździe jak gdyby nie istniała, jeszcze będą mówić nieco dalej.

Gdyby ktoś chciał poznać literaturę ukraińską tylko z gazety *Literaturna Ukraina*, gdzie ogłoszono skrócony stenogram Zjazdu, mógłby nawet nie zauważyć, jaka straszliwa dyskryminacja została zakumulowana blichtrzem zjazdowych uroczystości. Nikt ze sprawozdawców i mówców nawet słowem nie wspomniał, że wszyscy najlepsi poeci zostali wyeliminowani z literatury ukraińskiej, jak gdyby nigdy nie istnieli. Możliwe, że polski czytelnik zna kogoś z tych, których zaraz wymienię. Utworów Liny Kostenko, pierwszej poetki literackiego odrodzenia końca 1950 roku (jej pokolenie otrzymało nazwę pisarzy „lat sześćdziesiątych”), nie drukują od roku 1962, od chwili, gdy poetka zaprotestowała przeciw zniekształceniu przez cenzurę jej zbioru poezji, „Zorianyj integrał”, który ostatecznie nie ujrzał światła dziennego. Od roku 1969, odkąd wydawnictwo zablokowało książkę „Widczyennia wertepu” — nie drukują Ihora Kałynca. Od dawna zamknęły się szpalty wszystkich gazet i czasopism (o wydawaniu osobnych książek nie ma nawet co mówić) przed dwoma innymi, bardzo oryginalnymi poetami: Wasylem Hołoborod’ko i Mykołą Worobjowem. Utwory tych wszystkich poetów drukowane były na Zachodzie, dokąd przedostały się nielegalną drogą („samwydaw” — rosyjski „samizdat”).

Można by powiedzieć, że do tych poetów zastosowano sankcje za składanie podpisów pod listami do wyższych instancji, czy za protesty w innej formie przeciw aresztom i zesłaniom, jakie w ostatnich latach stały się udziałem działaczy narodowej samoobrony. Ale to nie wyjaśnia, dlaczego z ukraińskiej literatury znikło bez śladu jeszcze kilku utalentowanych poetów, którzy w akcjach oporu nie brali żadnego udziału. Od stycznia 1970 roku wychodzi w „samwydawie” *Ukrainskyj Wisnyk* (dotychczas ukazało się pięć numerów), w którym odnotowywane są dokładnie nazwiska tych wszystkich, którzy padli ofiarą represji, albo w jakikolwiek sposób przeciw nim protestowali. Nie ma tam nazwisk pewnych poetów, którzy mimo to tajemniczo z literatury zniknęli. Narzuca się tylko jeden wniosek: zlikwidowano ich tylko za to, że są prawdziwymi poetami. Literacki komisarz intuicyjnie nie dowierza temu, co prawdziwe, nawet, jeśli pod względem politycz-

nym jest bez zarzutu. Zapewne i on sam nie zdaje sobie sprawy, że w takim nastawieniu tkwi swoista logika: prawda poetycka jest w swojej istocie dla niego szkodliwa, bo zmusza do poważnego stosunku do ukraińskiej mowy, a tym samym oznacza wzmocnienie oporu przeciw rusyfikacji, a więc ma antypartyjny charakter. Mówiąc o tym, mam na myśli interesującego młodego poetę, Hryhorię Kyryczenkę, który na początku lat sześćdziesiątych ogłosił kilka cyklów poezji, odznaczających się kulturą słowa na poziomie takiego mistrza, jak Maksym Rylskij, bogactwem metafor i wyszukaną nowoczesną formą. Kyryczenko nie napisał ani jednego wiersza, wątpliwego pod względem politycznym i mimo to znikł bez śladu, podobnie, jak inny, pod wieloma względami zbliżony do niego poeta, Borys Mamajsur.

Leonid Nowyczenko, w swoim referacie o krytyce, wspominał tylko o dwóch z wymienionych (o Hołoborod’ce i Worobjowie), radząc im, żeby „zdobyli się na wysiłek i wyszli ze stanu zimnego, kameralnego odosobnienia, na jakie sami siebie skazali”. Co do całej reszty, dla uczestników zjazdu ich nazwiska nie istniały, jak gdyby w ogóle w literaturze nigdy ich nie było.

To samo dzieje się z krytyką. Całkowity zanik krytyki pod ciosami terroru jest niezmiernie charakterystyczny dla wlotów i upadków ukraińskiej literatury. Na początku lat sześćdziesiątych wystąpiła cała plejada błyskotliwych krytyków, którzy mogliby szybko dojrzeć i wypełnić istniejącą pustkę. Wymienię kilku najwybitniejszych: Jewhena Swerstiuka, Iwana Dziubę, Iwana Switłycznego, Iwana Bojczaka. O pierwszym z nich pisałem w ubiegłym roku w artykule „Katedra bez rusztowania” (*Kultura*, nr 6, 1970), drugi z nich znany jest na Zachodzie z książki „Internacjonalizm czy rusyfikacja?” (angielski przekład). Nazwisko Switłycznego znajduje się na liście tych, którzy zaznali represji KGB. Bojczak za granicą jest znany najmniej, choć równie jak tamci utalentowany. Szósty zjazd pisarzy wszystkich ich wykreślił z literatury. Padło nazwisko tylko jednego z nich, a i to w kontekście, świadczącym jasno, że przed wszystkimi nimi drzwi do literatury zostały zamknięte. Mam na myśli następujące słowa tegoż Leonida Nowyczenki: „Takich objawów nieodpowiedzialnego mętniactwa, takich wymądrzałych krytycznych „arabesków”, przez które w niedwuznaczny sposób przeglądały mylne i wątpliwe koncepcje, takich swawolnie subiektywnych „punktów widzenia”, jakimi swego czasu usiłowali zwrócić uwagę autorzy typu Iwana Dziuby, obecnie już raczej się nie spotyka, z czego należy się tylko cieszyć”.

Komentarz do powyższych słów wydaje się zbędny, ale przyda się nieco informacji o osobie autora, ponieważ ilustruje on własną osobą, jak terror KGB kaleczy najzdolniejszych ludzi. Nowyczenko już w latach trzydziestych wybił się jako krytyczny autor. Obecnie uważa się go za całkowicie skompromitowanego, bo nie dawniej, jak przed dziesięciu laty, Nowyczenko w przekonujący sposób uzasadniał modernizm tych samych młodzi-

ców, którym dziś radzi, aby „wyszli ze stanu zimnego, kameralnego odosobnienia” i wrócili w... realizm socjalistyczny.

Totalne zniszczenie nastąpiło w ostatnich latach w rodzaju, najściślej rozwiniętym w literaturze ukraińskiej, to znaczy w eseiście. Właściwie rodzaj ten reprezentował chyba tylko jeden autor, mianowicie, historyk z zawodu — Walentyń Moroz. Ale od samego początku uprawiał ten rodzaj „nielegalnie”: pierwsza próba tego rodzaju „W miejscu odosobnienia imienia Berii” powstała w drugiej połowie lat sześćdziesiątych w mordwińskim obozie koncentracyjnym. Gdy wyszedł po kilku latach na wolność, skorzystał z kilkumiesięcznej przerwy, by napisać jeszcze z pół tuzina esejów. Dwa z nich poświęcił tematyce oporu jednostki i społeczeństwa przeciw terrorowi („Kronika oporu” i „Wśród śniegów”). Prace te uczyniły z Morozą Ukraińca najbardziej znanego na Zachodzie, ale też stały się powodem powtórnego skazania na 14 lat, w procesie, który odbył się przy drzwiach zamkniętych w roku 1970. Toteż dla sowieckiej literatury twórczość jego oficjalnie nie istnieje, chociaż rozpowszechniana jest w „samwydawie”, a ostatnio także na Zachodzie w przekładach.

Zdaję sobie sprawę, że powyższy obraz literatury ukraińskiej oparty jest na uogólnieniach i tym samym grzeszy przeczernieniem. Żywy proces literacki jest zawsze o wiele bardziej skomplikowany i niekiedy trafiają się w nim jaśniejsze wyjątki, jak o tym świadczy chociażby naprawdę dobra powieść Andrijaszuka. Mogę podać jeszcze jeden przykład, wzięty z bieżącej chwili. Już pisząc ten przegląd, przeczytałem w czasopiśmie *Witczyzna* (naczelnym organem Związku Pisarzy Ukrainy) artykuł Rostysława Docenki „Hemingway, jakiego mamy i nie mamy”. Z nazwiskiem autora spotykam się po raz pierwszy i z tym większym podziwem stwierdzam solidny poziom artykułu. To brzmi paradoksalnie, ale artykułu na takim poziomie daremnie byśmy szukali na łamach któregośkolwiek z naszych wydawnictw emigracyjnych, choć mogłoby się wydawać, że na podobne tematy właśnie u nas powinno się pisać lepiej.

To naprawdę godne podziwu: skąd w literaturze, gnębionej od tylu lat, bierze się tyle utalentowanych ludzi i jak w warunkach prowincjonalnej beznadziejności zdobywają się oni na tak wielką erudycję? Parafrazując Walentyńa Morozę, wypada stwierdzić, że to jeden z tych cudów, na których trzyma się Ukraina, nie dopuszczając, by ją przekształcono w jakąś Prowancję.

A oto jeszcze parę wyjątków w dziedzinie prozy. Młody prozaik, Wołodmyr Drozd, ogłosił w roku 1968 powieść pt. „Katastrofa”. Jest to wieloplanowy, dobrze rozpracowany psychologicznie obraz sowieckiej pół-inteligencji w małym miasteczku. Drozd zrobił to z takim mistrzostwem, że formalnie niczego mu nie można zarzucić, a jednocześnie nie podobna dotknąć krytycznym piórem, bo należałoby omówić zabójczą satyrę na „szeregowego budowniczego komunizmu”. Od trzech lat krytyka pomija powieść całkowitym milczeniem.

Inny pisarz tegoż pokolenia, Walerij Szewczuk, zaczął od roku

1962 drukować wielce oryginalne opowiadania, które dały asumpt tym, co nie rozumieją, że talent może być samorodny, do podejrzwania Szewczuka o terminowanie u Hemingwaya czy Salinger. W ciągu niespełna dziesięciu lat pisarz zdążył wydać dwa zbiory opowiadań („Sered tyżnia” i „Weczir swiatoi oseny”) i dwie niewielkie rozmiarami powieści („Nabereżna 12” i „Seredochrestia”). Wypadłyby one całkiem dobrze w przekładach na języki zachodnie. Wydaje się rzeczą nieprawdopodobną, żeby w tych warunkach można było cokolwiek napisać i wydać bez dokonania fałszerstwa za cenę przystosowania się do partyjnej linii. Otóż Szewczuk, co świadczy najlepiej o jego mistrzostwie, stanowi wyjątkowy unikat w literaturze ukraińskiej: we wszystkich jego, dotychczas wydanych utworach nie zabrzmiała jeszcze ani jedna fałszywa nuta.

Mozna znaleźć jeszcze inne wyjątki, ale, niestety, są to tylko wyjątki. Objawiają się one w „samwydawie” (wielu poetów drukuje wyłącznie w nielegalnych wydawnictwach, albo, jeśli są drukowane legalnie, pozostają na marginesach oficjalnej literatury, która ich nie uznaje. Wspomniany Walerij Szewczuk, najwybitniejszy współczesny prozaik, w ogóle nie został na zjeździe wymieniony.

Na nieszczęście, podczas zjazdu panowała atmosfera takiego agresywnego stosunku do wszelkich odchyłek od „partyjności”, że nie ulega wątpliwości, iż nowo wybrany zarząd Związku pisarzy Ukrainy nie tylko zechce zniszczyć „samwydaw”, ale również przystąpi do czystek na marginesach, aby zlikwidować te wszystkie wyjątki, o których była mowa powyżej.

Z tego względu nowy zarząd zasługuje na kilka słów omówienia. Dotychczas przez wiele lat prezesem był Ołes Honczar. Wprawdzie to konformista, ale, widocznie, nie całkowicie pozbyty narodowego sumienia bo przecież sam niebacznie wyskoczył na margines swoją powieścią „Sobor”, w której zaprotestował przeciw niszczeniu starych zabytków ukraińskich. Ponadto jawnie wypowiadał się przeciw dyskryminacji ukraińskiej mowy. Widocznie uznano, że taki dobrej czystki na „marginesach” nie przeprowadzi, więc na miejsce Honczara wybrano Jurija Smołyca. Ma on już ponad siedemdziesiąt lat. Był aktywny literacko od samych początków władzy sowieckiej i zdobył nazwisko jako autor dobrych powieści z lat dwudziestych oraz niedawno ogłoszonych wspomnień w trzech tomach, pod ogólnym tytułem „Rozwid pro nespokij”. Wspomnienia te można by uznać za najlepsze z napisanych dotychczas podręczników historii ukraińskiej literatury sowieckiej. To swoisty unikat: błyskotliwy literacki styl i bardzo szczerą opowieść o stalinowskich represjach sprawiają, że książka jest interesująca, ale również jest szkodliwa, bo autor z takim samym przekonaniem twierdzi, że straceni pisarze zasłużyli na wyroki. Smołyca zdobył zaufanie nie tylko samą pracą literacką. Partyjni biurokraci cenią ponad wszystko przeciętność i nie bardzo lubią nawet najwierniejszych pacholców, jeżeli ci są utalentowani. Obecni kierownicy sowieckiego imperium na pewno nie

drukowali by Józefa Flawiusza. Najwyższą państwową nagrodę — tytuł „bohatera socjalistycznej pracy”, ze złotą gwiazdą — Smółczyk otrzymał na swoje siedemdziesięciolecie nie za utwory literackie. W ostatnich latach odznaczył się on głównie pracą pozaliteracką. Broń Boże, nie zamierzamy twierdzić, że posiada rangę kapitana czy majora KGB. Nie, ale jako przewodniczący (a od dwóch lat honorowy prezes) Towarzystwa Łączności z Ukraińcami Zagranicą, udzielił swego nazwiska instytucji jawnie ubeckiej, która prowadzi działalność dywersyjną i szpiegowską na terenie ukraińskiej emigracji. Po otrzymaniu tej „honorowej” godności i jej połączeniu z tytułem prezesa Związku Pisarzy Ukrainy, Smółczyk nie tylko w symboliczny sposób sprowadza również literaturę pod wspólny dach monumentalnej budowy KGB.

Oto ewentualna *pointa* mego omówienia ostatniego zjazdu pisarzy Ukrainy. Wynikają z tego wielce pesymistyczne wnioski co do następnej pięcioletki literatury ukraińskiej, zaplanowanej na tym zjeździe. Być może, nie jest bezpodstawne przypuszczenie, że nikt na świecie nie pragnie tak namiętnie, by spełnić się proroctwo Amalrika o roku 1984, jak pisarze ukraińscy.

Iwan KOSZELIWEK

(Przełożył z ukraińskiego Józef Łobodowski)

List otwarty Aleksandra Sołżenicyna do K.G.B.

Aleksander Sołżenicyn wystosował 13 sierpnia list do Jurija Andropowa, ministra Bezpieczeństwa (K.G.B.) protestując przeciwko gwałtowi jakiego dopuścili się w stosunku do jednego z jego przyjaciół agencji K.G.B. znajdujący się bezprawnie w wynajmowanym przez niego domku w miejscowości Roźdestwo, 40 km na południo-zachód od Moskwy.

Tekst tego listu został rozdany korespondentom zachodnim w Moskwie przez przyjaciół pisarza. Autor „Oddziału chorych na raka” pisze:

„Od lat znosiłem w milczeniu nielegalne wyczyny waszych urzędników: przeglądanie wszystkich moich listów, konfiskatę połowy z nich, rewizje w mieszkaniach moich korespondentów i ich oficjalne i administracyjne prześladowanie, nadzór zlecony nad moim domem, śledzenie moich gości, podsłuch rozmów telefonicznych, wiercenie dziur w sufitach, instalowanie mikrofonów w moim mieszkaniu w mieście i w moim ogrodzie, oraz uporczywą kampanię oszczerstw, prowadzoną przeciwko mnie z wysokości trybun, kiedy funkcjonariusze waszego ministerstwa mieli do nich dostęp.

„Ale, po wczorajszym nalocie, nie będę dłużej milczał! Mój dom na wsi w Roźdestwo, powiatu Naro-Fominsk, był niezamieszkały i ci którzy słuchali pod drzwiami, liczyli na moją nieobecność. Powróciwszy do Moskwy na skutek nagłej choroby, poprosiłem mojego przyjaciela Aleksandra Gorłowa, aby zechciał pojechać do mojego domu na wsi i przywieźć mi wymienną część samochodową. Gorłow stwierdził, że dom nie był zamknięty na łańcuch i że z wewnątrz dochodziły głosy. Gdy wszedł zażądał, aby złodzieje pokazali mu swoje dokumenty. W tym małym domku, gdzie 34 osoby zaledwie mogą się poruszać, było ich dziesięciu, w cywilu.

„Na rozkaz oficera ('zabierzcie go do lasu i zmuście do milczenia') związali Gorłowa, rzucili na ziemię i ciągnęli twarzą do ziemi aż do lasu. Tam bestialsko go pobili. W tym samym czasie inni biegli do samochodu okrężną drogą unosząc paczki, dokumenty, przedmioty (być może również część aparatów, które sami przynieśli). Ale Gorłow bronił się energicznie i krzycząc wzywał świadków; w odpowiedzi na te krzyki przybiegli sąsiedzi z innych ogrodów i zastąpili drogę złodziejom, żądając pokazania dokumentów. Wówczas jeden ze złodziei pokazał swój czerwony dowód osobisty i sąsiedzi pozwolili im przejść. Doprowadzili więc do samochodu Gorłowa, którego twarz i ubranie były jak pokrajane. 'Ładne metody' — powiedział do tych, którzy go prowadzili. 'Wykonujemy zadanie, a kiedy wykonujemy zadanie — wszystko nam wolno'.

„Ten, który według dokumentów pokazanych sąsiadom, nazywał się kpt. Iwanow, zgodnie z własnym oświadczeniem najpierw doprowadził Gorłowa do posterunku policji w Naro-Fominsku; miejscowi oficerowie przywitali 'Iwanowa' z szacunkiem. Tamże 'Iwanow' zażądał od Gorłowa piśmiennego wytłumaczenia całego zajścia. Mimo, że dziko pobity, Gorłow podał na piśmie cel swojej podróży i wszystkie okoliczności. Herszt złodziei zażądał ponadto, aby Gorłow podpisał zobowiązanie zachowania całego zajścia w tajemnicy. Gorłow kategorycznie odmówił.

„Następnie pojechali do Moskwy, i w drodze herszt złodziei dosłownie bombardował Gorłowa następującymi zdaniem: 'Jeżeli Sołżenicyn dowie się o tym, co się zdarzyło na jego dacz — skończymy z tobą. Nie zajdziesz daleko w swojej karierze (Gorłow ukończył wydział nauk technicznych i złożył pracę doktorską w Instytucie Technicznych i Eksperymentalnym Budownictwa). Nie będziesz mógł bronić swojej pracy doktorskiej. To zaszkodzi twojej rodzinie i dzieciom, a w razie potrzeby wsadzimy cię do więzienia'.

„Wszyscy, którzy znają nasze życie, wiedzą że te pogroźki powinny być wzięte na serio. Ale Gorłow nie ustąpił, odmówił podpisania zobowiązania i obecnie grożą mu represje.

„Żądam od was, towarzyszu ministrze, podania do publicznej wiadomości nazwisk wszystkich złoczyńców, ukarania ich tak, jak się karze kryminalistów i wyjaśnienia całego zajścia. W przeciw-

nym bowiem razie będę zmuszony uwierzyć, że zostali przez was przysłani”.

Laureat nagrody Nobla kopię tego listu wysłał do Kosygina. Oświadczył, że czyni Andropowa „osobiście odpowiedzialnym za te wyżej wyliczone nielegalne postępowania” i żąda od Przewodniczącego Rady Państwa, aby wszczął dochodzenie.

Ukazał się 2-gi specjalny numer Kultury

w języku rosyjskim

Numer zawiera m.in. artykuły:

Hanna Kostek: *Szczerze rozmowy*;

Leszek Kołakowski: *Tezy o nadziei i beznadziejności*;

Witold Gombrowicz: *Berliński dziennik*;

Jerzy Stempowski: *Polacy w powieściach Dostojewskiego*;

Czesław Miłosz: *Science Fiction i przyjęcie Antychrysta*;

Milovan Džilas: *Nad dogmatem*;

Andrzej Stawar: *Sowiecka biurokracja*.

Ponadto: POEZJE — RECENZJE i szereg innych artykułów.

Str. 240.

Cena F. 11,00.

Вышел Второй специальный номер “Культуры”
на русском языке.

В номере :

Ганна Костек : *Разговор по душам* ;

Лешек Колаковский : *Тезисы о надежде и безнадежности* ;

В. Гомбрович : *Берлинский дневник* ;

Ежи Стемповский : *Поляки в романах Достоевского* ;

Чеслав Милош : *Научная фантастика и пришествие Антихриста* ;

Милован Джилас : *Над догматом* ;

Анджей Ставар : *Советская бюрократия*.

Кроме того номер содержит стихи, рецензии и другие материалы.

240 стр

Цена : 11 F

Kraj

Włodzimierz Brus o Grudniu

Włodzimierz Brus, jeden z wybitnych powojennych ekonomistów polskich, opublikował w numerze z 25 czerwca 1971 roku tygodnika Włoskiej Partii Komunistycznej *Rinascita*, długi artykuł o wydarzeniach grudniowych na Wybrzeżu. Jest to zdarzenie dość niezwykle, gdyż Brus został odsunięty od życia politycznego w Polsce a artykuł, zresztą bardzo krytyczny, nie jest opatrzony żadnym komentarzem — co wskazywałoby na to, że redakcja podziela zdanie autora. Artykuł rozpoczyna się analizą trzech elementów, które zdaniem autora stanowią o wyjątkowym charakterze kryzysu grudniowego:

„Podstawowe i długofalowe znaczenie wydarzeń grudniowych wynika z niektórych prostych faktów: 1) demonstracje były całkowicie robotnicze; na ulice wyszedł proletariat wielkoprzemysłowy. Początkowe próby przedstawienia demonstracji jako działalności 'chuliganów i elementów społecznych' spaliły na panewce. Nikt już potem nie odważył się publicznie zaprzeczać robotniczemu charakterowi wystąpień. Więcej: nikt nie usiłował powiązać manifestacji z wrogą działalnością wewnętrznych i zagranicznych ośrodków; nie zostały wysunięte zarzuty o rewizjonizm. Pomijając więc problem — jak doszło do kryzysu — można stwierdzić, że został oficjalnie uznany charakter SPONTANICZNY ruchu, mimo iż wykazał on wręcz zaskakujące, jak na aktualne warunki, zdolności szybkiej i skutecznej ORGANIZACJI, zgodnej z tradycjami polskiej klasy robotniczej; 2) bezpośrednim wynikiem demonstracji robotniczych i tragicznego rozlewu krwi była zmiana kierownictwa politycznego kraju [...]. 3) W wyniku demonstracji, a w następnych miesiącach pod presją klasy robotniczej, została anulowana podwyżka cen, mimo iż do ostatniej chwili usiłowano tłumaczyć jej konieczność, została zarzucona polityka zamrażania płac — polityka wprowadzona pod pretekstem tzw. nowego systemu bodźców ekonomicznych, zostały przeprowadzone istotne zmiany dla zwiększenia proporcji konsumpcji w planie ekonomicznym na rok 1971”.

Brus odmawia sprowadzania problemów kryzysu w krajach Europy Wschodniej do kwestii personalnych i oddzielania czynników ekonomicznych od politycznych. Analizując przyczyny wybuchu, pisze:

„Bezpośrednią przyczyną demonstracji robotniczych w grudniu 1970 r. w Polsce były trudności ekonomiczne i usiłowanie rozwiązania ich kosztem mas pracujących. Lecz co było przyczyną tych trudności i wyboru takiego właśnie a nie innego sposobu ich rozwiązania?

Uważam, że najważniejsze przyczyny zła tkwią w mechanizmie POLITYCZNYM. To stwierdzenie nie powinno nikogo zaskoczyć, ponieważ w kraju socjalistycznym, tj. tam gdzie zostały znacjonalizowane główne środki produkcji i gdzie państwo zarządza całością gospodarki na bazie planu ekonomicznego, władza polityczna i sposób rządzenia stają się elementem ważnym i, być może, głównym w systemie stosunków produkcyjnych. Można się więc było spodziewać, że w tych warunkach klasyczna marksistowska teoria rozwoju poprzez powstawanie i przewycięzanie konfliktów między rozwojem sił produkcyjnych a charakterem stosunków produkcji znajdzie swój wyraz w kontraście między rozwojem ekonomicznym a mechanizmem politycznym”.

Centralnym problemem staje się więc informacja. Braki w tej dziedzinie nie tylko uniemożliwiają klasie robotniczej jakikolwiek wpływ na decyzje gospodarcze i polityczne, lecz również, odcinając od informacji grupę rządzącą. Sytuacja gospodarcza, klimat polityczny, poziom konsumpcji, nastroje wśród ludności — wszystko to znane jest w sposób zdeformowany nawet na wysokości Biura Politycznego. „... jest to — pisze autor — problem mechanizmu politycznego, w którym nie staje się regułą dostarczanie wyższym instancjom informacji możliwie jak najprawdziwszej, lecz informacji możliwie zgodnych z wypowiedzianym lub przewidywanym punktem widzenia przełożonego. Całkowity, wręcz nie do pojęcia dla kogoś kto nie tkwi wewnątrz, paraliż dopływu informacji w grudniu 1970 był wynikiem wieloletniego doświadczenia. A doświadczenie bezlitośnie uczyło, że z osobistego punktu widzenia opłaca się konformizm polityczny, podczas gdy za krytykę się płaci. Jeśli chodzi o sektor gospodarczy jednym z najbardziej charakterystycznych przykładów tego zjawiska były nieudane usiłowania PRZEDYSKUTOWANIA PROJEKTU GOSPODARCZEGO PLANU PIĘCIOLETNIEGO na lata 1966-1970, realizacja którego doprowadziła między innymi do tragicznego, grudniowego finału. Projekt ten, w szczególności w tym co dotyczyło gospodarki rolnej i handlu zagranicznego produktami rolnymi, zawierał koncepcje, które wzbudziły wielkie zaniepokojenie i sprzeciw niektórych ekonomistów, przewidujących obniżenie się produkcji mięsa a tym samym poziomu życia ludności. Miało to miejsce w 1964 roku, w okresie oficjalnie otwartej przed IV Zjazdem PZPR publicznej dyskusji. Były usiłowania publicznego wyrażenia zastrzeżeń — tym bardziej, że nie dotyczyły one założeń socjalizmu a niektórych konkretnych rozwiązań polityki gospo-

darczej. Jeden z największych ekonomistów polskich, znany zresztą szeroko w świecie, wyraził na piśmie swój punkt widzenia nie ograniczając się tylko do krytyki lecz formułując jednocześnie konkretne propozycje rozwiązań. Góra partyjna zareagowała natychmiast negatywnie i niesłuchanie ostro. Każda próba konkretnej dyskusji była błyskawicznie utraćana, żadna instancja partyjna, nie wyłączając Zjazdu, nie wzięła pod uwagę możliwości przedyskutowania tychże propozycji. Jest więc zrozumiałe, że po tym doświadczeniu nie można było oczekiwać atmosfery sprzyjającej niezależnym badaniom ekonomicznym”.

Było to, wraz z lękiem, że reformy mogłyby ograniczyć władzę polityczną partii, podstawowe przyczyny niemożności przeprowadzenia jakiegokolwiek reformy w Polsce. „Szczególnie niechętnie było nastawienie wobec prób połączenia zmian systemu funkcjonowania gospodarki z rozwojem samorządów robotniczych” — pisze Brus. A przecież, mimo iż reforma nie stanowi panaceum na wszystkie bóle, może być elementem niesłuchania ważnym dla usprawnienia systemu. Grupa rządząca tymczasem wybrała drogę wręcz przeciwną, usiłując zapewnić sobie maksimum swobody w podejmowaniu arbitralnych decyzji. Brus tak pisze o bezpośrednim związku, jaki zachodzi, jego zdaniem, między marcem 1968 a grudniem 1970:

„Marcowe hasło studentów: 'Nie ma chleba bez wolności' wyrażało w sposób syntetyczny myśl, że w kraju socjalistycznym ekonomia jest powiązana z polityką. Potwierdził to bardzo szybko i niestety bardzo boleśnie Grudzień 1970”.

W odpowiedzi na to hasło grupa rządząca podjęła decyzję

„wykorzystania protestu inteligencji i studentów dla definitywnego utraćenia, wszystkich istniejących i potencjalnych źródeł krytyki. Jak często się zdarza w tego typu sytuacjach uważano, że zło nie tkwi w rzeczywistych konfliktach a tkwi natomiast w usiłowaniach, choćby najmniejszych, nazwania rzeczy po imieniu”.

Plan ten został zrealizowany przy pomocy wyjątkowo, jak na warunki polskie, brutalnych środków, a w szczególności tzw. kampania antysyjonistyczna była czymś, czego nawet podczas stalinizmu nie przeprowadzono nigdy na tak szeroką skalę.

„W wyniku tej kampanii nie tylko wyeliminowano ze sceny politycznej tych, którzy byli bezpośrednio zaangażowani w krytykę, lecz jednocześnie zastraszone całe środowisko inteligenckie. Również 'dzięki' tej kampanii odizolowano w pewnym stopniu klasę robotniczą od protestujących studentów i inteligencji.

Z punktu widzenia późniejszych wydarzeń można powiedzieć, że osiągnięto wyniki zadowalające, tj. że w grudniu 1970 środowiska intelektualne, a w szczególności ich oficjalni reprezentanci, nie stworzyli ust nawet w chwilach najbardziej dramatycznych”.

Tym niemniej wydarzenia grudniowe były wynikiem marcowego manewru

— przynajmniej w takim samym stopniu jak postawa inteligencji i studentów:

„W tym tkwi prawdziwy związek między marcem 1968 a grudniem 1970, związek który może służyć za klasyczny, mimo iż negatywny, przykład dialektyki procesów społecznych: zduszenie zewnętrznych objawów kryzysu bez rozwiązania go w sposób efektywny, staje się samo przez się źródłem zaostrzenia kontrastów i wzrośnięcia siły, zasięgu i niebezpieczeństwa opóźnionego wybuchu [...]. Często usiłuje się zaprzeczyć wzajemnym związkom między czynnikiem politycznym a ekonomicznym w ostatnich wydarzeniach, ograniczając się do wskazywania na charakter wyłącznie ekonomiczny żądań robotniczych. Rozumowanie to wydaje się jednak bezpodstawne. Po pierwsze: nawet zakładając, że żądania robotnicze miały charakter wyłącznie ekonomiczny, pozostaje całkowicie słuszną tezę o współzależności czynników ekonomicznych i politycznych przy powstawaniu sytuacji, która doprowadziła do rewolty. Po drugie: żądania robotnicze dotyczyły w sposób pośredni i bezpośredni ważnych problemów politycznych, jakkolwiek nie zostały one prawdopodobnie dostatecznie uogólnione (co, jak myślę było rezultatem braku współpracy ze studentami i intelektualistami; z drugiej strony jednak powstaje pytanie czy w tej konkretnej sytuacji nie miało to pozytywnych skutków?). Żądania dotyczyły przede wszystkim demokratyzacji na szczeblu fabryk, zmiany charakteru wyborów w różnych organizacjach z włączeniem partyjnej, pełnej autonomii i nowego stylu pracy związków zawodowych, udostępnienia wszystkim jak najszerszej informacji, obalenie nieoficjalnych przywilejów (w szczególności dla aparatu partyjnego), itd. W dziedzinie gospodarki liczne były żądania zwiększenia autonomii przedsiębiorstw, warunek większego i efektywnego wykorzystania możliwości produkcyjnych i podstawa rzeczywistej a nie fikcyjnej działalności samorządów robotniczych. Analizując więc w sposób bardziej uważny te żądania nie możemy nie zauważyć ich głębokiego znaczenia politycznego. Z tego punktu widzenia klasa robotnicza wykazała dojrzałość słusznie pojmując związek między gospodarką a polityką w kraju socjalistycznym, jak również wykazując wysoko rozwinięte poczucie odpowiedzialności co do zasięgu i sposobu wysuwania żądań”.

Zmiana kierownictwa kraju jest, zdaniem Brusa, faktem pozytywnym lecz nie gwarantującym niczego w sposób mechaniczny.

„Problem polega na tym — pisze — żeby zmianę ludzi w kierownictwie traktować jako początek a nie koniec, jako otwarcie się **MOŻLIWOŚCI** rozwiązania a nie jako rozwiązanie”.

Należy przede wszystkim wyciągnąć kilka wniosków z wydarzeń grudniowych, a pierwszym z nich musi być popieranie wszelkiej myśli krytycznej. Należy również

„zdać sobie sprawę, że w ustroju socjalistycznym dostosowywanie stosunków produkcyjnych do rozwoju sił produkcyjnych nie zachodzi w sposób mechaniczny a w trakcie żywego procesu społecznego”.

Dla pozytywnego rozwoju społecznego konieczny jest stały wpływ klasy robotniczej na politykę rządu.

„W Grudniu klasa robotnicza podjęła w sposób praktyczny funkcję, którą wykonuje i powinna wykonywać nie tylko w sytuacjach wyjątkowych, lecz codziennie, poprzez silną i stałą presję na tych, co rządzą. Tylko w ten sposób te siły w partii, które zmierzają do zmian będą miały za sobą bazę społeczną niezbędną dla wypracowania i zrealizowania odpowiedniego programu. Nie trzeba chyba podkreślać, że czołowa rola klasy robotniczej nie tylko nie wyklucza, lecz przeciwnie zakłada aktywną współpracę ze strony innych grup społecznych, a w szczególności ze strony inteligencji”.

Zdaniem Brusa zachodnie partie komunistyczne mają

„obowiązek niezależnego analizowania procesów, które zachodzą w krajach socjalistycznych” i jest „**KONIECZNOŚCIĄ POLITYCZNĄ** zajęcie z ich strony aktywnego stanowiska wobec tych procesów”. „**KRYTYCZNA LEZ KOMUNISTYCZNA** analiza doświadczeń socjalizmu, zarzucenia opisów 'odświętnych i pochwalnych' są niesłychanie ważne dla międzynarodowego ruchu komunistycznego, dla poszczególnych partii jak i dla przyszłości socjalizmu w świecie” — kończy Brus.

O moich byłych władcach

„Nie ma dziś w Polsce miejsca dla bezduszności i biurokratyzmu, warcholstwa i sobiepaństwa, dla anarchicznego lekceważenia obowiązków społecznych, dla czczego gadulstwa i próżniaczej bez troski”.

E. Gierek w przemówieniu z okazji
1 maja 1971 roku.

W Wydziale Nauk Społecznych Uniwersytetu Warszawskiego nie uruchomiono dotąd specjalizacji dla studentów socjologii w zakresie pracy i przemysłu. Oficjalnym tego powodem jest brak docentów mogących wziąć na siebie ciężar uruchomienia i prowadzenia tej specjalizacji. Oboje docenci w tym właśnie zakresie

opuścili Uniwersytet Warszawski w tym samym czasie, choć w dość różnych okolicznościach. Doc. Maria Hirszowicz-Bielińska, autorka szeregu cennych prac i doskonały opiekun młodzieży, obecnie przebywa w Anglii. Drugi docent, autor tego artykułu, ma stałą profesurę na Uniwersytecie Alberty. Jak to się dzieje, że ludzie którzy spędzili tyle przecież lat pracy w dziedzinie mającej pierwszorzędne znaczenie dla kraju szybko uprzemysłowiającego się, muszą szukać dla siebie miejsca gdzie indziej?

Niedługo przed wyjazdem z kraju przeczytałem z wielkim zainteresowaniem świeżo wówczas wydaną książkę doc. Marii Hirszowicz „Wstęp do socjologii organizacji” (Warszawa: PWN 1967) i złożyłem recenzję o niej do *Studiów Socjologicznych*. Recenzja nie ukazała się z tej prostej przyczyny, że nawet nazwiska Hirszowicz, Bauman i in. przestały oficjalnie istnieć. Nie było więc mowy o publikowaniu recenzji z ich prac. Właśnie w tym czasie Polskie Wydawnictwo Ekonomiczne złożyło już drukiem moją książkę „Socjologia pracy”. Ponieważ cytowałem w niej zarówno Hirszowicz jak i Baumana, więc postawiono mnie wobec alternatywy: albo książka w ogóle nie ukaże się, albo zgodzę się na usunięcie tych cytatów i zastąpię je jakimikolwiek innymi. Żal mi było książki i zdecydowałem się na to drugie. Jednakże w podrozdziale, dotyczącym rodzinnych koncepcji, wprost niesposób mi było pominąć znacznego dorobku wniesionego przez M. Hirszowicz. Jakże nie wspomnieć o koleżance, która przez szereg lat stanowiła jedną z czołowych postaci w tej dziedzinie? Miałem z nią czasem starcia, ale przecież pracowaliśmy po społu w jednej katedrze i posuwaliśmy naprzód całą naszą dziedzinę, aczkolwiek z dwóch różnych pozycji ideologicznych. Sprawę załatwiłem tak, że przedstawiłem w książce poglądy M. Hirszowicz, ale nie wymieniając jej nazwiska (zob. str. 40-43), a natomiast powołując się na tytuł pracy zbiorowej wydanej pod jej kierunkiem („Człowiek w organizacji przemysłowej”, Warszawa: PWN, 1965). Wspominam o tym, aby zilustrować klimat w jakim M. Hirszowicz została zlikwidowana.

Jeśli idzie o mnie samego, to zdecydowałem się na przyjęcie oferowanej mi pracy w Afryce po wyraźnym i niedwuznacznym oświadczeniu przez ówczesne Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego, że w dziedzinie mojej specjalności — socjologii pracy i przemysłu — nie ma dla mnie żadnej szansy na przyszłość. Poczuję się nagle jak zamknięty w klatce i postanowiłem wybyć choćby na czas pewien. Po dwóch latach pracy za granicą (i opłacania ok. 15 % dochodu brutto na rzecz Polservice) na prośbę o przedłużenie urlopu odpowiedziano mi nagłym zwolnieniem z pracy (jeszcze w trakcie udzielonego mi poprzednio urlopu). O zwolnieniu mnie zrazu nie zawiadomiono, przetrzymywano je cichaczem, a w międzyczasie moi bezpośredni przełożeni w Wydziale Nauk Społecznych, prawdopodobnie nieświadomi decyzji podjętej już w Wydziale Nauki KC i w Ministerstwie, wzywali mnie jeszcze do natychmiastowego powrotu. Wróciłbym przeto do likwidacji na miejscu.

Tak wyglądała tzw. polityka kadrowa. Czy zmieni się ona na lepsze? Czy zazdrość i chciwość małomieszczan udrapowanych na marksistów ustąpi miejsca podejściu bardziej rzeczowemu, kierującemu się racją stanu i dobrem kraju, a nie osobistą zawzięcią aparatczyka w stosunku do inteligenta? Czy skończy się wykańczanie ludzi za to tylko, że uczciwie pracują w swej dziedzinie i że nie są skłonni padać na twarz przed każdym z kolejno zmieniających się bogów? Czy pracownik naukowy przestanie być obiektem nieustannego potrącania przez byle urzędasza zadufanego w swej władzy? Czy aparat partyjny zrezygnuje z podjudzania jednych pracowników naukowych przeciwko innym i wygrywania niesnasek zawodowych dla tym mocniejszego chwywania nauki za gardło? Czy pracownicy naukowci zyskają większą swobodę w publikowaniu swych poglądów i wyników badawczych?

Trudno nie zgodzić się z cytowanym na początku zdaniem E. Gierka. Co więcej, aby nadać mu bardziej konkretny charakter, postaram się zilustrować je stosunkami jakie miałem okazję obserwować przez całe lata pracując w kraju w mojej dziedzinie. Niech to co powiem przyda się w jakimś stopniu do poprawy dotychczasowego stanu rzeczy. Będziemy życzliwie obserwować z zewnątrz wszelkie objawy dobrej woli. Nie nasza to wina, że nie jesteśmy w stanie czynnie uczestniczyć w naprawianiu istniejącego stanu rzeczy. Zostaliśmy przecież spisani na straty. Niepotrzebni mogą odejść.

Bezduśność i biurokracizm

Bardzo wiele spraw jest zupełnie nie do załatwienia normalną drogą urzędową, gdyż nagromadzono wprost niebotyczne przeszkody formalne. Wbrew zdrowemu rozsądkowi uczelnie wyższe dysponują wprawdzie wysoko wykwalifikowaną kadrą, ale faktycznie nie mają środków na badania naukowe, które mogłyby upożytecznie tę kadrę. Od lat mówi się o wdrożeniu nauki do praktyki, ale jednocześnie robi się z tego wdrożenia wręcz parodię, gdyż praktycy nie mogą, nie umieją i nie chcą niczego wdrażać. Nie mogą — gdyż ryzyko związane z wszelkim postępem nie jest uwzględnione w kalkulacji biurokratycznej. Nie umieją — gdyż dobiera się ich na stanowiska właśnie ze względu na ich wąskie horyzonty (tacy ludzie są jakoby najbardziej posuszni). Nie chcą — gdyż niczego osobiście nie zyskają, a tylko narażają się na dodatkowe kłopoty.

Charakterystyczny był znany mi osobiście przypadek osoby zatrudnionej jako socjolog zakładowy w jednym z dużych przedsiębiorstw przemysłowych na prowincji. Ładna dziewczyna z wielką pasją zrobienia czegoś pożytecznego. Dyrektor umówił się z nią, że co parę dni będzie mu szczegółowo referowała swe wyniki badawcze i praktyczne wnioski z nich wypływające. Wszystko

wyglądało różowo, dziewczyna wywiązywała się doskonale obsypując dyrektora przekonywającymi danymi i rozsądnymi wnioskami. A jednak zwolniono ją wkrótce, dając zresztą na odejście znakomite świadectwo. Dlaczego? Sprawa prosta. Zmiana istniejącego stanu rzeczy nie leżała w gestii dyrektora, którego władza jest mniejsza niż zwykłego rządcy na przedwojennym pańskim folwarku. Dyrektor był na tyle mądry iż zrozumiał, że nierealną jest nawet myśl o tym by wprowadzać w życie większość skądinąd słusznych wniosków. Rozmowy z dziewczyną tylko wykazywały mu własną niemożność. Była inteligentna, chciała coś zdziałać. Więc po prostu nie nadawała się.

Inny przypadek. Partyjny socjolog postanowił opracować monografię przodującego przedsiębiorstwa. W Komitecie Wojewódzkim wytypowano mu zakład zgarniający jeden po drugim wszystkie sztandary przechodnie. Ale socjolog był człowiekiem uczciwym i wnikliwym, więc gdy przyjrzał się zakładowi to stwierdził, że rządzi nim klika sprytnie manipulująca ludźmi przez swych wasali rozstawionych po wszystkich działach. Zakład nastawiony jest na tanie i łatwe efekty, które są wręcz sprzeczne z długofalowym dobrem kraju i produkcji. Panuje daleko idący wyzysk słabszych przez silniejszych. Animosje drażące zakład są arbitralnie tłumione. Pogoń za premią za wykonanie planu przytłumia wszelkie inne racje. Monografia mimo wszystko ukazała się, choć mocno okrojona przez cenzurę.

Wszelki totalitaryzm chyba słusznie pogardza socjologią empiryczną, gdyż ta ujawnia jego brzydotę i fałsz. Co więcej, nawet socjologia panegiryczna jest niebezpieczna dla totalitaryzmu, gdyż malowane przez nią sielankowe obrazy wręcz przejaskrawiają nieprawdę i ujawniają całą jej absurdalność. W Polsce Partia po 1956 roku poszła na flirt z socjologią, który w rezultacie okazał się dla Partii wysoce niekorzystny, gdyż doprowadził do kompromitacji. Ludzie ustawieni przez Partię do kontrolowania socjologii okazali się z czasem bardziej oddani prawdzie i nauce, aniżeli zmitologizowanej ideologii. Studia empiryczne miast opisywać błogostan ludzi pracy pod ojcowskim Gomułką ujawniały w coraz szerszym stopniu nagromadzenie sprzeczności.

Gdyby rządzący małomieszczenie zechcieli zostać autentycznymi marksistami, wówczas ujawnianie sprzeczności przez socjologów mogłoby stać się dla Partii źródłem wiedzy niezbędnej dla nieustannego doskonalenia jej polityki. Technologia społeczna nasuwa się jako niezbędna a oczywista potrzeba planowej gospodarki opartej na uspołecznieniu środków produkcji. Wprost trudno sobie wyobrazić ustrój socjalistyczny bez nieustannego analizowania wszystkich sprzeczności, narastających w przekształcanym odgórnie społeczeństwie. Jednakże małomieszczenom nie o to przecież chodziło. Im potrzebna była socjologia do pokazywania na zewnątrz (nie jesteśmy gorsi od Ameryki) a także do utwierdzania się w przekonaniu, że przecież wszystko jest byczo. Socjologów-marksistów ośmielających się wychylić poza Poradnik Agitatora potraktowano wpieryw nieufnie, a potem wręcz

wrogo, gdyż nagle zobaczono w nich ludzi roszczących sobie prawo do inteligencji wyższej od przeciętnego poziomu rządzących aparatczyków. Zaczęła się więc likwidacja konkurentów pod byle nadarzącym pozorem (to Żydzi!).

W prasie partyjnej raz po raz pisze się o niebezpieczeństwie tzw. sekciarstwa, którego podstawowym objawem ma być jakoby brak zaufania do ludzi. To właśnie „sekciarstwo” jest w gruncie rzeczy główną zasadą polityki kadrowej. Zbieranie donosów, ciągłe patrzywanie na palce, formułowanie zarzutów na wszelki przypadek (bo przecież ktoś skutecznie przestraszony może przyznać się), zmuszanie ludzi do pokory czy wręcz do popełniania świąństw w zamian za rzeczy, które im się słusznie należą (np. profesura), podszczuwanie kolegów jeden na drugiego (jeśli go wykończysz, to damy ci jego stanowisko) — wszystko to w ostateczności obraca się przeciw Partii, gdyż ją kompromituje. Przeciętny człowiek nie wierzy tym „z góry”, podejrzewa jakiś kant, stara się jak najlepiej osłonić, wykorzystuje na własny użytek urzędową frazeologię. Uważa że ma do czynienia z łobuzami i odpowiednio dostosowuje swoje postępowanie. Zaś w atmosferze ogólnego braku zaufania trudno o autentyczne współdziałanie, prawdziwą inicjatywę, szczerą analizę własnych błędów i dbałość o ich naprawę. Wszystko dzieje się na niby, byle mieć spokój i nie być szarpanym przez aparatczyków i ich podopiecznych.

Zaduch małomieszczańskiego sekciarstwa, konieczność nieustannego zgadywania prywatnego interesu kryjącego się za pseudoideowym frazesem (co on będzie osobiście miał za wyrażenie zgody na dany projekt badawczy?), szukanie krętych dróg przechnięcia oczywistej sprawy, powodują ogromne marnotrawstwo energii społecznej. Tylko kompletnie bezideowy biurokrata, któremu zależy li-tylko na władaniu podporządkowanym mu aparatem, może to tolerować, gdyż to osłabia zdolność społeczeństwa do skutecznego przeciwstawienia się biurokracji.

Warcholstwo i sobiepaństwo

Zastanawiające, jak wiele prywaty zmieścić się może pod ciasnym pancierzem systemu totalitarnego. Powszechne zagrożenie sprzyja zaskorupianiu się ludzi w sferze własnego dobra i wygodnictwa. Zamiast myśleć o zbawieniu świata myślą o własnym bezpieczeństwie. Im wyżej w hierarchii, tym wyraźniej zaznacza się skłonność do zasklepiania się, nieufności wobec wszystkich innych, unikania jakiegokolwiek narażania się. Cała sztuka sprawadza się do tego, aby uprawiać grę dla siebie pod płaszczykiem interesu społecznego, udawać aktywność, ale nie aktywizować się, być na linii, ale jednocześnie zawsze pozostawić sobie możliwość przeskoczenia na inną linię. Nie warto w nic naprawdę angażować się, trzeba dbać tylko o własny interes, byle przetrwać, okopać się, nie dać się innym cwaniakom.

We wszystkich dziedzinach życia spotyka się swoistych prywatyzatorów, którzy w ramach uspołecznionej gospodarki zagrabiają dla siebie i dla swych bliskich co tylko popadnie. Obojętna im jest wszelka ideologia, do nich przemawia tylko konkretna korzyść własna. Gotowi są z dnia na dzień przedzierzgnąć się z gorliwych katolików w gorliwych marksistów, z gomułkowców w gierkowców czy moczarowców i odwrotnie. Ustrój socjalistyczny jest dla nich wielkim polem niekontrolowanego zagrabiania, budowania krótkotrwałych fortun, urządzania się na korzyść innych. Wszystkie chwytaki są dozwolone. Cała trudność tylko w tym, że z braku prywatnego kapitalizmu nie można należycie utrwalić grabieży i zabezpieczyć jej dla potomności. Stąd bierze się wielka skłonność do użycia za wszelką cenę, bez liczenia się z tym co przyniesie przyszłość.

Przykład z inicjatywy prywatnej. Były funkcjonariusz władz bezpieczeństwa, obecnie właściciel warsztatu samochodowego nabijającego w butelkę zarówno klientów jak i państwową instytucję ubezpieczeniową. Warsztat to nędzna nora, w której ludzie pracują byle czym, byle jak. W mieszkaniu właściciela nie ma żadnych mebli, gdyż urząd skarbowy wyznaczył astronomiczny domiar i cokolwiek właściciel kupiłby sobie stanowiłoby faktycznie własność urzędu. Mając dobre chody z władzami właściciel nadal prosperuje, ale wszystkie dochody obraca na wódkę i dziwki, gdyż każdą sumę odłożoną i tak by mu zabrano. Nie opłaca mu się w nic inwestować. Ot, po prostu żyje wesoło dopóki urząd skarbowy nie zamknie mu warsztatu. A pewnie nie zamknie nie tylko ze względu na chody właściciela, ale też ze względu na dochód, który z istnienia warsztatu ma zarówno urząd, jak też pracujący w nim łapownicy.

Nie opłaca się angażować na serio w rolę, którą się aktualnie spełnia. Dyrektor fabryki będzie miał większy sukces marnując maszyny nadmiernie obciążone bieżącą produkcją (premija za wydajność!) aniżeli troszcząc się o nie. Kierownik restauracji stawiając ją na dobrym poziomie doprowadzi tylko do tego, że będzie musiał ją oddać bardziej ustosunkowanemu cwaniakowi. Profesor publikujący sporo książek narazi się na zawiść wpływowych kolegów, którzy go wykończą. Więc lepiej cicho siedzieć, nie narażać się, markować swą pracę i swe istnienie. Kto siedzi cicho i nic nie robi, jakoś przetrzyma. Kozaków zawsze przetrzebią.

Cały kraj podzielony jest na folwarki, na których siedzą rządzący. Oto jeden z nich: dyrektor instytutu naukowego. Około dziesiątej rano przyjeżdża do instytutu służbową Wołgą. Idąc korytarzem protekcyjnie poklepuje napotykanym podwładnym. Mówi im ty (bo to demokratycznie) ale oni oczywiście nie ośmieliliby się odplacić mu tym samym. Przez gabinet przewija się korywół usłużnych donosicieli, którzy składają towarzyszywi dyrektorowi szczegółowe sprawozdania kto z kim i dlaczego. Potem mnóstwo telefonów do rozmaitych dygnitarzy. Trzeba przecież

wiedzieć co w trawie piszczy. Cała działalność instytutu jest tak ustawiona, aby przynieść chwałę dyrektorowi i wynieść go w rezultacie na upragnione stanowisko ambasadora PRL w którymkolwiek z krajów zachodnich (oczywiście nie w Bułgarii lub w Mongolii!). Ponieważ zaś widoki na to stanowisko zmieniają się zależnie od konstelacji układów personalnych, więc działalność naukowa instytutu jest w nieustannym wirze stale zmieniających się zadań i terminów. Oczywiście, najmniej ważny jest pożytek praktyczny tego co się robi. W Polsce Ludowej żadna instytucja nie bankrutuje, więc i instytut będzie istniał psim śwędem dopóki potrzeba folwarków. Jeśli któryś rządca wykombinuje sobie osobistą korzyść z posiadania większego folwarku, to dwa lub trzy instytuty zostaną połączone w większą całość. Jeśli zaś wpływowy rządca przejdzie gdzie indziej i powstanie potrzeba usadowania paru pomniejszych rządców, to instytut większy zostanie podzielony na parę mniejszych instytutów. Taka jest dialektyka rozwoju administracyjnego.

Lekceważenie obowiązków społecznych

Stworzono świat na niby i czyni się wszelkie starania aby go sztucznie utrzymać przy życiu. Świat rzeczywisty, wyrażający autentyczne ludzkie potrzeby, musi w rezultacie zostać zepchnięty na margines. „Dlaczego w barach mlecznych śmierdzi?” — spytano kiedyś w wywiadzie radiowym dyrektorkę wszystkich stołecznych barów mlecznych. „Normatywy są takie, że śmierdzieć nie powinno” — brzmiała jej odpowiedź. Jak jest: śmierdzi czy nie, to w gruncie rzeczy nie ważne. Granica między rzeczywistością a biurokratyczną imaginacją zupełnie się zaciera. Jest jak być powinno. Więc nie istnieje to co jest.

W dobie toczącej się rewolucji od zamiaru do czynu droga niedaleka i dlatego istnieje wówczas częściowe choćby społeczno-psychologiczne uzasadnienie dla zatarcia wspomnianej różnicy. Jednakże po każdorazowej zmianie władzy następuje długotrwały okres mozolnego konstruowania nowego modelu świata. Wówczas już w żadnym przypadku nie można sobie pozwolić na przesłonięcie rzeczywistości pseudorewolucyjnym frazesem. To przesłanianie zaczyna nagle spełniać bardzo określoną funkcję klasową, polegającą na odciążaniu rządzącej elity od odpowiedzialności za to co się dzieje. „Nic nie wiedziałem. O niczym nie byłem poinformowany. Sam się bałem” — usprawiedliwiał się Berman gdy obciążono odpowiedzialnością za zbrodnie podległej mu bezpieki. To samo przecież mówić o sobie Eichmann. Powszechny wybieg ludzi, którzy lubią przywilej władzy, ale nie chcą brać za nią odpowiedzialności.

W Polsce na każdym kroku widzi się lekceważenie elementarnych potrzeb społecznych: od rażącego niedostatku domów dla starców i miejsc szpitalnych, przez zaniedbane rolnictwo, aż do

potrzeb względnie luksusowych (jak np. części samochodowe) które jednak są zazwyczaj normalnie zaspokajane w społeczeństwach uprzemysłowionych. Rządząca elita nie wytworzyła tradycji efektywnego zaspokajania wspomnianych potrzeb. Rządzenie ludźmi stało się celem samym w sobie i jak dotąd nie troszczono się dostatecznie o to, jaka jest faktyczna jakość tego rządzenia. Przykładem może być masowe skierowanie byłych oficerów bezpieczeństwa na kierowników spółdzielni pracy, a więc instytucji wymagających dla prawidłowego zarządzania szczególnej dozy taktu, demokratyzmu i uspołecznienia. Ci sami, którzy jeszcze do niedawna osobiście torturowali więźniów, następnie w podobny sposób traktowali swych podwładnych, będących formalnie członkami samorządnych zrzeseń o szczególnej wadze społecznej, jak niegdyś stwierdził sam Marks (a za nim potem i Lenin).

W latach sześćdziesiątych Partia zaczęła przywiązywać szczególną wagę do tzw. humanizacji zakładów pracy i stąd powstała szczęśliwa szansa dla specjalizacji uprawianej przeze mnie w socjologii. Zastanawiało mnie nieraz dlaczego Partia kierowała często do tej akcji tak bardzo marny ludzki element: karierowiczów gotowych iść po trupach do byle stanowiska, ludzi mających wręcz pogardliwy stosunek do robotnika, podrzędnych cwaniaczków chcących mieć wiele za nic, tępych agitatorów pospolitego gatunku. Pamiętam m.in. dyrektora wielkiego przedsiębiorstwa wyniesionego przez Partię do roli wzorowego przełożonego. Był powszechnie znienawidzony przez swych bezpośrednich podwładnych, gdyż ich lżył najgorszymi słowami, a nawet do swych ulubieńców nie odzywał się nie inaczej jak ty h... Kiedyś naraziłem się osobiście jednemu z „humanistów” ustanowionych przez Partię, gdyż odradziłem Wydawnictwu drukowania jego książki. To pracowite skądinąd dzieło składało się niemal wyłącznie z zestawionych razem wypisów z książek i publikacji, które ukazały się w kraju w ciągu paru minionych lat.

Jak można oczekiwać świadomości obowiązku społecznego od tej masy małomieszczań wyniesionych na szczyty falą historii? Co ich faktycznie obchodzi poza ich własnym panowaniem i traktowaniem innych pogardliwie — na wszelki przypadek? Gdzie i kto miał tych ludzi nauczyć autentycznej miłości ojczyzny, niecynicznego traktowania kwestii socjalizmu i sprawiedliwości społecznej, pracy dla dobra narodu i klasy robotniczej? Szczęśliwi, że sami wydzwignęli się ponad przeciętny poziom robotnika lub chłopca wręcz głęboko pogardzają wszystkim co jest związane z masą, choć przy tym nie nabrali ani lepszego gustu, ani manier, ani zrozumienia dla krzywdy ludzkiej. Pchają się na siłę do byle materialnego dobra, trącając się łokciami łapczywie smakując wszelkich możliwych stanowisk i przywilejów. Szczytem osiągnięć jest usadowienie się na placówce dyplomatycznej w którymś kraju zachodnim, aby zebrać dość pieniędzy na samochód (koniecznie marki zachodniej) i taki dom w kraju, aby sąsiadom oko zbiełało. Ich dzieci już będą inne, ale z kolei są z reguły rozpuszczane do niemożliwości i prawdziwa męka

Je potem uczyć (co Pan mnie będzie uczył, jak ja wiem z *Biuletynu Specjalnego* więcej od Pana!).

Gadulstwo i beztroska

Nie tylko Gomułka był nieznośnym gadułą, ale niefrasobliwe mielenie jęzorem stało się wprost zasadą pod jego wieloletnimi rządami. W Polsce zawsze była silna tendencja do zastępowania roboty gadaniem, ale dopiero w ciągu ostatnich lat nabrała ona szczególnie na sile. Pierwsze wrażenie, jakie robią nawet aparatczycy, bywa nieraz dość dobre. Są po prostu dobrze zaprawieni w gadaniu. Dopiero potem okazuje się, że nie można brać na serio tego co mówią i obiecują, że są niesłowni, niepunktualni, nierzeczowi, bezmyślnie nieodpowiedzialni, przesadnie pewni swego zdania przy faktycznie daleko posuniętej ignorancji. Mechanizm biurokratyczny jest tego rodzaju, że nikt nie może naprawdę sprawdzić rzeczywistych efektów działania. Dzieło zupełnie oddziela się od swego autora. Kiedyś w czasopiśmie *Miasto* pokazano cały labirynt kanałów którymi płynie projekt osiedla mieszkaniowego od pomysłu do realizacji. Korekty wprowadzane na różnych szczeblach tej procedury są tak liczne i dowolne, że ostateczny produkt jest daleki od założeń przyjętych przez autorów. To już biurokratyczny potworek, a nie racjonalny twór myśli i wyobraźni konkretnych ludzi. W rezultacie nikt za nic faktycznie nie odpowiada, gdyż nikt nie poczuwa się do autorstwa. Natomiast zlatuje się całe mnóstwo kruków chcących brać udział w ewentualnych korzyściach. Wiadomo, że np. wynalazcy i racjonalizatorzy muszą się nieraz dzielić nagrodą z ludźmi od których zależy zatwierdzenie i wprowadzenie do praktyki ich własnych pomysłów.

Pewność siebie jest ważnym elementem rysztunku aparatczyka. To właśnie ta pewność siebie pociągała do stalinizmu część zblazowanych intelektualistów, których zniewalała pozorna męskość przedstawiciela „awangardy klasy robotniczej”. Pewność siebie wynika z przynależności do potężnego biurokratycznego aparatu, który daje zaplecze i względne bezpieczeństwo osobiste. W zanadru kryje się faktyczna beztroska co do przedmiotu spraw załatwianych. Aparatczyka i tak przenoszą z jednej dziedziny do drugiej, wymagają od niego lojalności tylko wobec Partii, nie zaś wobec dzieła, czy tym bardziej wobec ludzi będących przedmiotem jego manipulacji. Jeśli przypadkiem kiedyś w życiu spotkam ludzi, którzy mnie i moich kolegów wyrzucali z Uniwersytetu Warszawskiego, przypuszczam że nie okażą ani krztyny skruchy. Partia kazała, Partia poleciła. Nie przejdzie im przez głowę, że przecież to oni składają się na Partię i że z ich poszczególnych działań funkcjonuje cała maszyna. Ktokolwiek oczekuje od aparatczyka jakiegokolwiek poczucia odpowiedzialności za czyny, ten srodze się zawiedzie.

Aby zaś nie mieć żadnych powodów do wątpliwości czy wyrzutow sumienia, wystarczy zmonopolizować prasę i wprowadzić cenzurę. Wtedy zagwarantowana jest moralna bez troska w obliczu jednoznacznie uporządkowanego obrazu świata, w którym nikt nie brudzi. Wprawdzie są takie lub inne błędy i wypaczenia, ale przecież wszystko zdąży w zasadzie ku lepszemu. Chyba że nagle robotnicy wyjdą na ulice lub okupują fabrykę i wtedy trzeba się chwycić przemocy. Smutne, ale przecież przemoc pozwala wrócić do dawnego błogostanu, w którym wszystko jest jasne: gdzie wróg, gdzie sojusznik, jak budować szczęśliwą przyszłość.

Ryba śmierdzi od głowy

Elita rządząca krajem do dziś dnia była przedmiotem szczególnej troski Stalina, jak to przekonywująco wykazuje reżymowy historyk Kowalski w studium o pierwocinach Polski Ludowej. To stalinowskie błogosławieństwo ciąży fatalnie do dziś dnia na tej elicie, stanowiąc jej podstawę moralną i polityczną. Flirt z rodzimym faszyzmem, narzucony zresztą elicie niezależnie chyba od jej własnego zdania, tym bardziej jeszcze przyczynił się do ustawienia jej od początku w sytuacji moralnie wcale niedwuznacznej. Trudno dziwić się Piaseckiemu, że ratując istnienie własne i swych przyjaciół, przyjął grę czy może nawet sam ją wymyślił. Trzeba było natomiast wręcz złowieszczej woli, aby takim właśnie flirtem, rozpoczętym niemal jeszcze na dymiących gruzach nazistowskiego totalitaryzmu, utorować przyszłą drogę antysemityzmowi, antyinteligencji, ciasnemu nacjonalizmowi i bezwzględnej nietolerancji.

W ramach swej wielkiej czystki lat trzydziestych Stalin otworzył miejsce dla całej chmary karierowiczów wyniesionych nagle ku górze. Ten sam proces powtórzy się w Polsce i innych krajach Europy Wschodniej i Centralnej w połowie lat czterdziestych. „Zawrót głowy od sukcesów” jest niebezpieczeństwem towarzyszącym takim nagłym awansom — z czego zresztą sam Stalin zdawał sobie sprawę. Co gorsze, karierowiczostwo i nihilizm występują nieraz po społu. Tak więc rewolucja społeczna zawsze może się przerodzić w rewolucję nihilizmu, o czym pisał Rauschning mając na myśli hitleryzm, a znacznie wcześniej Marks, mając na myśli Ludwika Napoleona. Elita nihilistyczna traktuje społeczeństwo jako pole do grabieży i samowoli, a historię jako okazję do efekciarskiego zabłyśnięcia. Zamiast służyć społeczeństwu i świadomie kształtować historię, elita nihilistyczna, obciążona własną małością, ciągnie do zguby. Zarówno Marks jak i Rauschning przepowiedzieli całkiem trafnie tragiczny koniec politycznego awanturnictwa ludzi społecznego marginesu, którzy przypadkiem dorwali się do władzy.

W polskiej elicie rządzącej, obok elementów awanturnictwa i nihilizmu, są niewątpliwie również elementy konstruktywne. Dla

jednych socjalizm jest przede wszystkim brudną grą o władzę totalną. Dla innych jest on przede wszystkim historyczną szansą dla narodu, dla gospodarczego i społecznego podniesienia się. Jedni straszakiem interwencji sowieckiej — zresztą obecnie już mało prawdopodobnej — usiłują uzasadnić rację swej bezwzględnej władzy i przywilejów. Drudzy coraz trzeźwiej oceniają stan, w jakim kraj znalazł się w rezultacie dotychczasowego systemu rządzenia. Zależnie jaka orientacja weźmie górę w elicie, rozwój wypadków pójdzie albo w kierunku narodowego stalinizmu, albo w kierunku jakichś reform konstruktywnych.

W tej walce starego (stalinizm) z nowym (reformizm) wręcz zasadnicze znaczenie ma kwestia swobód demokratycznych. Tylko one mogą rzeczywiście zapewnić, że nie będzie miejsca w Polsce na bezdusność, biurokracizm, warcholstwo itd. Elita oddolnie niekontrolowana nieuchronnie znieprawia się, a jej rozkład moralny zatruwa całe społeczeństwo. Im mniej swobód w społeczeństwie, tym bardziej ciężą na nim wady i braki rządzącej elity: jej małostkowość i krótkowzroczność, prywatność, karierowiczostwo, wygodnictwo, podejrzliwość i pogarda dla niżej postawionych. W systemie totalitarnym niebezpieczeństwem jest szczególnie duże, gdyż społeczeństwo całkowicie spętane nie jest w stanie wyłonić jakichkolwiek prądów o zdrowiejących. Gwałt staje się dla mas jedyną dostępną możliwością, ale nawet jeśli czasem rządzeniem historii doprowadzi do zwycięstwa, to w rezultacie toruje drogę dla Napoleonów i Stalinów.

Im bardziej aktywna jest elita, która uległa w znacznym stopniu nihilizacji, tym więcej sił mobilizuje przeciw sobie. Brutalne metody rządzenia budzą masowy sprzeciw i obrzydzenie. Nieustanna odgórna kontrola sprzyja ogólnej bierności paraliżując wszelką inicjatywę. Daleko idące skrępowanie działania zmusza do szukania krętych dróg załatwienia spraw, a zarazem sprzyja korupcji. Wyganianie ludzi z kraju kieruje ich do aktywizowania się z pozycji wrogich elicie. Kurczowe trzymanie się przez elitę własnego grona, uniemożliwia jej odnowienie nowym elementem. W sumie, elementy konserwatyizmu i obskurantstwa stają się coraz bardziej dominujące.

V. Pareto cyrkulację elit uważał za nieuchronne zjawisko. Nowe, prężne grupy wyrzucają z siodła grupy skorumpowane zbyt długim i zbyt intensywnym konsumowaniem władzy. Jednakże w warunkach totalitaryzmu istnieje tylko cyrkulacja klik a nie całych elit, posługujących się określoną ideologią i propagujących swoje programy działania. Kliki są częścią określonej elity i mieszczą się w jej klimacie. Jak można oczekiwać że rządząca elita — reprezentowana aktualnie przez tę lub inną klikę stanowiącą jej integralną część składową — sama siebie obali lub co najmniej w poważnym stopniu przekształci?

Byłoby to zjawiskiem rzadkim w historii, gdyby polska elita potrafiła zdobyć się na wewnętrzną reformę, otrząsnąć się ze stalinowskiej spuścizny, zaprzestać flirtu z pogrobowcami rodzi-

mego faszyzmu, pójść na drogę prawdziwych reform. Potrzeba byłoby w tym celu przywrócenia elementarnych swobód demokratycznych, stworzenia szerokiego pola dla społecznej inicjatywy i samorządu, poważnego ograniczenia bezpośredniej ingerencji państwa, uzdrowienia administracji, daleko idącego przekształcenia roli Partii, a wreszcie przeobrażenia elity w autentyczną awangardę, służącą społeczeństwu zamiast zniewalania go. Istnieje, jak dotąd, mało danych na to, że w tym właśnie kierunku pójdzie historia najbliższych lat. Totalitarny nihilizm ciągle jeszcze ma dużo większą szansę. Ale dlaczego nie wierzyć w cuda?

Aleksander MATEJKO

Z Warszawy donoszą...

Z pewnym opóźnieniem dowiaduję się, że z Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej wystąpiła Maria Kamińska. Nazwisko — przypuszczam — niewiele mówiące większości zarówno krajowych jak i zagranicznych czytelników *Kultury*. Nie w tym dziwnego — życie psychiczne społeczeństwa szło torem odrębnym w stosunku do przeżyć komunistów, zresztą sama Kamińska od lat znajdowała się na uboczu, małoznana również w sferach młodszych „wybrańców ludu”. Warto jednak to nazwisko przypomnieć, albowiem wystąpienie Kamińskiej z PZPR ma w sobie pewne elementy symbolu.

Recte Maria Eiger, córka przemysłowców — jej snobistyczną matkę opisał Tuwim w „Kwiatach Polskich” — siostra głośnego w okresie międzywojennym poety i krytyka Marka Eigera-Stefana-Napierskiego, Maria Kamińska jako młoda dziewczyna związała się z ruchem komunistycznym fanatycznie, z gorliwością neofity, odczuwającego kompleks grzechów za posiadane przez rodzinę bogactwo. O jej rewolucyjnych przygotowaniach i jej rewolucyjnym zaciętrzeniu krążyły przed wojną legendy. Ciekawe, że żywiono do niej sympatię i na prawicy, szanowano bowiem jej ideowość.

W PRL należała do najbardziej sekciarskich dogmatyków, do ludzi tego typu jak, opisana przez Nadieżdę Mandelsztam, Larissa Reisner. Jej rewolucyjność była nawet nie do przyjęcia przez Bieruta. Była redaktorem *Gromady*, dyrektorem departamentu szkolenia w Min. Bezp. Publ. a pod koniec pracownikiem Zakładu Historii Partii. W 1967 roku przeniesiono ją na emeryturę.

Wiosną 1971 roku przesłała do KC PZPR legitymację partyjną wraz z listem, stwierdzającym, iż nie chce być członkiem partii strzelającej do robotników. Oczywiście, nie oznacza to, że nie chciałyby być nadal członkiem partii strzelającej do chłopów, masakrującej studentów, rozstrzeliwującej oficerów. A mimo jest coś tragicznego w tym ostatnim akcie politycznym starego człowieka, który ongiś, u zarania życia, uwierzył w *Ideę*, poświęcił jej życie, by dojść po pięćdziesięciu latach do zrozumienia, że „król jest nagi”, a własne życie zmarnowane.

Józef LEWANDOWSKI

Zmiany stawek w taryfach celnych PRL

Wprowadzone zostały rozporządzeniem ministra handlu zagranicznego zmiany stawek w taryfie celnej przywózowej i taryfie celnej wywózowej, które wchodzi w życie 28 lipca br.

Rozporządzenia w tej sprawie opublikowane zostały w Dzienniku Ustaw nr 17 z 13 lipca br.

ZMIANY W TARYFIE CELNEJ PRZYWOZOWEJ

Rewizja stawek obejmuje przede wszystkim artykuły spożywcze, od których cło zostało znacznie obniżone, przy czym dla większości z nich całkowicie zniesione. Ponadto obniżką cła objęto niektóre artykuły przemysłowe i zwierzęta hodowlane.

A oto szczegółowa lista towarów, dla których stawki poddano rewizji:

1. CŁO ZNIESIONO NA:

w grupie artykułów spożywczych

Dotychczasowa
stawka celna wynosiła:

1. Warzywa	
— w przetworach	3 zł od 1 kg
— suszone	5 zł od 1 kg
2. Grzyby	
— w przetworach	15 zł od 1 kg
— suszone	50 zł od 1 kg
3. Winogrona	5 zł od 1 kg
4. Banany	25 zł od 1 kg
5. Cytryny	15 zł od 1 kg
6. Inne owoce cytrusowe	25 zł od 1 kg
7. Figi, banany, owoce cytrusowe	
— suszone i w przetworach	40 zł od 1 kg
8. Rodzynki	50 zł od 1 kg
9. Migdały, daktyle, pistacje, ananasy	
— suszone i w przetworach	80 zł od 1 kg
10. Kasztany jadalne i chleb świętojański	10 zł od 1 kg
11. Orzechy wszelkie	
— nie łuszczone	30 zł od 1 kg
— łuszczone	60 zł od 1 kg
12. Herva mate	50 zł od 1 kg
13. Wanilie	150 zł od 1 kg
14. Anyż, kmin, majeranek, koper włoski i zwykły, czarnażkę, kolender, liście laurowe (bobkowe)	40 zł od 1 kg
15. Badian, cynamon, gałkę muszkatołową, goździki i kwiat goździkowy, imbir, kardamon, szafran, ziele angielskie, pieprz turecki w suchych strąkach lub mielony (papryka) oraz inne korzenie	200 zł od 1 kg
16. Kapary, oliwki przyrządzone, pickle, koncentraty zup	60 zł od 1 kg

17. Proszki do wyrobu ciast, budyniów, galaretek, lemoniad itd.	50 zł od 1 kg
18. Mączki odżywcze i owocowe	20 zł od 1 kg
19. Słodycze	20 zł od 1 kg
20. Ryby łososiowate, jesiotrowate, płastugi, węgorze, sardynki — wędzone i w przetworach	50 zł od 1 kg
21. Ryby pozostałe — wędzone i w przetworach	10 zł od 1 kg
22. Mleko w proszku lub zgęszczone	10 zł od 1 kg
23. Przetwory jajczarskie (proszek masa)	10 zł od 1 kg

*Dotychczasowa
stawka celna wynosiła:*

W grupie artykułów przemysłowych

24. Naczynia i wyroby kamionkowe, fajansowe i porcelitowe	3 zł od 1 kg
25. Naczynia i wyroby porcelanowe, oprócz złożonych i barwionych	3 zł od 1 kg
26. Naczynia wyroby garncarskie	3 zł od 1 kg
27. Piecze kafflowe i szamotowe	2 zł od 1 kg
28. Forniry i sklejki	5 zł od 1 kg
29. Meble, również bambusowe	4 zł od 1 kg
30. Wyroby drewniane rzeźbione, inkrustowane, tapicerowane itp.	5 zł, 10 zł i 20 zł od 1 kg

W grupie zwierząt hodowlanych

31. Konie, bydło	300 zł od sztuk.
32. Trzoda chlewna	100 zł od sztuki
33. Ptactwo wszelkie	10 zł od sztuki

2. CŁO OBNIŻONO NA:

W grupie artykułów spożywczych

1. Kawę surową	z 140 zł do 50 zł od 1 kg
2. Kawę paloną ziarnistą i mieloną	z 200 zł do 70 zł od 1 kg
3. Ekstrakty kawowe	z 600 zł do 150 zł od 1 kg
4. Herbatę i ekstrakty herbaty	z 150 zł do 50 zł od 1 kg
5. Kakao	z 150 zł do 10 zł od 1 kg
6. Pieprz	z 450 zł do 100 zł od 1 kg
7. Kawior	z 300 zł do 100 zł od 1 kg
8. Olej oliwkowy	z 50 zł do 10 zł od 1 kg
9. Czekoladę i wyroby z czekolady	z 50 zł do 20 zł od 1 kg
10. Sacharynę i inne sztuczne środki słodzące	z 1500 zł do 500 zł od 1 kg

W grupie artykułów przemysłowych

11. Naczynia i wyroby porcelanowe, zdobnicze, złożone, barwione	z 45 zł do 5 zł od 1 kg
12. Dywany, chodniki dywanowe i materie wykonane na wzór dywanów	

— wełniane i z włókien syntetycznych ..	z 100 zł do 50 zł od 1 kg
— z innych materiałów włóknistych	z 50 zł do 25 zł od 1 kg
13. Bieliznę pościelową i stołową	z 250 zł do 100 zł od 1 kg
14. Obrusy, serwetki i serwetki z materiałów plastycznych	z 600 zł do 100 zł od 1 kg
15. Bluzki, swetry, kamizelki z dzianin	
— pierwsze 3 sztuki	z 120 zł do 60 zł od sztuki
— dalsze sztuki	z 500 zł do 250 zł od sztuki
16. Garsonki (komplety) i sukienki z dzianin	
— pierwsze 3 sztuki	z 200 zł do 100 zł od sztuki
— dalsze sztuki	z 1000 zł do 500 zł od sztuki
17. Spódnice dziane	
— pierwsze 3 sztuki	ze 100 zł do 50 zł od sztuki
— dalsze sztuki	z 400 zł do 200 zł od sztuki
18. Spodnie dziane	
— pierwsze 3 sztuki	ze 100 zł do 50 zł od sztuki
— dalsze sztuki	z 500 zł do 250 zł od sztuki
19. Płaszcze letnie z włókien syntetycznych	z 800 zł do 300 zł od sztuki
20. Płaszcze z materiałów naśladowujących futra	z 2000 zł do 1000 zł od sztuki
21. Odzież pozostałą, w tym dziecięcą z dzianin	
— z jedwabiu naturalnego i włókien syntetycznych	z 800 zł do 400 zł od 1 kg
— z wełny	z 600 zł do 300 zł od 1 kg
— z innych materiałów włóknistych, z materiałów naśladowujących skóry, z materiałów plastycznych oraz ceraty	z 200 zł do 100 zł od 1 kg
— ze skóry bez futra	z 500 zł do 250 zł od 1 kg
22. Pończochy	
— z jedwabiu naturalnego i włókien syntetycznych	z 80 zł do 30 zł od pary
— wełniane	z 40 zł do 20 zł od pary
— z innych materiałów włóknistych	z 10 zł do 5 zł od pary
23. Chustki na głowę	
— z jedwabiu naturalnego i włókien syntetycznych	z 80 i 160 zł od sztuki do 40 zł od sztuki
— wełniane	z 80 zł do 35 zł od sztuki
— z innych materiałów	z 20 zł do 10 zł od sztuki
24. Ornamenty, przybory biurowe, medaliony, stuetki itp. z metali nieszlachetnych ..	z 180 zł do 80 zł od 1 kg
25. Tworzywa sztuczne, jak: celulozoid, galolit, nylon, igielit, polistyren itp. w proszku, ziarnach, kawałkach, blokach, płytach, rurach o średnicy powyżej 5 mm, prętach, taśmach i odpadkach	z 200 zł do 30 zł od 1 kg
26. Folie z tworzyw sztucznych (w tym skay, wistram itp.)	z 200 zł do 40 zł od 1 kg
27. Tworzywa sztuczne w arkuszach o grubości 2 mm i mniej	z 500 zł do 50 zł od 1 kg

W grupie zwierząt hodowlanych

28. Zwierzęta futerkowe	
— lisy	z 500 zł do 200 zł od sztuki

— norki zwykłe	z 500 zł do 150 zł od sztuki
— norki kolorowe	z 2000 zł do 150 zł od sztuki
— nutrie zwykłe	z 200 zł do 50 zł od sztuki
— nutrie kolorowe	z 500 zł do 50 zł od sztuki
— szynszyle	z 5000 zł do 500 zł od sztuki
— szopy i oposy	z 250 zł do 100 zł od sztuki

ZMIANY W TARYFIE CELNEJ WYWOZOWEJ

Rewizja stawek dotyczy zwłaszcza artykułów o charakterze upominków, wytworów rękodzieła najczęściej nabywanych w sklepach „Cepelii”, oraz towarów, w których podaż jest większa od popytu.

Cło zniesiono na:

	<i>Dotychczasowa stawka celna wynosiła:</i>
1. Tkaniny lniane i konopne	200 % od wartości
2. Polskie stroje ludowe	300 zł od 1 kg
3. Odbiorniki radiowe produkcji krajowej z wyjątkiem tranzystorowych z UKF	10-20 % od wartości
4. Płyty szybkoobrotowe i na pocztówkach	5 zł od sztuki

Cło obniżono na:

1. Pierze i puch	z 200 % do 100 % od wartości
2. Kołdry, poduszki i pierzyny	
— z puchu i pierza	z 200 % do 100 % od wartości
— inne	z 200 % do 100 % od wartości
3. Tkaniny i materiały dziane z włókien syntetycznych, sztucznych i naturalnych (z wyjątkiem lnianych i konopnych)	z 200 % do 100 % od wartości
4. Obuwie:	
a. dziecięce skórzane	z 50 zł od pary do 50 % od wart.
b. dziecięce pozostałe	z 20 zł od pary do 30 % od wart.
c. kierpce i pantofle domowe	z 50 zł od pary do 20 % od wart.
d. inne obuwie skórzane również z dodatkiem futra oraz obuwie futrzane	
— na spodzie skórzanym	z 300 zł od pary do 50 % od wart.
— na spodzie nieskórzanym ..	z 100 zł od pary do 30 % od wart.
e. z tkanin innych materiałów, również z dodatkiem futra	z 100 zł od pary do 30 % od wart.
5. Koronki, hafty i wyroby z nich ..	z 300 zł od 1 kg do 10 % od wart.
6. Nakrycia stołowe, wyroby nożownicze	z 200 % do 100 % od wartości
7. Drobne wyroby z metali pospolitych do użytku domowego i osobistego ..	z 200 % do 20 % od wartości
8. Odbiorniki radiowe tranzystorowe z UKF	z 200 % do 50 % od wartości
9. Płyty gramofonowe wolnoobrotowe ..	z 15, 30, 50 i 80 zł od sztuki do 20 % od wartości

Nadmienić należy, że oprócz wyżej omawianych zmian zostały już wcześniej dokonane częściowe rewizje stawek:

- w taryfie celnej przywózowej na wyroby ze złota (w styczniu br. obniżono stawki 6-krotnie, tj. do 10 zł od 1 grama),
- w taryfie celnej wywózowej w stosunku do towarów, na które wymagane jest pozwolenie wywózowe (w kwietniu br.), kierując się aktualnymi przesłankami ekonomicznymi ustalono niższe stawki celne na te towary, odpowiadające aktualnej sytuacji rynkowej, a jednocześnie uproszczono system pozwoleń wywózowych.

Stosownie do tej zmiany dopuszcza się do wywozu bez cła:

1. Serwety i serwetki dekoracyjne,
2. Bieliznę pościelową, stołową i ręczniki — z włókien lnianych,
3. Telewizory produkcji krajowej,
4. Lodówki produkcji krajowej,
5. Pralki produkcji krajowej,
6. Odkurzacze produkcji krajowej,
7. Maszyny do szycia i maszyny trykotarskie produkcji krajowej,
8. Akordeony produkcji krajowej,
9. Motocykle i motorowery produkcji krajowej,
10. Wózki dziecięce produkcji krajowej.

Główny urząd ceł informuje jednocześnie, że niezależnie od doraźnych rewizji w taryfach celnych stawek, o których wyżej mowa, prowadzone są prace nad generalną zmianą taryfy celnej przywózowej i wywózowej w oparciu o nowe zasady polityki celnej, której naczelnym założeniem jest przywrócenie roli cła jako instrumentu polityki gospodarczej państwa, uwzględniającego najistotniejsze przesłanki ekonomiczne, a zwłaszcza potrzeby rynku krajowego.

Główny Urząd Ceł przypomina również o zasadach zwolnień od należności celnych, obowiązujących w ruchu podróży.

NA ANTENIE

PRZYNOŚI CO MIESIĄC WYBÓR NAJWAŻNIEJSZYCH AUDYCJI NADANYCH PRZEZ ROZGŁOSNIĘ POLSKĄ RWE ZE SZCZEGÓLNYM NACISKIEM NA AKTUALNE SPRAWY KRAJOWE.

Adres redakcji: RFE - Polish BD. English Gdn. MUNICH, GERMANY.

Administracja: KSIĘGARNIA SPK, PCA PUBL. LTD., 20, QUEENS GATE TERRACE, LONDON, S.W.7. dokąd należy kierować zamówienia. Prenumerata roczna z przesyłką £ 2.2.0 lub \$ 5,00, F. 25.00.

Sprawy i troski

Między Wisłą a Jordanem

Kilka miesięcy temu przyjechał do Izraela trzymilionowy obywatel. Ten rachunek nie jest tak zupełnie dokładny, ponieważ wliczono również Arabów izraelskich, ale chodziło o numer dowodu osobistego.

„Trzymilionowiec” przybył z Rosji. Miał audiencję u najwyższych władz, pokazywano go w telewizji i oprowadzano po zebraniach. Różne firmy, produkujące na przykład lodówki albo maszyny do prania, ofiarowały mu swoje wyroby a szczęśliwy posiadacz pięknie (i bezpłatnie) urządzonego mieszkania zachowywał się skromnie i mówił: „Nie zasłużyłem na takie przyjęcie”.

W parę dni później na ulicach miast manifestowali młodzi ludzie, bądź urodzeni tutaj, bądź przybyli przed laty, młode pary które mieszkają z rodzicami w nader trudnych warunkach i nie mogą marzyć o własnym domu. W pełnych rozgoryczenia wypowiedziach porównywali swoje warunki — i warunki nowych „olim”. Później doszło do zamieszek i demonstracji z udziałem młodzieży, zamieszkującej dzielnicę nędzy. Są to na ogół rodziny sefardyjskie. Z nich wywodzą się „posztacy”, margines społeczny, elementy zdemoralizowane i asocjalne. Tutaj także wypłynęła sprawa przywilejów dla nowoprzybyłych. Telewizja i prasa — Izrael jest państwem demokratycznym — sumiennie relacjonowały postawy, poglądy i fakty.

Wkrótce miną trzy lata od chwili gdy do Izraela napływać zaczęła fala „olim” z Polski, a w tutejszych układach właśnie trzyletni okres ma zasadnicze znaczenie. Z chwilą kiedy kończą się trzy lata — nowy „ole” przestaje być „nowy”. Wygasają prawie wszystkie prawa i przywileje — w postaci zwolnień od cła albo obniżonej granicy podatkowej. Instytucje powołane do opieki nad „nowym” w zasadzie nie mają już ustawowego obowiązku troszczenia się o jego znajomość języka, warunki pracy czy kursy kwalifikacyjne, dzięki którym może zdobyć zawód. Wygasają sty-

pendia udzielane na adaptacje. Mija okres udzielania pożyczek na niższy procent i dogodne spłaty — jednym słowem, po trzech latach nowoprzybyły winien stać się „normalnym” obywatelem, prawie — „watikiem”.

Ponieważ dla licznych przybyszów z Polski ten trzyletni czas rządkowania właśnie się kończy — jest okazja aby zapytać z jakim dorobkiem wchodzi oni w swój staż „watika”. Nie występuję tu w niczym imieniu i nie pretenduję do absolutnych uogólnień — uwaga ta wydaje mi się konieczna albowiem prawie każda relacja z Izraela drukowana poza granicami spotyka się z niesłychanymi wprost reakcjami pewnych tutejszych kół szowinistów i demagogów. Na poparcie tego przytoczę fakt, że prasa hebrajska (pismo *Maariv* związane z rządzącą Partią Pracy) zaatakowała mój artykuł zamieszczony w 10 (1970) numerze *Kultury* o perspektywach powstania w Tel Avivie sławistyki. Wśród nieścisłości, przekręceń i demagogicznych sformułowań uderzała opinia, że sławistyka — a konkretnie polonistyka — nie jest w ogóle Izraelowi potrzebna zwłaszcza, że katedrą miał kierować specjalista od pozytywizmu polskiego zaś czołowym przedstawicielem pozytywizmu był Aleksander Świętochowski — antysemita!

Argumentacji tej oczywiście niesposób czegokolwiek przeciwstawić. Koniec końców sławistyka zapewne nie powstanie w Tel Avivie i antysemita Świętochowski nie będzie straszył na izraelskim uniwersytecie — we wspomnianym artykule (z dnia 19. II. 1971) uderza jednak co innego. Otóż autor pisze ironicznie o profesorze S. Sandlerze, wybitnym sławistcie, który opuścił Polskę na znak protestu przeciwko antysemickim polowaniom na czarownice i — drogą większości nowych emigrantów znalazł się w Wiedniu, gdzie otrzymał z uniwersytetu w Tel Avivie propozycję pracy i współorganizacji katedry w swojej specjalności.

Artykuł w *Maariv*'ie wyraża tendencje, które zaczynają coraz silniej dominować wśród licznych kręgów społeczeństwa izraelskiego. Dlaczego — pyta autor artykułu — zaszczytne stanowisko profesora przyznaje się nowoprzybyłemu, czemu proponuje mu się przyjęcie katedry telegramem do Wiednia, skoro jest to człowiek „nowy” a podobnie ułatwionej drogi życiowej nie zapewnia się „starym” mieszkańcom kraju? Katedry profesorskiej nie otrzymali wybitni sławiści którzy przyjechali przed laty, nie było dla nich pracy ani posad — a oto człowiek który niczego nie wniósł w życie izraelskie, nawet nie posiada jeszcze obywatelstwa — otrzymuje takie stanowisko?

Sięgnęliśmy tu do sedna sprawy — do ustalenia, że o randze i miejscu człowieka w społeczeństwie izraelskim winna decydować nie postawa polityczna i moralna, nie autorytet naukowy lub fachowy, nie dorobek w zawodzie — lecz staż obywatelski. Charakterystyczne przy tym, że owo wołanie o zasadę „każdemu wedle stażu” dotyczy wyłącznie nowoprzybyłych z Polski, Rosji czy innych krajów Europy Wschodniej, w ostatecznym przypadku — przybyłych z Francji i Maroka. Natomiast za zupełnie naturalne uważa się na przykład, że z góry zagwarantowane stano-

wiska naukowe czy urzędnicze obejmują „olim” z krajów anglosaskich.

Powoli, lecz dostrzegalnie, na przestrzeni ostatnich trzech lat zmieniło się nastawienie społeczeństwa izraelskiego wobec problemu „aliji”. Co prawda we wszystkich oficjalnych przemówieniach przedstawicieli władz czy stronnictw politycznych zawsze jest mowa o aliji i o tym, że jest ona potrzebna Izraelowi jak powietrze, że bez niej kraj nie może istnieć. Jednakże po raz pierwszy odbyły się w Jerozolimie i w Tel Avivie demonstracje antyolimowe, demonstracje młodych par, urodzonych tu „sabr”, którzy nieśli transparenty głoszące iż przywileje dla „olim” uderzają w rdzennych Izraelczyków. Reprezentanci tych młodych oświadczyli, że są przedstawicielami szeroko rozgałęzionej organizacji, ustalili program wieców oraz spotkań z władzami. Demonstracje te nie miały nic wspólnego z wywrotowymi lub chuligańskimi elementami, nie uczestniczyła w nich ani Nowa Lewica ani Czarne lub Żółte Pantery. Wszystko przebiegało w zupełnym porządku i legalnie.

O ile więc artykuły — w rodzaju wspomnianego w *Maariv*'ie są wyrazem zwykłej zawiści „waticów” w stosunku do obecnych „olim” („Gdzie byliście kiedy my osuszaliśmy błota w Erec Izrael?”) o tyle demonstracje młodych mają inny charakter i inne są ich źródła. W tych „antylimowych” wystąpieniach nie biorą udziału ci, którzy dysponują wysokimi dochodami, mają piękne wille, dobre i stałe posady, wpływy i stanowiska. Młodzi demonstranci nosili np. transparenty ze sloganami „Mój ojciec nie jest milionerem i nie może zapewnić mi dachu nad głową”.

Różnicowanie majątkowe i klasowe pogłębia się w Izraelu stale, i nic już nie przypomina czasu pionierów, jednakowo ubranych i jedzących z jednego kotła, niezależnie od rodzaju pracy lub wykształcenia. Rośnie przepaść pomiędzy „biednymi” a „bogatymi”. Jest to zresztą przedmiot stałego zmartwienia dawnych ideologów, którzy widzieli nowe państwo w kształcie socjalistycznym, idealistycznym. Oczywiście, są jeszcze kibuce. Ale tylko 4 % ludności kraju tworzy społeczności kibucowe, i ten procent nie zmienia się od lat, chociaż wzrosła ilość ludności w danych bezwzględnych. Oznacza to, że idea kibucowa wcale prawie nie znajduje zwolenników wśród samych Izraelczyków, a ewentualny, skromny dopływ „nowych sił” to głównie ochotnicy ze Stanów lub z innych krajów anglosaskich, często synowie i córki bogatych ludzi, poszukujący w kibucu rozwiązania trudnych spraw współczesności. Jest też charakterystyczne, że ostatnia alija polska oraz napływ Żydów z Rosji czy Czechosłowacji nie dał kibucowi ani jednej nowej rodziny. Okazało się, że wieloletni „trening w socjalizmie” jedynie odstraszył niedawnych emigrantów od idei wspólnoty.

Oto więc kolejny podział społeczeństwa izraelskiego — ten najprostszy i najczęściej spotykany: na zamożnych i ubogich, przy czym ubogim nie wystarcza już sama ideologia narodowa i patriotyzm.

Z podziałem na „waticów”, „olim” i na urodzonych tutaj czyli „sabri” spotkaliśmy się już wcześniej. Ale oto następna linia dzieląca społeczeństwo: „czarnuchy” i „wuzwusy”.

Wielu z niedawno przybyłych dopiero tutaj dowiedziało się, że są aszkenazyjczykami — w przeciwieństwie do sefardyjczyków, i że aszkenazyjczyka ckrzykują na ulicy „wuzwus” co pochodzi ze zniekształconego jidysz. Natomiast sefardyjczyk jest „czarnuchem”. Dalszy etap edukacji — na Żydów z Maroka, Iraku lub Egiptu nie mówi się już „czarnuch” — bowiem znają to słowo we wszystkich językach świata (z polskim włącznie) a przy tym skorzy do wyciągania noża. Mówi się: „kolorowy” albo „Szwed”(!).

Jest faktem, że 60 % młodzieży w wieku do 24 lat stanowią dziś w Izraelu „Szwedzi”. Natomiast ilość tej młodzieży na wyższych uczelniach nie sięga 12 %. Są to oficjalne dane, świadczące o pozycji Żydów pozaeuropejskich (wyłączając Stany Zjednoczone). Oczywiście idzie z tym w parze status materialny a dalej — alienacja i nieprzystosowanie socjalne. Z tych środowisk z rodzin mieszkających w fatalnych warunkach, wielodzietnych, w których ojciec nie pracuje, dzieci wychowuje ulica — wywodzą się tak zwani „posztacy” — czyli chuligani. Powstaje zamknięte koło — w licznych przypadkach młodzież ta nie jest w ogóle brana do wojska (szczególnie jeśli ma na sumieniu jakieś wykroczenia) co znowu stawia ich poza nawiasem społeczności. Otóż wprowadzając nowych „olim” do nowowyprowadzonych domów kierowano się zasadą mieszania nacji. Często stare, brzydkie domy przydzielone „czarnuchom” przed wielu laty pozostawiano w samym środku pięknych, nowych osiedli licząc widocznie na zbawienny wpływ przemieszania Żydów z kilkunastu czy kilkadziesiątu krajów. Żydzi sefardyjscy spostrzegli nagle, że tuż obok nich, nowoprzybyli z Polski posiadają kilkupokojowe ładnie umeblowane, przestronne mieszkania, że przed tymi blokami stoją nowe samochody, kupione bez ceł i podatków. Ewentualne chuligańskie instynkty znalazły natychmiast ideologiczną podbudowę — przywódcy grup „posztaków” z dzielnic dla „olim” wyznali przedstawicielom prasy, że tłuką szyby sklepowe, wrywają torebki kobietom i awanturują się na ulicach w ramach protestu przeciwko przywilejom dla „olim” z Polski i z Rosji. Z kolei „wuzwusy” reagują w ten sposób, że nie pozwalają swoim dzieciom uczęszczać do szkół dzielnicowych, w których jest przewaga „czarnych” albo starają się za wszelką cenę wyrwać z domu, w którego okolicy mieszkają „czarni”, zmienić dzielnicę, odgrodzić murem swoje rodziny i dzieci.

W tych wszystkich podziałach (uwzględniając najzupełniej szczególną sytuację państwa Izrael źródła tych podziałów wydają się oczywiste) szczególne miejsce zajmują nowoprzybyli z Ameryki. Nie należą do „waticów” — lecz w hierarchii społecznej zajmują wyjątkowo wysoką pozycję. Są „olim” i korzystają z rozmaitych przywilejów choć istnieje pewna drobna różnica pomiędzy „ole” z Polski, który nie ma prawa zabrać ze sobą nawet owych przysłowiowych pięciu dolarów, a „ole” ze Stanów który

przyjeżdża z całym majątkiem, zwiększającym w dodatku prawie czterokrotnie swoją wartość skutkiem przeliczeń walutowych. Wreszcie, „olim” ze Stanów tworzą najzupełniej zamknięte, własne środowiska i grupy zawodowe i towarzyskie, coś w rodzaju WASP na gruncie izraelskim. Pod wieloma względami są w szczególnej sytuacji ludzi, którzy przyjechali z własnego wyboru i czują się związani z żydostwem i syjonizmem. Dla nich wizyta przy Ścianie Płaczu albo obchody świąt żydowskich to naprawdę przeżycie, dla starszych wreszcie nadzieja, że syn lub córka wybierze Żyda — a nie goja (co grozi w Ameryce) za towarzysza życia.

„Ole” z Polski, z całym bagażem swoich trudnych problemów życiowych i psychicznych łapie się za głowę, kiedy w trakcie pobytu na „uipanie” przypada Pesach i Seder, a Amerykanie kilka godzin dyskutują z kierownictwem i władzami Sochnutu czy Seder ma być wedle obrządku sefardyjskiego czy aszkenazyjskiego.

„Olim” ze Stanów mają w Izraelu swoje kluby i koła, swoje pisma i związki, swoje stowarzyszenia i dyskusje, pokazy filmowe i odczyty, herbatki i wieczory brydżowe — podczas gdy centralnym zagadnieniem Związku Żydów z Polski jest, czy dać komuś zapomogę w postaci 20 funtów i dwóch starych sukienek, wykarotowanych w ramach akcji dobroczynnych.

Zrzeszenia Żydów amerykańskich przejawiają ekskluzywność i separatyzm w równym przynajmniej stopniu co koła „watyków”, które mają decydujący głos w kraju, nie tyle ze względu na zamożność — jest wielu bogatszych — ale na stosunki i wpływy oraz „staż obywatelski”. Koła „watyków” nie dopuściły, na przykład, do wystawiania w telawivskim Teatrze Kameralnym spektaklu „Królowa Winna” — w którym zresztą nic specjalnego nie było prócz nieśmiało wyrażonej uwagi, że łatwo jest ojcom posyłać na wojnę dzieci — bo to dzieci giną na froncie, nie ojcowie. Jest i zupełnie inna linia podziału społeczeństwa izraelskiego — owe 10% (podobno) ortodoksyjnie religijnych. Cóż z tego jednak, że to tylko 10% i że światła część społeczeństwa prowadzi z nimi od lat walkę (uzyskując — bardzo powoli — pewne sukcesy) skoro panuje w kraju niewątpliwy terror religijny... Należy tu zaznaczyć, że naciski religijne nie ingerują w życie prywatne, co gdyby miało miejsce, byłoby faktycznie nie do zniesienia. Prywatny obywatel może nie przestrzegać sabatu, nie chodzić do synagogi i jeść świninę. Nie będzie miał z tego tytułu żadnych przykrości; wolno mu być ateistą. Ale bardzo wielu ludziom przeszkadza, że w życiu publicznym trzeba kierować się nakazami religijnymi, że, na przykład, młoda dziewczyna żeby zdać egzamin na laborantkę-technika żywnościowego — musi odpowiedzieć na pytanie: „Umiera Żyd. Umiera w drodze pomiędzy dwoma miastami. W którym mieście należy go pogrzebać?”.

Na tym pytaniu „położyła się” pewna dziewczyna z Polski; w efekcie straciła kilka lat nauki. Zainteresowanym wyjaśniam, że umarłego należy pochować w mieście położonym bliżej. To nie jest zresztą jeszcze odpowiedź wystarczająca. Powinni zebrać się rabini z obu miast i krokami odmierzyć odległość...

Oczywiście, przepis ten ma głębokie uzasadnienie klimatyczne — przy temperaturach dochodzących do 35 stopni faktycznie trzeba grzebać zmarłych tam gdzie bliżej. Takie są oto skutki najszustniejszego nawet przepisu, jeżeli się go kultywuje od 2000 lat, zapominając, że świat się tymczasem trochę zmienił.

Tragiczna wręcz jest dominacja czynników religijnych w sprawach prawa cywilnego, rodzinnego, w sprawach życia i śmierci. Po dziś dzień obowiązuje właściwie przepis, w myśl którego wdowa ma obowiązek poślubić brata zmarłego męża. Był to kiedyś nakaz, który chronił kobietę i zabezpieczał jej prawa w nowej rodzinie w przypadku utraty męża. Dziś ów brat, któremu żona-wdowa „należy się” z prawa, wykorzystuje sytuację i zanim zwolni ją z obowiązku ślubu, żąda po prostu... odszkodowania finansowego. Wiadomo, że „kohenowi” (pochodzącemu z biblijnych rodów kapłańskich) nie wolno poślubić rozwódki, że wdowy po marynarzach z zatopionej łodzi „Dakar” nie mogły wyjść za mąż (skoro ciała nie znaleziono — nie stwierdzono zgonu. Dopiero stosunkowo niedawno rabinat wojskowy uznał wdowy z „Dakaru” za „wolne”), że dzieci z mieszanych małżeństw nie mają prawa zawrzeć związków małżeńskich, że procedura udowadniania żydostwa jest skomplikowana, kosztowna i pełna pułapek oraz że rabinat zarządza egzaminy „koszerności” i rytualne mykwy — to są autentyczne fakty. Gdyby wszystko rozgrywało się w granicach dzielnic ortodoksyjnych — można byłoby założyć, że to w końcu sprawa danej grupy religijnej. Można nawet (choć już z pewnym trudem...) przejść do porządku nad faktem, że fanatyczni młodzieńcy obrzucają kamieniami samochody wjeżdżające przypadkiem w te dzielnice w piątek wieczorem, że religijna wioska chasydów Kfar Chabad odgrodziła się od szosy (przez którą biegnie normalny ruch) płotem zasłoniętym kocami — założymy, że każdy ma prawo rządzić się u siebie i może ten płot i te koce zastępujące kilometrowe odcinki nowoczesnej drogi są najlepszym rozwiązaniem. Ale — nie można przejść do porządku dziennego nad faktem, że rabinat i czynniki religijne są jedyną instancją jeśli idzie o prawo rodzinne obowiązujące w Izraelu. Od tego bowiem nie ma ucieczki. Nikt nikogo nie zmusza ażeby obrzezać nowonarodzone dziecko i żadne restrykcje nie spotkają opornych. Lecz gdy dziecko dorosnie i chce się ożenić pozostaje mu tylko wyjazd na Cypr. Z kolei jego dzieci także nie będą już „koszerne”. Później zaś, gdy umrze, Chewra Kadysz (przedsiębiorstwo pogrzebowe) nieobrzezanego nie pogrzebie na cmentarzu żydowskim. Taki właśnie przypadek zdarzył się niedawno i w efekcie zwłoki pewnego lekarza pozostawiono Uniwersytetowi dla badań — na cmentarzu i z obrządkiem religijnym nie można go było pogrzebać. Chyba że... tak jak z tym Cyprem, i z tysiącem innych sytuacji w których wszyscy przymykają oczy — w tajemnicy, już po śmierci, obrządku obrzezania dokonają grabarze...

W XX wieku trudno jest żyć w gęszczu sformalizowanych przepisów. Trzeba wobec tego szukać sposobów na ich omija-

nie lub przynajmniej złagodzenie. Przez osiem dni Świąt Pesachowych w Izraelu nie produkuje się chleba, nie sprzedaje mąki, makaronu ani żadnych wyrobów mącznych. Półki w supermarketach i sklepach są „zablokowane”, zasłonięte płótnami. Ale w przeddzień Świąt domy towarowe i małe sklepiki „makolety” sprzedają ogromne ilości wyrobów mącznych i wszyscy dobrze wiedzą, że 60% ludności trzyma zapasy w spiżarni a niewygodą sprowadza się tylko do tego, że trzeba jeść stare pieczywo. Rozbieżność pomiędzy starymi nakazami a życiem prowadzi do zadziwiających paradoksów: pamiętam sprzed dwóch lat sprawę o podpalenie wytwórni kosmetyków w celu uzyskania wysokiego odszkodowania. Podpalacz był „zamówiony” i oplacony przez właściciela wytwórni na piątkowy wieczór, jednakże wbrew umowie dokonał przestępstwa w czwartek. W wyniku tego doznała ciężkich poparzeń jedna z pracownic i sprawa się wydała. W sądzie podpalacz tłumaczył, że przestrzega sabatu — a wobec tego nie wolno mu zapalać ognia w piątek(!).

Rozliczne automaty mają ułatwiać życie ludziom, którzy pragną pozostać w zgodzie z przepisami religijnymi. Są więc automaty które gaszą światło w nocy z piątku na sobotę albo utrzymują płomień w kuchence gazowej czy wreszcie — wyłączają żarówkę w lodówce. Niewątpliwie wszystkie te drobne i większe sposoby na omijanie zakazów, przy jednoczesnym utrzymywaniu fikcji całkowitej zgodności z prawami Zakonu, wydają się drażniące nowym przybyzszom z Europy, którzy nie tylko nie mieli z nimi nigdy do czynienia, ale którzy w dodatku marzą o znalezieniu miejsca na ziemi, w którym istniałaby większa zgodność zasad z moralnością. Ostatecznie rozdziew pomiędzy głoszonymi hasłami a praktyką codzienną jest im wystarczająco znany z poprzednich doświadczeń życiowych.

Podobnie, wewnętrzny sprzeciw budzi u tych nowych „olim” wyraźnie nacjonalistyczne, rasowe i szowinistyczne stanowisko poszczególnych publicystów czy działaczy izraelskich. Nawet światła część społeczeństwa, nawet ci którzy energicznie walczą z przymusem religijnym (osiągając powoli pewne sukcesy) i uważają się za bezwyznaniowców, poddają się teoriom samouwielbienia narodowego. Oto charakterystyczne przykłady: w doskonale zagospodarowanym i utrzymanym kibucu Nitzanim zwiędłałam miejscowy dom kultury — mauzoleum wojowników poległych w walkach 1948 roku. O samym kibucu (położonym obok Aschdod) krążą legendy i uczą się o nim dzieci w szkołach. Nietzanim padło obłożone przeważającymi siłami, i zginęło tam blisko 50 obrońców. Sam kibuc powstał z połączenia dwóch grup pionierów pochodzących głównie z Polski i dlatego z pewnym zasłużonym członkiem kibucu rozmawiałam po polsku. Oprowdzając nas po nowych budynkach, pokazując imponujące dzieło stworzone na dzikiej, piaszczystej ziemi, mówił o pionierze który zginął broniąc Nitzanim w 1948 roku i o jego małym synku, który doszedłszy do lat brał udział w Wojnie Sześciodniowej i także zginął. „Czy jest jeszcze jakikolwiek inny naród na świecie —

pytał ów działacz — który posiada takich dwóch bohaterów, ojca i syna, kolejno oddających życie w obronie swojego kraju? Z pewnością, drugiego takiego narodu nie ma i nie było”.

A oto publikowane szeroko w prasie izraelskiej wspomnienie bojownika, biorącego udział w walkach o Jerozolimę w 1967 roku. Bojownik nazywa się Izrael Schindler i w trakcie walk na moście na Kidronie próbował — niestety bez skutku — uratować kolegę, tłumacząc to jak następuje: „Spełniłem tylko święty obowiązek moralny — kto ratuje jedną duszę żydowską nawet z narażeniem własnego życia, ten jakby ratował cały świat”.

W tym kontekście charakterystyczny jest artykuł sekretarza izraelskiego Związku Dziennikarzy, Mosze Rona, który pisząc o małżeństwach pomiędzy Arabami a Żydówkami głosi: „Podczas gdy w społeczeństwie arabskim nie wywołuje żadnego wrażenia fakt poślubienia żydowskiej dziewczyny przez Araba, to żydowscy rodzice przeżywają największą tragedię gdy córka poślubia Araba. W wielu wypadkach rodzice zrywają z nią wszelkie stosunki i nawet odbywają pokutę jak gdyby po jej śmierci”. Artykuł kończy się zdaniem: „Taki jest tragiczny rezultat mieszanych małżeństw żydowsko-arabskich!”.

Nowy „ole” z Polski — myślę tu zwłaszcza o młodzieży — z ogromnymi trudnościami mógłby przyjąć podobny sposób rozumowania. Być może, nie pogodzi się z nim nigdy. I jeżeli mimo o tych sprawach to nie po to ażeby wskazywać, że niektórzy działacze i publicyści wychowują naród izraelski w duchu nacjonalistycznym, szowinistycznym, ale żeby wykazać jakie problemy natury ideologicznej, moralnej i intelektualnej są dla niektórych „nowych” środowisk zupełnie nie do rozwiązania.

Jest ponadto jeszcze inna sprawa — odmienna ale ściśle z tym związana. Chodzi mianowicie o konwertyzm, o przechodzenie na judaizm nie-żydowskich małżonków. Charakterystyczne, że najbardziej światłe dyskusje, jakie się na ten temat toczą, dotyczą kwestii ułatwień dla pragnących przejść na judaizm, a raczej utrudnień jakie w tej mierze stawia ortodoksyjny rabinat. Kryzys parlamentarny wywołała niedawno sprawa pewnej mieszkanki kibucu, Amerykanki, która przeszła na judaizm w synagodze zreformowanej i w związku z tym nie została uznana za Żydówkę w Izraelu. Partie religijne groziły wystąpieniem z koalicji rządowej w przypadku, gdyby ministerstwo spraw wewnętrznych zgodziło się jednak uznać ją za Żydówkę. Kryzys zażegnano w dość tajemniczych okolicznościach i przy pomocy najwyższych czynników państwowych — Amerykanka po prostu powtórnie dokonała obrządku przejścia na judaizm, tym razem w synagodze ortodoksyjnej i w przyspieszonym tempie (dokładnie — w ciągu 12 godzin stanowiących *deadline* dla partii religijnych). Otóż sprawą tą zajmowała się istniejąca tutaj Organizacja do Walki z Przymusem Religijnym. Wedle demokratycznych pojęć „walka z przymusem religijnym” dotyczy chyba tego, aby nikt nie był zmuszony w ogóle przechodzić na jakąkolwiek wiarę, jeżeli sobie tego akurat nie życzy, nie zaś kwestii, czy przejście

takie ma się odbywać w myśl tego czy innego obrządku. Podobnie wygląda problem tzw. procedury ułatwionej, stosowanej w Wiedniu wobec nie-żydowskich małżonków. Przeciwno procedurze tej zaoponowali rabini ortodoksyjni, popierają ją światłe kręgi społeczeństwa i prasy. Ale przecież chodzi o to, aby nie trzeba było zmieniać wyznania — obojętne wedle jakiej reguły — aby stać się pełnoprawnym członkiem społeczności w nowej ojczyźnie! Przecież jest to niewątpliwy gwałt zadawany przekonaniom nie-żydowskich małżonków, obojętne, czy są katolikami, protestantami czy ateistami. Nie sposób zgodzić się z opinią wyrażoną w Kneset przez Goldę Meir przy okazji uchwalania ustawy o prawach nie-żydowskich członków rodzin: premier Izraela doradzała, aby żony-katoliczki „zrobiły jeszcze jedno poświęcenie dla swoich żydowskich małżonków”. Reasumując — nawet najbardziej światłe koła sprowadzają problem jedynie do walki o ułatwienia przy przejściu na judaizm. Oczywiście ta skomplikowana sprawa w bardzo znacznym stopniu dotyczy właśnie nowoprzybyłych z Polski a nawet i z Rosji i dla wielu tych ludzi stanowi trudny problem.

Jestem zmuszona poruszyć również bolesną kwestię stanowiącą jednocześnie dogmat i tabu w rzeczywistości izraelskiej. Sądząc z pewnych publikacji i wypowiedzi licznych wpływowych kół, wrogiem numer jeden Izraela, syjonizmu i przyszłości (oraz przeszłości) żydostwa jest... Żyd zasymilowany. O Żydach zasymilowanych pisze się i mówi w stylu przypominającym publikacje komunistyczne. Alberto Moravia zwiedził Bliski Wschód i napisał cykl artykułów, z których propaganda izraelska nie była zadowolona. W odpowiedzi wyciągnięto, że Moravia nazywa się w rzeczywistości Pinkele, zaś dalszy ciąg tych enuncjacji — forma donosu „pochodzeniowego” i styl ataku — kropka w kropkę przypominały rok 1968 w polskiej prasie. Tam także pisano w nawiasie, obok „nazwiska używanego” — „nazwisko właściwe” aby w ten *delikatny* sposób poinformować opinię publiczną z kim ma się do czynienia. *New York Times* opublikował reportaż z ośrodka Agencji Żydowskiej w Wiedniu — i pozwolił sobie na kilka skromnych krytycznych uwag. Niezależnie od tego na ile krytyka owa była uzasadniona — w prasie izraelskiej argumentacja bynajmniej nie dotyczyła istoty sprawy (to znaczy ośrodka w Wiedniu) lecz faktu, że w *New York Times*’ie pracują Żydzi zasymilowani, a „ci są zawsze i wszędzie jednakowi”. Pewien mierny felietonista z polskiej prasy w Izraelu ukuł termin „Polacy wyznania moźeszowego” ażeby wykpić Żydów zasymilowanych w Polsce. Przytaczam te przykłady aby unaocznić rodzaj i sposób rozumowania.

Oczywiście kwestia asymilacji i stosunku do tej sprawy dotyczy Żydów polskich w największym stopniu. Nie trzeba nikomu tłumaczyć, że — niezależnie od oceny politycznej postawy poszczególnych jednostek — wszyscy ci ludzie do 1968 roku „postawili na asymilację”. Po katastrofie kierowali się rozmaitymi motywami wybierając Izrael jako stację docelową. Niektórzy po pro-

tu nie mogli dostać się np. do Stanów Zjednoczonych ze względu na kompromitującą przeszłość w szeregach PZPR. Inni uznali, że z Izraelem wiąże ich przynajmniej jakaś dawna tradycja rodzinna lub że mają tu krewnych i znajomych. U niektórych pod wpływem prześladowań obudziła się żydowska świadomość narodowa. Czasem decydowało poczucie „wysadzenia z siodła”, kłeski życiowej i związane z tym pragnienie, aby pochodzenie nigdy już nie zaważyło na przyszłości dzieci. Czasami wreszcie była to jedyna dostępna postać protestu politycznego bądź chęć znalezienia się w kraju który — jedyny do tej pory — prowadzi aktywną i zwycięską wojnę z sojusznikami komunizmu. Jakie by te motywacje nie były, przeszłość ich wszystkich była niewątpliwie przeszłością Żydów zasymilowanych i hołdujących idei asymilacji. Dla prawie całej tej grupy istotne były związki z polskością, z polską tradycją, kulturą, językiem i historią.

Z chwilą wkroczenia na ziemię izraelską wymaga się od nich absolutnego zerwania tych związków, więcej — zaprzeczenia im i zaparcia się po to, aby wykazać należytą lojalność wobec nowej ojczyzny. Z historii Polski podkreśla się wyłącznie strony ciemne, nietolerancję, prześladowania rasowe, szmalcownictwo, współdziałanie z okupantem w dziele wojennego ludobójstwa. Nikt nie ma zamiaru zaprzeczać oczywistym faktom i bronić zacofania, ciemnoty i barbarzyństwa. Nikt nie wątpi, że w historii Polski były i są karty tragicznej głupoty i fanatycznej nietolerancji. Chodzi tylko o to, że nie ma, nie było i nie będzie „narodów wybranych”, że w historii wszystkich znanych nam państw głupota, zdrada, nietolerancja i łajdactwo towarzyszyły odwadze, poświęceniu, szerokim horyzontom i niezawisłości myśli. Niestety, demoralizujące wpływy systemu komunistycznego — w naszych już czasach — zaczynają przeważać szalę na niekorzyść...

W stosunkach z Żydami amerykańskimi nie eksponuje się że, powiedzmy, kilka wieków temu spalono w Salem kobiety podejrzane o współdziałanie z diabłem. Żydom francuskim nie wypomina się Dreyfusa. Natomiast Żyd z Polski powinien zerwać wszystkie związki łączące go z krajem urodzenia (oczywiście jeżeli związki takie istniały), powinien „urodzić się na nowo”.

Jak wiadomo „olim” przybywający do Izraela z tak zwanych „krajów dobrobytu” (cóż za pocieszające określenie) zachowują podwójne obywatelstwo. Nie jest to tylko formalność. Pewien profesor z USA wygłosił do młodzieży przemówienie inauguracyjne, w którym mówił o swoim przywiązaniu do Stanów, do miasta rodzinnego, historii Ameryki, jej obyczajów, języka i kultury. Profesor nie wahał się przyznać do tęsknoty i nostalgii za krajem urodzenia, choć wyraźnie podkreślił że za swoją ojczyznę uważa obecnie Izrael. To przemówienie zostało ostro zaatakowane przez polską prasę w Izraelu. Wspomniany profesor wszczepia podobno jad w dusze młodzieży, jeżeli z wysokości swego autorytetu przyznaje się do związków ze swoim „poprzednim wcieleciem”.

To „przecięcie osobowości” jakiego wymaga się od lojalnego

nowego obywatela z Polski powoduje rozliczne napięcia szczególnie, kiedy ten nowy obywatel widzi, że Żydowi amerykańskiemu który płaci na Makbit, Keren Kajemet, Pożyczkę Obronną i Rozwojową — nikt nie wyrzuca i nie wymawia, że mieszka w Nowym Jorku a tylko na urlop przyjeżdża do Jeruzolimy. Zresztą, nawet jeśli ów Nowojorczyk zdecyduje się na emigrację do Izraela, to za naturalne będzie się uważało, że ma on dwa paszporty, dwa obywatelstwa, dwie ojczyzny i dwa języki. Jedynie demagodzy ze wspomnianej polskiej prasy pozwolą sobie na ewentualne ataki. Natomiast Żyd z Polski musi dawnym związkom zaprzeczyć, swój dotychczasowy dorobek życiowy zanegować, swoją poprzednią postawę skrytykować.

Ja osobiście tym właśnie szczególnym rodzajem nacisku tłumaczę swoiste „sprzężenie zwrotne” pojawiające się w psychice niektórych młodych ludzi z ostatniej aliji. W Polsce na ogół uważali się za Polaków i ich odejście od żydostwa było właściwie prawie całkowite. Pod wpływem nagonki antysemickiej zaczęli demonstrować swoje pochodzenie, „obcość”, „inność”. Dążyli do wyjazdu i urzekała ich wizja dalekiego Izraela. Ale tu, na miejscu, demonstrowali dla odmiany swoje polskie związki i relacje! Czasami są to demonstracje dzieciinne — śpiewają polskie piosenki i poza szkołą lub uniwersytetem nie chcą mówić po hebrajsku. Cięży im zresztą i co innego — atmosfera wyższej uczelni w Izraelu jest najzupełniej różna od atmosfery życia akademickiego w Kraju; izraelscy studenci są starsi, po wojsku, często uczą się i pracują jednocześnie, zaś do środowiska studentów amerykańskich młodzież z Polski nie ma dostępu. Oczywiście też sytuacja materialna tej młodzieży uległa znacznemu pogorszeniu ze względu na o wiele niższe zarobki rodziców.

Najłatwiej jakoś do nowego sposobu myślenia i nowej aparatury pojęciowej, do nowych wzorców i relacji przyzwyczajają się byli aktywni działacze PZPR... Najłatwiej mogą się oni podporządkować nowym zadaniom i hasłom — to nie złośliwość, to fakt. Poniektórzy aparatczycy reżymowi z momentem osiedlenia się w Izraelu stali się najbardziej zagorzałymi zwolennikami wszystkiego co izraelskie i najbardziej nieprzejednanymi przeciwnikami wszystkiego, co działa się tam. Przystosowanie tych ludzi budzić może podziw. Jeżeli dawny współbudowniczy ustroju komunistycznego po przyjeździe tutaj staje się doskonałym rolnikiem-hodowcą jabłek (w pewnym kibucu mieszka były I sekretarz komitetu miejskiego. Przyjechał w 1956 roku i ma dziś znakomite rezultaty w sadownictwie które, jak się okazało, jest jego właściwym powołaniem) — oto wcielenie w którym byłego aktywistę można przyjąć. Jeżeli jednak zajmuje się kształtowaniem opinii publicznej, jeżeli pracuje w prasie, radio lub telewizji albo też zajmuje wysokie stanowisko w rządzącej Partii Pracy i z tej trybuny grzmi i poucza tak jak grzmiał i pouczał dawniej z trybuny PZPR — trudno się zgodzić z zasadą w myśl której „nie sięga się do przeszłości”. Już naprawdę większe zaufanie budzą ci dawni działacze, którzy zdecydowali się tutaj wstąpić do Maki

(partia komunistyczna) i przynajmniej pozostali wierni przekonaniom.

Relacjonując układy i struktury społeczne, polityczne i ideologiczne w jakich znalazła się nowoprzybyła grupa z Polski nie poruszałam celowo podstawowych spraw bytowych. Są to zresztą rzeczy znane i swego czasu o „pierwszych krokach” tej grupy, o pomocy ze strony władz pisałam na łamach *Kultury*. Mimo wszelkich ułatwień sytuacja tych ludzi wygląda korzystnie tylko w przypadku, jeżeli posiadają tak zwany „dobry zawód”, łatwość w przyswajaniu sobie języka czy po prostu — protekcję. Trudno się dziwić, że dawny urzędnik rady narodowej ma wielkie trudności w znalezieniu pracy, a przecież zmorą tych ludzi jest także cenzus wieku. Jeżeli nawet pracę dostanie, to jeśli przekroczył 45 lat nie uzyska „kawua” czyli stałej umowy, może być w każdej chwili zwolniony i — co najważniejsze — nie może liczyć na emeryturę. Ponieważ na przestrzeni ostatnich trzech lat koszty utrzymania w Izraelu niewspółmiernie wzrosły, ponieważ nowoprzybyły nie ma stażu „watika”, ponieważ zaczyna już płacić podatki — poza nielicznymi przypadkami nie wydaje się, aby „polska grupa” uważała swój status i standart życiowy za wysoki. Dotyczy to — podkreślam to raz jeszcze — tych, którzy konkretnego zawodu nie posiadają, i jest w końcu zjawiskiem nader powszechnym we wszystkich krajach, do których chciałby ów emigrant zawinąć. „Polska grupa” choć ocenia swój standart życiowy pesymistycznie jest jednak w sumie lepiej przygotowana do niewygód i trudów nowego życia niż, na przykład, „olim” ze Związku Sowieckiego.

Prawdopodobnie winna jest tutaj propaganda, która Żydom w Rosji przedstawia życie w Izraelu jako życie w Ziemi Obiecanej, w kraju mlekiem i miodem płynącym. Dopóki wszystko przebiega w euforii i ekstazie, dopóki walka toczy się o słuszne prawo do wyjazdu, dopóki za to prawo idzie się do więzienia albo podlega restrykcjom — wszystko wydaje się proste i łatwe. Potem jednak trzeba pójść normalnie do pracy, płacić czynsz, światło i kupować mięso. Nader często Żydzi rosyjscy przeżywają rozczarowanie które objawia się w nadmiernych wymaganiach i pretensjach. Rodziny przyjeżdżające z Rosji organizują strajki okupacyjne na lotniskach (albowiem przydzielono im mieszkania nie w takiej dzielnicy w jakiej akurat życzyli sobie mieszkać), oto szewc z małego miasteczka na Litwie otwiera sobie warsztat prywatny (nareszcie!) i nie ma klientów (bowiem szyje buty à la walonki), więc żąda od władz ażeby przysyłały mu kupujących — przykłady można mnożyć.

W dalszej kolejności owe rozgoryczenia, słuszne i niesłuszne pretensje (słuszne na przykład gdy dotyczą biurokracji izraelskiej, wręcz nie mającej sobie równej na świecie) powodują reakcję zwrotną — zjawisko kryzysu zaufania w stosunku do „olim” z Polski i z Rosji, ogólnie mówiąc — z krajów komunistycznych.

Ten kryzys zaufania jest widoczny i odczuwalny. „Olim” z Europy Wschodniej i Związku Sowieckiego uważa się za „niew-

dziesiętników", za wykorzystujących państwo Izrael — i tak znajdujące się w dostatecznie trudnej sytuacji, za ludzi nieodpowiedzialnych na których nowa ojczyzna właściwie nie może liczyć. Coraz liczniejsze demonstracje publiczne przeciwko przywilejom dla „olim” są właśnie elementem owego kryzysu zaufania. Pewne kręgi społeczeństwa obiegają wyolbrzymione wieści o nadużyciach dokonywanych przez „olim”, o bogactwach jakie gromadzą dzięki zniżkom celnym, o ich niesprawdzonej nielojalności wobec nowej ojczyzny. Jakiegokolwiek słowa krytyki pod adresem stosunków panujących w kraju są przyjmowane właśnie w taki sposób.



To co przedstawiłam powyżej jest próbą analizy nowego etapu na jakim znaleźli się ci ludzie, którzy wyjechali z Polski w latach 1968-1969 i za stację docelową obrali Izrael. Nie ulega wątpliwości, że jest to dla nich dzisiaj sytuacja jakościowo różna od tej, w jakiej startowali tutaj — że wiele się w tym czasie zmieniło. Po pierwsze, skończył się dla nich okres bezpośrednich pomocy i ułatwień i właściwie po trzech latach powinni być już ludźmi w pełni związanymi z nowymi warunkami i do nich zaadoptowanymi. Po drugie — mieli czas na przemyślenia i refleksje, na to, aby rzeczywistość oceniać nie z punktu widzenia cieplarnianych warunków ulpanu.

Ten obraz w relacji dziennikarskiej wydaje się rysować wyjątkowo czarnymi barwami. Pragnę więc podkreślić, że celowo przedstawiłam sprawy jednostronnie i nie zajmowałam się aptekarskim wyważaniem plusów i minusów. Zresztą plusami chętnie zajmują się inni, z tego obowiązku więc niejako się zwolniłam uważając, że analiza krytyczna lepiej służyć będzie samej sprawie. Jest znanym i bezspornym faktem, że w żadnym innym kraju nowoprzybyły nie spotka się w pierwszym okresie z taką pomocą i takim stosunkiem do siebie jak to się dzieje w Izraelu. Tylko tutaj czekały na niego nowe domy i tanie mieszkania, opieka lekarska, zapomogi i pożyczki, bezpłatne szkolnictwo czy ulpany z internatami. Nawet jeżeli za ten ulpan musi płacić lub jeżeli obciążą go kosztami przyjazdu i przewozu bagażu — terminy są odległe a raty niskie. Nowi przybysze kosztowali Izrael wiele pieniędzy i wysiłku. Jest to też jedyny kraj który przyjmuje wszystkich — także ludzi starych i chorych, dla których zapewnić trzeba podstawowe renty i prawie bezpłatną opiekę lekarską i którzy praktycznie biorąc jedynie „kosztują”.

Nie ulega też wątpliwości, że wielu nowoprzybyłych znalazło tu swoje środowisko, dobrych przyjaciół, krewnych, pomocnych urzędników, serdecznych kolegów. Sprzyja temu swoboda i familiarność w stosunkach towarzyskich, zawodowych, w wojsku i w pracy. Gorąca temperatura ideologiczna fascynuje i daje niedawnym rozbitkom życiowym jakieś oparcie i busołą. Historie pionierów, zagospodarowania pustynnych nieużytków, nowe miasta stworzone z niczego — to wszystko naprawdę zapiera dech

w piersiach. Młodzież tutejsza jest bardzo piękna a Izrael należy do nielicznych już krajów w których takie słowa jak „patriotyzm” lub „bohaterstwo” nikogo nie rozśmieszają. Cynizm panujący w stosunkach międzyludzkich w krajach komunistycznych znajduje tu pewną przeciwwagę i wielu jest ludzi na Zachodzie i na Wschodzie zafascynowanych tym jedynym w swoim rodzaju państwem.

Płynie z tego zasadniczy wniosek — oto kraj odpowiedni jedynie i tylko dla tych, którzy chcą i potrafią całkowicie związać z nim swoje losy, zanurzyć się w rzeczywistości izraelskiej, przyjmując ją z jej dobrymi i złymi stronami. Jest to przede wszystkim kraj dla tych, którzy czują się faktycznie związani z żydostwem, związani dogłębnie i prawdziwie — wówczas bowiem nie straszne są ani nietolerancja, ani przymus religijny ani naciski patriotycznej propagandy, ani szowinizm i przekonanie o specjalnej roli wybranego narodu. To, co dla człowieka obcego jest raziące — dla tego, kto czuje się związany z żydostwem jest oczywiste i do przyjęcia, a radość płynąca z posiadania niepodległego państwa przesłania wówczas niewygody myślowe i ideologiczne.

Pytanie więc, na ile „olim” z Polski potrafili wejść w tę specyficzną atmosferę izraelską i na ile potrafią się z nią związać. Otóż obawiam się, że dla wielu spośród nich — właśnie spośród nich — odpowiedź na to pytanie będzie negatywna i że spora ich część uznaje dziś, że wybór Izraela jako stacji docelowej był jednak pomyłką.

Alina GRABOWSKA

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 202 - SERIA « DOKUMENTY »

POZNAŃ 1956
GRUDZIEŃ 1970

m.in.

Tom zawiera następujące opracowania:

KRONIKA WYDARZEŃ: GRUDZIEŃ 1970 - LUTY 1971 —
BIUROKRATYCZNYCH RZĄDÓW CIĄG DALSZY — SYLWETKI
NOWEJ EKIPY — POZYCJA KOŚCIOŁA — POZNAŃ 1956.

Str. 228.

Cena F. 18,50 (dol. 4,00; £ 1.60)

Polemiki

Uwagi i uzupełnienia

(DO ARTYKUŁU „TEZY O NADZIEI I BEZNADZIEJNOŚCI”)

Artykuł Kołakowskiego składa się z siedmiu tez opisowych, czterech argumentów przeciwko pewnej hipotezie i jednego postulatu. Jeśli idzie o podstawową treść tych tez i wezwania, to nie stanowi ona rewelacji z jakiegoś teoretycznego punktu widzenia. Dla pewnych środowisk w kraju są to rzeczy oczywiste, niejako banalne. Nie pomniejsza to jednak pożytku płynącego stąd, że Kołakowski wykorzystał możliwość przedstawienia tych spraw w druku, w spójnej postaci, skoro w Kraju znajdują one mogą wyraz jedynie w prywatnych rozmowach i dyskusjach. Z swej strony, i ja pragnę wykorzystać możliwość sformułowania w druku pewnych refleksji na tematy przez Kołakowskiego poruszane.

Na wstępie, parę słów co do sposobu, w jaki odczytuję jego wypowiedź. Sposób ten zaznaczył się już właściwie w poprzednim ustępie, gdzie piszę o opisowych tezach Kołakowskiego, chociaż Autor poprzedza je zapowiedzią, że „streści krótko argumenty jakie się zwykło przytaczać na rzecz twierdzenia o niereformowalności komunistycznego systemu społecznego w jego obecnej postaci”. Zakładam, że Kołakowski uznaje słuszność owych „argumentów” samych w sobie, tj. jako elementów *opisu* sytuacji. Zrazem jednak zmierza do wykazania ich zupełnej nieskuteczności argumentacyjnej, dowodowej, tj. jako przesłanek, które by miały umotywować hipotezę o całkowitej nieelastyczności ustroju i, przeto, przemawiać za kapitulancą postawą „wszystko lub nic”.

Zacznę przeto od uwag dotyczących pewnych spośród owych opisowych tez autora.

Za największy mankament nakreślonego przezeń obrazu społeczeństwa socjalistycznego, w szczególności polskiego, uważam to, że Kołakowski pomija sprawy wsi, chłopów. Pisze on o takich, oczywiście doniosłych sprawach, które mają podstawowe znaczenie dla klasy robotniczej i inteligencji. Pomińcie wsi stawi jednak zasadniczą lukę w tych rozważaniach. Niesposób jej

wypełnić w tych marginesowych uwagach. Z podobnych przyczyn, może by więc też i Kołakowskiemu nie należało czynić zarzutu „niewyczerpania tematu”. Nie o zarzut jednak mi idzie, lecz o znaczenie tego, że bez jasnego obrazu sytuacji i roli chłopów w społeczeństwie socjalistycznym wszelkie opisy są niepełne, a wszelkie tworzone na ich podstawie programy kalekie. Powrócę na krótko do tej sprawy w dalszym toku niniejszych uwag.

Skoro jestem przy sprawach „socjologicznych”, chciałbym też wspomnieć, że Kołakowski niezupełnie właściwie przedstawia rolę ekspertów w opisywanym ustroju. W drugiej spośród swych tez stwierdza, że „naturalną tendencją systemu jest nieustanna redukcja roli ekspertów” (por. str. 5). W istocie jednak, wbrew temu co owa teza głosi, jak również wbrew poglądom niektórych osób mówiących o „nowych” elementach technokratyzacji ustroju, władza komunistyczna *zwykła* korzystać z usług ekspertów w rozmaitych dziedzinach — oczywiście, w takich dziedzinach i w takim zakresie, w jakim uważała to za niezbędne czy korzystne dla siebie. Tym natomiast, o czym należy tu wspomnieć, jest sytuacja eksperta, któremu zleca się opracowywanie metod do osiągnięcia celów, wzbraniając mu formułowania sądów dotyczących słuszności, racjonalności, spójności czy wykonalności samych celów; który nie ma możliwości odwołania się do opinii publicznej i który za wytrwałą obronę swych, nie odpowiadających rządzącym, fachowych poglądów jest karany. Na wszystkich „etapach” historii systemu komunistycznego, niezależnie od tego, czy aktualna oficjalna propaganda jest mniej czy bardziej technokratyzująca, ekspert działa w warunkach zasadniczo określanych przez gospodarczy i polityczny monopol warstwy rządzącej.

Z kolei parę uwag o rozważaniach Kołakowskiego na temat ideologii, oficjalnej i nieartykułowanej, jako narzędzia rządzenia w społeczeństwach socjalistycznych. Kołakowski przeoczył doniosłą sprawę, jaką w metodach opanowywania społeczeństwa odgrywa to, co można nazwać elementami „przechwytywanych” ideologii. Idzie mi o takie ideologiczne postawy, w szczególności o takie ideologiczne fobie i przesady, które są właściwe dość znacznym kręgom społeczeństwa, a zostają przez władzę włączane do jej oficjalnej lub nieoficjalnej ideologii wtedy, gdy uważa to ona za korzystne. Oczywiście, w swym dążeniu do manipulowania społeczeństwem za pomocą przechwytywanych elementów ideologii, władza usiłuje nawiązać nie tylko do przesądów i fobii. Jednak tego ostatniego czynnika bynajmniej nie należy przemilczać. Przykładami mogą być takie ideologiczne konstrukty jak wulgarny egalitaryzm, dorobkiewiczowski elitaryzm, antymłodzieżowość.

Wulgarny egalitaryzm, ideologia „równania w dół”, został doskonale scharakteryzowany przez Amalrika w jego książce „Czy Związek Sowiecki przetrwa do roku 1984?”. Wulgarny egalitaryzm usprawiedliwia i swoiście ozdabia gospodarczą nieefektywność i biedę społeczeństwa socjalistycznego, umacnia właściwy ustrojowi

konserwatyzm i stagnacyjność i nakłada nań piętno rzekomej „ludowości”. Typowych przykładów na to, jak komuniści odwołują się do tej ideologii w okresach zagrożenia swej władzy, dostarcza marzec 1968 i pierwsze dni grudnia 1970.

Dorobkiewiczowski elitaryzm odwołuje się do poczucia drobnego awansowicza i karierowicza, że jego plon żywota, lodówka, urlop w Bułgarii, perspektywa nabycia samochodu, wszystko to jest zagrożone przez buntowczyków i warchołów, przez „wsiołków”, którzy myślą, że im się też nie wiadomo co należy, przez andrusów, co to by chcieli wszystko dostać za darmo. Klasycznym w swej obrzydliwości przykładem prowokowania tego rodzaju postaw jest artykuł Załuskiego w *Życiu Warszawy* z 20-21 czerwca 1971 roku.

Obie te ideologie stanowią, oczywiście, spaczony odbicie realnej sytuacji życia w ustroju socjalistycznym, który z jednej strony jest systemem nacechowanym krzyczącą nierównością społeczną, a z drugiej strony jest systemem, gdzie zaspokojenie najpowszedniejszych w dzisiejszym społeczeństwie potrzeb jest ciężko opłacanym luksusem.

Między obiema tymi ideologiami istnieje sprzężenie dodatnie zwrotne, obie podsycają się nawzajem, a władza manipuluje nimi, dyrygując orkiestrą prasowych wrzasków, rzeczników to jednej, to znów drugiej postawy.

Jednym z charakterystycznych przejawów przechwytywanej ideologii są też nastroje antymłodzieżowe — opinie, że młodzi są przemądrzali, rozkapryśzeni, że „przyszli na gotowe” i „myślą, że im się to wszystko należy, co dostają”; że ich styl życia jest gorszący, etc. Tu znów przykładem, jak komuniści wykorzystują te nastroje, może być przemówienie Gomułki z 1 maja 1968 roku. Motywy te wystąpiły również w bardzo charakterystyczny sposób w propagandzie stosowanej w grudniu 1970 roku.

W świetle tego, o czym powyżej mowa, błędne jest dość szeroko rozpowszechnione przekonanie, jakoby władza komunistów utrzymywała się wyłącznie za pomocą policyjnego terroru. Efektywnie stosowany terror, a zwłaszcza świadomość, że może on być każdej chwili zastosowany, istotnie stanowi fundament władzy w ustroju komunistycznym, ale nie należy przeceniać roli dodatkowych, ideologicznych wsporników. Komuniści na swój sposób usiłują znaleźć wspólny język ideologiczny ze społeczeństwem i nierzadko im się to w takim czy innym zakresie udaje.

Wśród elementów nieartykułowanej ideologii w społeczeństwach komunistycznych Kołakowski wymienia nacjonalizm, wielkomocarstwowy w ZSSR i lokalny w krajach satelickich. Część jego wypowiedzi staje się w związku z tym polemiką ze stanowiskiem, któremu dał wyraz Mielnicki w artykule „W polskich oczach” (Por. *Kultura* Nr 5/272 (1970)). Również i ja nie akceptuję głównych tez artykułu Mielnickiego. Uważam jednak, że Kołakowski polemizuje z nim niecelnie. Ma on rację, gdy uważa, że nacjonalizm wszelkiej odmiany, a w szczególności nacjonalizm

antyrosyjski w Polsce nie przysługuje się sprawie niepodległości i demokracji. Nie należy jednak upraszczać sprawy. Mocarstwo sowieckie jest imperium, w którym jeden naród jest narodem panującym. Nie wiadomo na czym opiera się twierdzenie Kołakowskiego, że naród rosyjski jest „bardziej niż którykolwiek” ofiarą polityki swych wodzów. Terror komunistyczny nie omijał Rosjan, jednakże w ZSSR Rosjanie nigdy nie byli prześladowani po prostu za to, że są Rosjanami, i o tyle los tego narodu różni się od losu Żydów, Ukraińców, Litwinów, Tatarów i innych narodowości, których listę można by przedłużyć. Kołakowskiemu trzeba by było przyznać rację, jeśliby zdanie jego należało odczytać w tym duchu, że Rosjanie są bardziej oszukiwani niż inne narody imperium i że znajdują się w sytuacji, w której bardziej im zagraża samozakłamanie. Oczywiście Rosjanie „jako tacy” nie są gorsi od innych narodów, zamieszkujących sowieckie kolonie czy półkolonie, ale wyzwolenie ideologiczne od nich wymaga więcej wysiłku. Jeśli się o tym zapomina, wezwania do tradycji wiosny ludów stają się pustym frazesem, a z nieskuteczności tego rodzaju antynacjonalistycznej propagandy korzyść odnieść jedynie może nie światły Mielnicki, ale zgoła obskurancki nacjonalista, który się czai za jego plecami.

Jest również rzeczą jasną, że kryterium demokratycznego patriotyzmu bynajmniej nie może być wyłącznie nasz stosunek do Rosjan. Równie ważny jest stosunek do naszych bardziej bezpośrednich geograficznych sąsiadów jak również do wszystkich w ogóle narodowości, które „na wieki złączyła wielka Ruś”. Nie mniej ważne niż przyczynianie się do „znajomości i rozumienia prawdziwej kultury narodowej Rosji” jest przewycięzanie nienawiści do Ukraińców, pogardy wobec Czechów, niekontrolowanej fobii w stosunku do Niemców, aneksjonistycznych marzeń pod adresem Litwy, antysemityzmu itd. Wszystkie te postawy umacniają rosyjskie komunistyczne imperium. Kiedy mówimy o stosunkach pomiędzy narodami, wystrzegać się też powinniśmy nastrojów taniej idylli. W stosunkach tych boczenie się, tarcia, bywają rzeczą normalną, która może być wpisana w normalne współżycie, dalekie od tragicznych losów Europy Środkowej i Wschodniej, Kaukazu, etc.

Diagnozy Kołakowskiego cechuje jeszcze jeden brak, niejednokrotnie zresztą występujący u autorów zajmujących się sprawami wewnętrznymi imperium sowieckiego. Sprawy te są mianowicie zbyt często rozważane w oderwaniu od zagadnień polityki międzynarodowej. Tu faktem podstawowym jest to, że dla wielkich mocarstw znaczenie ma jedynie określony podział świata i tylko ze względu na swoje interesy dotyczące tego podziału okazują one skłonność — albo niesклонność — do pomocy walczącym w obronie suwerenności narodowej, demokracji, humanitaryzmu. Z tego, że oba wielkie mocarstwa socjalistyczne są obecnie mocarstwami najbardziej drapieżnymi, najbardziej łaknącymi nowych podbojów, nie wynika, że inni kwapią się z pomocą ludom włączonym do imperiów socjalistycznych. Dla mocarstw ludy te są, jak wia-

domo, po prostu przedmiotem przetargu. Różnice pomiędzy Francją, która uprawia tę grę bezwstydnie, a Stanami Zjednoczonymi czy Wielką Brytanią, dbającymi o pewne formy, są, ostatecznie, sprawą drugorzędną.

Wszelkie złudzenia pod tym względem przynieść mogą jedynie szkodę.



Oprócz tez opisowych artykuł Kołakowskiego zawiera hipotezę dotyczącą plastyczności ustroju socjalistycznego. Hipoteza ta dotyczy dyspozycji, a więc wykracza poza wszelki opis. Należy ją ująć jako hipotezę warunkową, która głosi, że *im więcej ludzi będzie się zachowywało tak, jak się zachowują ci co myślą, że ustroj ten odznacza się pewną plastycznością, — że nie jest nieoporny na presję społeczeństwa — tym bardziej plastyczny, reformowalny okaże się ten ustroj*. Prawdopodobieństwo słuszności tej hipotezy wydaje mi się istotnie wysokie.

Jednakże pewne wywody Kołakowskiego na jej rzecz budzą zastrzeżenia, a w innych chciałoby się inaczej rozłożyć akcenty. Zaczę od tego drugiego przypadku. Pisząc na podjęty przez Kołakowskiego temat, zapobiegać należy złudzeniom co do tego, jaki jest udział oporu społeczeństwa w dotychczasowej postalinowskiej ewolucji socjalizmu. Kołakowski trafnie zresztą stwierdza, że destalinizacja zapoczątkowana została przez warstwę rządzącą, i to w interesie własnym. Warstwa ta, mówiąc obrazowo, pragnęła zdjąć z własnego karku jarzmo stalinowskiego totalnego terroru. Tego też udało się jej dokonać. Ubocznym skutkiem tej operacji jest fakt, że jarzmo, w którym tkwi reszta społeczeństwa, zostało nieco obluźwane i nawet wyścielone od wewnątrz cienką warstwą ochronną. Otóż tego rodzaju rodowód destalinizacji przyczynić się może do powstania problemu, czy partia komunistyczna i jej aparat oraz władze centralne okazać się mogą również i w przyszłości zasadniczym narzędziem uplastyczniania ustroju. Gdyby uznać tę myśl za słuszną, to przed tymi, co dążą do owego uplastyczniania, otwierałyby się dwie drogi działania: albo gremialnie należałoby się zapisywać wallenrodycywnie do partii komunistycznej, albo pisywać supliki i memoriały, które by miały uprzytomnić warstwie rządzącej, iż we własnym interesie powinna się stać liberalna, niemonopolistyczna, rozsądna itd. Droga pierwsza, na szczęście, nie stoi otworem, choć nie brak ludzi, którzy udają, że wstąpili do partii jako do zakonu Wallenrodów.

Pisanie suplik i memoriałów, na modłę Sacharowa czy Bieńkowskiego, jak dotychczas żadnych pozytywnych rezultatów nie przyniosło. Nie ma powodu dezaprobować zasadniczo i bezwzględnie postępowania osób sięgających do takiej metody działania, dostępnej zresztą tylko nielicznym. Pamiętać jednak należy o jej mankamentach. Przyczynia się ona bowiem do łudzenia społeczeństwa mitem dobrej woli komunistów i do przybierania przez

nie pozy suplikanta. Umacnianie się zaś takich nawyków stanowi istotny warunek monopolu władzy komunistów.

W jednym miejscu swego artykułu Kołakowski przedstawia analogię pomiędzy przekonaniem o nieplastyczności ustroju socjalistycznego a mylnym, jak wykazała historia, przekonaniem o nieplastyczności XIX-wiecznego kapitalizmu. „Wszystkie — jak pisze — naturalne tendencje tej (tj. kapitalistycznej) gospodarki, produkcyjne i socjalne, które Marks rozważał, nie były bynajmniej jego dowolnym wymysłem, lecz opierały się na dokładnej obserwacji społeczeństwa” (str. 10) — a zdawały się popierać tezę o tej nieplastyczności. Mniemam jednak, że Marks „obserwował” społeczeństwo pod kątem poszukiwania argumentów mających poprzeć jego filozoficzną wizję historii oraz ówczesnej społecznej terażniejszości, i pod kątem podbudowywania jego skrajnie utopijnej wizji przyszłości. Marksowska wizja kapitalizmu oraz „tendencji rozwojowych” społeczeństwa jest konstruktem ideologicznym. Cała ta sprawa byłaby mało istotna w kontekście problematyki „Tez” Kołakowskiego, gdyby się w związku z tym nie nasuwało pytanie: ile jeszcze pozostałości dawnego, naiwnego „rewizjonizmu” zachowało się w poglądach i nawykach myślowych tych intelektualistów, którzy w zasadzie dojrzałością swoją wykroczyli poza jego ograniczoność?

To, czy Kołakowski ma mniej czy więcej racji w poszczególnych punktach swej argumentacji na rzecz wspomnianej powyżej hipotezy warunkowej, jest jednak, ostatecznie, znacznie mniej istotne niż pytanie, czy jest ona słuszną, i to w tym sensie, żeby z niej można było wyprowadzić jakieś wnioski praktyczne. Tym, co doniosłe, jest więc problem: czy w ustroju socjalistycznym ludzie *mogą* się zachowywać tak, by ich zachowanie przyczyniało się do jego poprawienia? Wydaje się, że zachowywać się tak mogą, choć wymaga to wysiłku, poświęcenia, a niekiedy po prostu bohaterstwa. *Wszelkie bowiem tego typu zachowanie siłą rzeczy zwraca się przeciwko interesom warstwy partyjnych monopolistów i przeciwko interesom imperium sowieckiego*.

Poza usiłowaniami takiego działania, cóż jednak pozostaje, jeżeli nie hasło „wszystko lub nic”, którego szkodliwość jest oczywista, jako że praktycznym wyrazem jego akceptacji może obecnie być tylko wyłączenie się z wszelkiej, nawet najskromniejszymi środkami uprawianej opozycji? Postawa znajdująca wyraz w tej maksymie jest wyrazem rozpacz i poczucia beznadziejności, które stanowią trwałe fundament komunistycznego systemu władzy. Nie wszyscy ulegający tym nastrojom zasługują na moralną kondemnatę, należy jednak usiłować ich przekonać, że nie jest rzeczą najgodniejszą ani pogrążanie się w skrajnym pesymizmie ani kołtysanie się w swej bierności marzeniami, że któregoś dnia diabli wezmą całe znieawidzone „wszystko” na raz.

O ile jednak sprzeciw Kołakowskiego wobec hasła „wszystko albo nic” jest zrozumiały, o tyle kreślony przez niego program postawy czynniejszej jest nazbyt ogólnikowy. Kołakowski kreśli go jak gdyby wyłącznie z myślą o inteligencji czy intelektualis-

tach. Albo, inaczej rzecz ujmując, z myślą o ludziach, którzy mają, w mniejszej lub większej mierze, stosunki z władzą na co dzień.

Tymczasem nie taka jest na ogół sytuacja znakomitej większości ludzi w ustroju socjalistycznym. Dla milionów tych ludzi władza, to najzupełniej zdepersonalizowani, niewidzialni „oni”, natomiast dokuczliwe cechy życia w ustroju komunistycznym są namacalną rzeczywistością dnia powszedniego. Robotnicy mają do czynienia z przestojami, nierytmicznością produkcji i odbijaniem się na ich sytuacji materialnej tych rzeczy na które bynajmniej nie mają wpływu. Urzędnicy mają do czynienia z jałowością swjej papierkowej roboty i swą deprymującą podległością wobec zwierzchności. Chłopi — z brakiem części zamiennych do maszyn, z kłopotami w nabywaniu nawozów sztucznych czy węgla. Wszyscy mają do czynienia z powszednią męczarnią zakupów. Czy nie to jest podłoże, z którego wyrasta, w którym dochodzi do skutku protest?

Skoro się ujmie sprawę z tego punktu widzenia, to warstwą, która najczęściej i najwytrwalej protestuje, nie jest w ustroju socjalistycznym, w Polsce przynajmniej, inteligencja czy robotnicy. Są to chłopi. Oni przy każdej nadarzającej się okazji mówią o trudnościach z nabyciem nawozów, siewników, chleba, pieluch. Na wsi każde zebranie, jakikolwiek by był jego oficjalny temat, kończy się na omawianiu braku gwoździ, traktorów itd. Chłop jest w Polsce jedynym nabywcą, który permanentnie protestuje przeciwko absurdalnej sytuacji klienta w ustroju socjalistycznym. Jest też jedynym, który czynnie protestuje przeciwko jawnemu gwałceniu Konstytucji PRL, gwarantującej swobodę uprawiania praktyk religijnych. Protesty chłopskie są tak nieefektywne, że intelektualisi ich w ogóle nie zauważają. Tymczasem doniosłość tego protestu polega na jego permanencji. Gdyby robotnicy i inteligenci przejęli tę metodę, gdyby na każdym zebraniu, na którym jakikolwiek przedstawiciel władzy oświecał ich na tematy Wietnamu, Chin i innych spraw egzotycznych i wzniosłych uparcie nawracali do powszedniej bolączki X, Y, Z, to władza stałaby w obliczu masowego i permanentnego ruchu oporu.

Piszę o tych sprawach nie po to, by pomniejszać rolę społeczną i godność inteligenckich adresatów wypowiedzi Kołakowskiego. Ma on, w szczególności, najzupełniejszą rację, gdy pisze o roli nauczycielstwa w budzeniu sumienia narodowego. Ma też rację, gdy podkreśla znaczenie zachowywania elementarnej ludzkiej godności, czego, jak wiadomo, intelektualiści — poza nielicznymi wyjątkami — nie czynią. W ustroju socjalistycznym obrona godności, lojalności wobec przyjaciół, własnego zdania, słowem, odwaga cywilna i postępowanie w myśl nakazów zawodowej oraz zwykłej ludzkiej moralności nabiera charakteru walki politycznej. Warstwa rządząca jest po części świadomie, po części zaś spontanicznie i nieświadomie rozsądnikiem cynizmu moralnego. Bez utrwalania się tego moralnego nihilizmu, tej moralnej sowiezacji społeczeństwa, jej władza nie może być ustalona. W warunkach, gdy profesorowie Uniwersytetu Warszawskiego święcą

hucznie jubileusz Henryka Jabłońskiego, człowieka, który *de jure* i *de facto* ponosi odpowiedzialność za niszczenie polskiej nauki; w warunkach, gdy Mieczysław Moczar, osobnik *de jure* i *de facto* odpowiedzialny za politykę terroru i prowokacji zostaje solennie zaproszony do wygłoszenia odczytu w Uniwersytecie Wrocławskim, obrona elementarnej godności i uczciwości oznacza opór polityczny.

Co prawda, do walki o czysto moralne wartości nie daje się zmobilizować znaczniejszej liczby ludzi, nawet — a może zwłaszcza — jeśli są oni intelektualistami.

Artykuł Kołakowskiego nie zawiera żadnej koncepcji organizacji oporu. Kołakowski słusznie, zapewne, może uchylić tego rodzaju zarzut stwierdzeniem, że formułowanie tego rodzaju programów nie leży w naturze jego własnej twórczości intelektualnej. Gorzej by było, gdyby intelektualiści na emigracji hołdowali przekonaniom, że nie jest to w ogóle zadaniem emigracji, czy to dlatego że emigracja skupić się powinna na opracowywaniu koncepcji ogólnych, czy to dlatego jakoby słuszne były zwodnicze skrupuły, głoszące iż nie powinien się zabierać do układania programów nikt, kto bezpośrednio nie nastawia karku za ich wykonanie. Otóż po pierwsze, koncepcji natury ogólnej mamy w Kraju dość; to zaś, czego głównie brak, to nie ideologii oporu, ale myśli dotyczącej jego konkretnej techniki. Warunki wolności słowa, możliwość publikowania, powinny być wykorzystywane i w tym zakresie. Co do zaś wspomnianych fałszywych skrupułów moralnych, chciałbym tu przemówić w imieniu tych wielu ludzi w Kraju, których nie to bynajmniej razi, że emigracja się nad czymś wspólnie z nami zastanawia, ale to, że nie czyni tego w dostatecznym stopniu. Niewłączanie się do dyskusji na tematy naszej sytuacji jest niemoralne — niemoralne jest milczenie, niemoralne jest przesiadywanie na uboczu z paszportem polskim zalany łzami tęsknoty do ojczyzny, do której ani się nie wraca, ani się jej niczym nie pomaga. Niemoralny jest emigracyjny żywot na jałowym biegu.

Zbigniew ZDOLEŃSKI

O nadziejach Leszka Kołakowskiego

Sądzę, że dla celów niniejszej dyskusji pożyteczne będzie skonfrontowanie poglądów Leszka Kołakowskiego z poglądami Andrzeja Almarika przedstawionymi w jego książce pt.: „Czy Związek Sowiecki przetrwa do roku 1984”, oraz w liście otwartym,

skierowanym do przebywającego na Zachodzie b. pisarza sowieckiego, Anatoli Kuzniecowa¹.

Choć stanowiska obydwu pisarzy różnią się w ocenie ostatecznych losów państw komunistycznych, łączy ich ważniejszy od dzielących ich różnic postulat aktywnej opozycji wobec reżymu. Wsparty jest on zarówno racjami moralnymi jak i polityczno-historycznymi. Postawa moralna obydwu myślicieli rzutuje na ocenę możliwości zachowań ludzkich w komunizmie. Almarik i Kołakowski, stawiając wysokie wymagania samym sobie, oczekują podobnego zachowania u Rosjan i Polaków. Właśnie w oparciu o te normy postępowania ugruntowana jest częściowo ich ocena przyszłości. Nie jest to jednak moralistyka typu misjonarskiego. Autorzy nie obiecują rajy po śmierci. Ukazują pewne racje najzupełniej doczesne, choć nie w sferze wartości materialnych.

Almarik w liście do Kuzniecowa formułuje postulat „wolności wewnętrznej”, którą każdy człowiek jest w stanie zachować w obecnej postalinowskiej fazie ustroju sowieckiego, a o którą winny rozbić się wszelkie próby wszelkiego działania komunizmu, pozbawiającego człowieka stopniowo elementarnych zasad uczciwości. Leszek Kołakowski ujmuje sprawę podobnie: „Myśl, że obecna forma socjalizmu jest bezwzględnie sztywna... łatwo nadaje się na usprawiedliwienie oportunistów i zgoła świństwa”.

Jeśli się porówna poglądy obydwu autorów, w szczególności stanowisko Kołakowskiego z niewesołą rzeczywistością, w której żyją mieszkańcy państw komunistycznych, otworzy się wówczas szerokie pole do sceptycyzmu. Gdy się jednak rozważy wszelkie możliwości i perspektywy *nie tylko obalenia komunizmu, ale ratowania ludzi żyjących w komunizmie przed postępującą zwolna ale stale destrukcją moralną społeczeństwa, to wówczas okaże się, że zalecenia Kołakowskiego, bez względu na to jak trudne są do urzeczywistnienia, brzmią w istocie bardzo trzeźwo.*

Pytanie, które nasuwa się natychmiast po lekturze artykułu Kołakowskiego — to kwestia jak autor wyobraża sobie skierowany przeciw Partii „reformizm” — a więc opór ludności w systemie, który dzięki totalitarnej kontroli wyeliminował skutecznie wszelką zorganizowaną działalność opozycyjną, a którym władze można zmusić do ustępstw tylko w formie gwałtownych zrywów, typu wystąpień w Poznaniu lub na Wybrzeżu².

Ilu w Polsce i w Rosji — zapyta sceptyk — znaleźć można ludzi typu Almarika, Litwinowa, Grigorienki, Jakira, Sołżenicyna, Grzędzińskiego, Kuronia i Modzelewskiego którzy, nie bacząc

1. List do Kuzniecowa opublikowany został łącznie z wymienionym esejem Almarika w tomie 190 Biblioteki „Kultury”.

2. Albo w drodze „rewolucji na szczytach” przy aktywnym poparciu i współudziale społeczeństwa, których epilogi jak wskazały kolejne doświadczenia węgierskie, polskie i czechosłowackie były niepomysłne. Jak dotychczas, najlepsze, bo najtrwalsze wyniki dała „rewolucja na szczytach” typu Chruszczowa, zainicjowana wyłącznie z góry przy aprobującej, choć biernej postawie społeczeństwa sowieckiego.

na represje, gotowi są ponieść ryzyko wszelkich możliwych prześladowań?

Wydaje się, że opozycyjny ruch ludności, o ile wywalczyć ma na władzach partyjnych ustępstwa, nie może być ruchem desperatów, bo desperaci, bez względu na sympatie czy nawet uwielbienie, którym ich się darzy, bywają zwykłe w swym heroizmie izolowani. Alternatywa, którą stawia Leszek Kołakowski, nie jest jasno sformułowana przez autora. Przypuszcza on, że „reformizm”, o którym mowa, nie może być akcją zalegalizowaną. Nie wynika jednak z tego, żeby miał na myśli akcję spiskową czyli beznadziejną, jak dotychczas, próby tworzenia w państwie komunistycznym podziemia. Zdawać by się więc mogło, że alternatywą pomiędzy wystąpieniami typu Almarika a skazaną na niepowodzenie akcją spiskową musi być milczenie — czyli forma biernego oporu, do której trudno byłoby nakłonić Polaków. W istocie jednak nie to ma na myśli autor skoro w końcowej części artykułu stwierdza: „...ci, co licze swoje przywileje okupują tylko milczeniem w obliczu świństwa, na które mogą zareagować, będą musieli za te same przywileje płacić rychło aktywnym udziałem w świństwie”.

A więc nie chodzi o milczenie. Ani aprobujące ani dezaprobuujące. Można by więc zarzucić Kołakowskiemu, że zalecany przez niego opór ludności wobec systemu scharakteryzowany jest przede wszystkim tym czego nie należy czynić, a nie przez to, co i jak należy czynić. Jedynym pozytywnym elementem wskazanym przez autora jest postulat wiary, który ilustruje poniższa cytata: „...ci, którzy w krajach socjalistycznego despotyzmu mogą być inicjatorami nadziei, są zarazem inicjatorami ruchu, który tę nadzieję czyni realną jako, że w wiedzy społeczeństwa o sobie samym podmiot i przedmiot są częściowo zbieżne”.

Ze wiara w powodzenie jakiegokolwiek podjętej sprawy jest warunkiem koniecznym sukcesu — nie budzi wątpliwości. Ze nie jest natomiast warunkiem dostatecznym — jest również jasne. Krytycy mieliby więc prawo wytknąć Leszkowi Kołakowskiemu, że nie wskazuje jasno w jaki to sposób ową wiarę należy „przekuć w czyn”. Mieliby, gdyby dotychczas powstał jakiś realny, rokujący nadzieję powodzenia, plan walki z komunizmem. Takiego planu jednak nie ma. Są tylko oskarżenia i oczekiwania na wojnę chińsko-sowiecką lub na to, że system pod naporem własnych sprzeczności i walk na szczytach rozleci się sam. Zresztą nie chodzi o to, aby od Kołakowskiego, który nie poczytuje się za polityka, oczekiwać opracowanej strategii walki z sowietyzmem typu leninowskiego dzieła: „Co robić?”. Kołakowski przemawia jako filozof i historyk, ale to co zaleca, jakkolwiek zasmucać może ograniczonością nadziei, jeśli chodzi o zaktywizowanie oporu ludności, w świetle niezbyt wesołych realiów jest nadzieją jedyną. Chciałbym tę nadzieję uzupełnić dodatkowymi racjami.

Stawką, o którą warto walczyć w komunizmie, jest nie tylko zmiana systemu, ale ratunek samego siebie przed zwolną, ale nieuchronnie działającym procesem, który w gwarze krajowej nazy-

wa się „zeszmaceniem”. O tym, jak niegdyś przyzwoici ludzie ulegają świństwu w drodze erozji ich zasad moralnych, nie warto pisać. Temat jest dobrze znany. Chciałbym jedynie wyjaśnić trzy sprawy. Po pierwsze walka o zachowanie uczciwości osobistej jest nie tylko instrumentem oporu przeciw rządowi biurokracji komunistycznej. Jest ratunkiem samego siebie. Ludzie na ogół nie są cynikami, którzy na zimno wybierają drogę fałdactwa. W 90 wypadkach na 100 czynią to bezwiednie, oszukują samych siebie, przy czym im dalej brną, tym bardziej starają się siebie usprawiedliwić. Uświadomienie ich w jakie groźne błoto wciąga ich komunizm, nawet bez względu na polityczne skutki ich postępowania, jest sprawą ważną. Całkiem wyraźnie trzeba im powiedzieć, że nie chodzi tylko o racje patriotyczne, ale o nich samych. Druga kwestia, to pokutujące od dawna złudzenie, że w kręgu moralnego zagrożenia są tylko pewne — przeważnie inteligentkie lub urzędnicze — grupy ludności. Prawdą jest tylko, że są one bardziej zagrożone niż inne. Niemniej rozkładającej erozji komunizmu, z małymi wyjątkami, poddana jest prawie cała ludność, nie wyłączając chłopów, którzy tradycyjnie, choć z powodów nieco dla mnie zagadkowych, uważani są za „zdrowy rdzeń narodu”. W rezultacie w Polsce przytłaczająca większość ludzi zmuszona jest do drobnych, zmiękczejących w trybie robaczkowym ich sumienie, kompromisów. Należy do niej, poza inteligencją, robotnikami również i kler. Skądinąd jest to zrozumiałe. Żyjąc w totalitarnym systemie, który kontroluje i przenika każdą dziedzinę życia, nie można się od niego ani odgrodzić żelaznym murem, ani odwrócić plecami. Na luksus *integralnej negacji* państwa mogą pozwolić sobie tylko ludzie typu bohatera powieści „Pierwszy krąg” Sołżenicyna, który powiedział swemu oprawcy: „Nic mi nie możesz zrobić. Nie boję się ciebie bo zabrałeś mi wszystko”. Przeciętnemu Polakowi czy Rosjaninowi jest oczywiście znacznie trudniej zająć taką postawę. Ma zbyt wiele do stracenia. Chcąc zapewnić byt swojej rodzinie i przyszłość swoim dzieciom, opłacić to musi ofiarami na rzecz wszechrządzającego kłamstwa. Jaki „byt” i jaką „przyszłość”? — zapyta sceptyk. W tym miejscu należy usunąć zastarzałe nieporozumienie tkwiące w umysłach Polaków na emigracji, spośród których spora liczba ludzi widzi Polskę wciąż jeszcze w schemacie wyraźnego podziału na dwie grupy: mających władzę i wysoko uprzywilejowanych oraz pozostałych — cierpiących niedostatek i hodujących w sobie milczącą nienawiść do reżymu. Tego typu schemat jest zbyt prosty, aby był prawdziwy. Problem nie polega na wydzieleniu skorumpowanej mniejszości, mającej własne lub służbowe samochody, wielopokojowe mieszkania, wille lub co najmniej domki jednorodzinne. Sprawa nie przebiega w płaszczyźnie wielkich przywilejów, za które obdarowany płacić musi — że użyję tu słów Kołakowskiego — „wielkimi świństwami”. Rzecz jest skromniejszego kalibru, ale za to powszechniejsza i dlatego właśnie groźna. Za prawo do nader skromnego życia poddany komunistyczny płacić musi co najmniej milczeniem, afirmowaniem często zniechędzo-

nego przez siebie systemu, podnoszeniem rąk na zebraniach, podpisywaniem apelów, a w cięższych sytuacjach biernością wobec nagonki w stosunku do ludzi, których reżym, zgodnie ze swą koniunkturalną racją polityczną, uzna za kozły ofiarne. „Dwójmyślenie” staje się w tych warunkach chlebem do tego stopnia codziennym, że prawie niedostrzegalnym. Ta bezustanna symbioza z kłamstwem powinna wywołać u człowieka pogardę do samego siebie. Niestety nie wywołuje, ponieważ nikt nie może sobą permanentnie gardzić. Szukając racji, a raczej ekspiacji własnego postępowania, stopniowo i bezwiednie rewiduje się zasady etyczne, które rządziły cywilizowanymi narodami na długo przed początkiem naszej ery.

Byłoby nonsensem przyjąć, że rozpad moralny społeczeństwa, żyjącego w komunizmie, zaszedł tak daleko, że nie ma powrotu. Przeciwnie. Powtarzające się rebelie, bez względu na to w jakiej formie i w jakim zakresie się manifestują, dowodzą czegoś przeciwnego. Nie oznacza to jednak bynajmniej tego, że czas pracuje dla rebeliantów; że mogą oni czekać na sytuację bardziej im sprzyjającą, jeśli oczywiście nie liczą wyłącznie na wybuch wojny sowiecko-chińskiej, bądź też na inną katastrofę międzynarodową, na czym, moim zdaniem, żadnych rachub opierać nie należy.

Trzecie nieporozumienie, które należy, według mnie, wyjaśnić, polega na złudzeniu, że niewydolność gospodarcza reżymu będzie rosła, w związku z czym jego możliwości zmuszenia poddanych do posłuchu, będą malały, ponieważ będzie miał coraz mniej do zaoferowania. *Nie będzie takiej sytuacji dlatego, że choć produktywność reżymów komunistycznych będzie malała w porównaniu z rozwojem materialnym krajów zachodnich, w liczbach absolutnych — nie będzie maleć, ale wzrastać.* Jest i będzie to postęp bardzo powolny, z zahamowaniami, ale wyczuwalny. Nie poddając się mitologii zafałszowanej statystyki, wystarczy zorientować się, że chociaż Niemcy Zachodni, Francuzi czy Anglicy żyją o wiele lepiej niż 15 lat temu, Polacy, Rosjanie i Węgrzy żyją przynajmniej nieco lepiej. Lepiej się ubierają i lepiej mieszkają. Znaczenia tego faktu nie należy lekceważyć. Oznacza on, że przy ewentualnej próbie oporu Polak i Rosjanin mają w *przeliczeniu na wartości materialne* więcej do stracenia niż dawniej. Nie jest też prawdą, że wystarczającym motywem buntu może być porównanie własnej stopy życiowej z cudzą — człowieka, żyjącego w innych warunkach społecznych. Motywem buntu może być natomiast porównanie własnej nędzy z cudzym dobrobytem, a nawet znośnymi warunkami bytowania. Choć słowo „nędza” jest określeniem rozciągliwym i mającym odmienne znaczenie w rozmaitych szerokościach geograficznych, nie zaryzykowałbym twierdzenia, że znaczna liczba Polaków żyje w nędzy. Prawdą jest tylko, że żyje w niedostatku, borykając się od 26 lat z dokuczliwymi brakami.

Komunizm i nie tylko komunizm może hamować postęp materialny kraju, ale nie jest w stanie zahamować go całkowicie.

Postęp cywilizacyjny w ZSSR i państwach Europy Wschodniej przedziera się przez wszystkie przeszkody, które stawia na jego drodze biurokracja i niewątpliwie oddziaływa tak, jak oddziaływał w ciągu minionych lat na położenie materialne Rosjan, Polaków oraz innych narodów wschodniej strefy. Nie twierdzą, że możliwa jest tyrania, zapewniająca dobrobyt, ale twierdzą, że tyrania komunistyczna czyni możliwym powolny wzrost stopy życiowej, przy jednocześnie rosnącym zacofaniu w stosunku do krajów demokracji kapitalistycznych. Dlatego hasło „Nie ma chleba bez wolności” należy rozumieć: „Nie ma swobodnego rozwoju sił wytwórczych i postępu materialnego bez wolności”. Polacy mają „chleb”, choć tego „chleba” jest wciąż mało. Stopniowo będą mieli więcej „chleba”, ale wolności, jeśli sami się o nią nie upomną, będą mieli nie coraz więcej, a coraz mniej. Jeżeli położenie materialne ludności poprawi się w ciągu następnych kilku lat, to wcale nie będzie znaczyć, że w Polsce będzie lepiej. Z drugiej strony Państwo przy użyciu metody napełniania żołądków chlebem i kiełbasą, a głów — wstępniakami z *Trybuny Ludu* może liczyć na rozładowanie napięcia tylko w bardzo krótkiej perspektywie czasu. Prawda, że człowiek któremu się nieco lepiej powodzi, ryzykuje więcej, zadzierając z Partią. Ale świadomość tego ryzyka występuje jedynie wówczas gdy potencjalny oponent czuje się uprzywilejowany w stosunku do reszty, nie zaś wtedy gdy umiarkowany wzrost stopy życiowej staje się powszechny. W tych warunkach zjawiskiem normalnym jest fakt, że człowiek, który zaspokoili pierwsze potrzeby, zaczyna coraz natarczywiej domagać się zaspokojenia dalszych. Będzie więc żądał książki, której Partia zabrania drukować, filmu, którego na ekran nie wpuszcza cenzura, gazet i tygodników, których w Polsce nie wolno wydawać. Potrzeba szerokiej informacji jest coraz powszechniejsza na świecie i Polakowi w warunkach poprawy materialnej żadną miarą nie będzie wystarczać partyjna informacja i partyjny komentarz. Różnica i to zasadnicza pomiędzy informacją partyjną a towarem, które Państwo puszcza na rynek jest taka, że Polak z braku dobrego obuwia i wędliny kupi kiepskie buty i kieszkę kaszaną, bo musi żyć. Natomiast nie „kupi” kłamliwego komentarza *Życia Warszawy*, choć kupi bez cudzośćlowu — gazetę, ponieważ w *Życiu Warszawy* poza wiadomościami politycznymi i wstępniakami red. Wojny są wiadomości sportowe, kronika wypadków i najzupełniej prawdziwe nekrologi. Książki, filmy, gazety oraz niezafałszowana informacja są właśnie tym, czego Partia nie będzie w stanie dostarczyć bo stworzenie warunków, w których to wszystko mogłoby powstać, byłoby ukłębieniem na siebie sznura. W ten sposób polepszające się warunki materialne stać się mogą źródłem nowej sprzeczności rozsadzającej system.

Mogą, ale nie muszą. Ponieważ może się zdarzyć inaczej. Być może, że Partii na skutek długotrwałego procesu niedożywiania i powtarzających się okresów politycznego terroru uda się stworzyć nieco odmienny gatunek ludzi, nie łaknący niczego prócz skromnej porcji żywności, odzieży oraz 2-pokojowego mieszkania

z kuchnią. Myślę, że takiej możliwości wcale nie można wykluczyć.

Ta próba dehumanizacji, a w każdym razie degradacji człowieka, wstępuje w najklasycyjszej formie w CHRL. Sytuacja materialna Chińczyków, jeśli porównać ją z przedkomunistyczną erą, kiedy setki tysięcy, a nawet miliony kosił głów, poprawiła się niepomiernie. Wystarczająca porcja jedzenia, koszula na grzbiecie i spodnie, są w porównaniu z owymi czasami, a także z sytuacją w Pakistanie, a częściowo w Indiach — dostatkiem. Jednocześnie kierownictwo partyjne ofiaruje swym poddanym w formie substytutu wolności pisma Przewodniczącego lub przedstawienie operowe w przeróbce jego małżonki. Jeśli się zważy, że taka próba podejmowana jest w stosunku do narodu, mającego jedną z najstarszych kultur na świecie i to przez przywódców, którym nie brak jest rozsądku i znajomości własnego ludu, to cała sprawa musi wzbudzić obawy co do losu innych narodów, żyjących w strefie komunistycznego panowania. W każdym razie kwestia *świadomości* nie tylko tego z jakimi sprzecznościami borykają się komunistyczne biurokracje, ale przede wszystkim tego, *jakim dehumanizacyjnym przemianom poddawana jest ludność, staje się sprawą pierwszorzędną wagi.*

Ustroje społeczne dlatego, że zostały narzucone narodom nie muszą być przez to obciążone wiecznym grzechem. Po pewnym czasie ludność i system stanowią sprzężenie zwrotne czyli, jak pisze Leszek Kołakowski, sztywność systemu zależy częściowo od postawy, żyjącej w tym systemie, ludności. Nie podobna wciąż i bez przerwy mówić z jednej strony *tylko* o złej Partii, a z drugiej — o szlachetnym, ale zniewolonym i sterroryzowanym narodzie, bo taki schemat zawiera tylko część prawdy. Skądinąd takie ustawiczne ogólnonarodowe „kadzichłopotstwo” praktykowane wobec jakiegokolwiek narodu, żyjącego w komunizmie, nie pomaga, a szkodzi. Dlatego na zakończenie powyższych uwag chciałbym zacytować kilka zdań z listu Andrzeja Almarika do Anatola Kuzniecowa:

„Pytanie, które stawiano Panu często na Zachodzie — dlaczego ludność w ZSSR nie obali rządu jeśli jest on tak zły — wydawało się Panu naiwne. Dla mnie natomiast jest ono najzupełniej rozsądne. Odpowiedziałbym na nie w ten sposób: naród nie obala rządu nie dlatego, że ten rząd jest dobry, ale dlatego że my sami jesteśmy źli. Naczymi cechami charakterystycznymi są bierność, ignorancja i strach; oszukujemy samych siebie wierząc w prymitywne mity, oplatamy samych siebie siecią biurokratycznych postanowień; pozwalamy na to, by niszczone naszych najbardziej czynnych obywateli; większość z nas nie rozumie sytuacji, w jakiej żyjemy; nasza inteligencja jest sprzedajna, zastraszona, pozbawiona kryteriów moralnych. Stopniowo jednak zaczynamy odnajdywać w sobie potrzebną siłę, a znaczy to, że prędzej czy później wiele rzeczy może ulec zmianie”.

Ostatnie słowa cytowanego ustępu zawierają nutę ostrożnego optymizmu. Miejmy nadzieję, że można je zastosować z niemniejszą wiarą wobec pozostałych narodów żyjących w granicach komunistycznego imperium.

Zbigniew BYRSKI

New York, lipiec 1971 r

Różne reformy i różni reformatorzy

W ostatnim numerze *Kultury* ukazał się „List ze Sztokholmu”, w którym anonimowy autor krytykuje moje wypowiedzi w sprawach polityki i gospodarki polskiej. Uważam za słuszne odpowiedzieć na tę krytykę nie tylko dlatego, że Anonim całkowicie zniekształca moje poglądy, ale ponieważ sądzę, że wyjaśnienie tej różnicy zdań może się przyczynić do lepszego zrozumienia o co chodzi w dyskusji, która toczy się na ten temat.

Anonim zarzuca mi, że „wzywam do marazmu i stania z założonymi rękami”. A ja napisałem, kończąc swój artykuł „O socjalizmie w Polsce” (*Kultura* Nr 9/1970): „Jest rzeczą ogromnej wagi, żebyśmy wszyscy zdali sobie sprawę z tego, w jakim ustroju żyjemy i jaka jest natura sił, które nas uciskają i wyzyskują. Żebyśmy również uświadomili sobie, że ustrój ten nie musi trwać wiecznie i że nasza wytrwała i celowa działalność może przyspieszyć jego upadek”. Dodałem jeszcze: „nie wątpię, że słowa te do Polski dotrą... że zostaną zrozumiane i przyjęte przez tych, którzy nie utracili jeszcze nadziei”. Trudno o bardziej dobitne wezwanie do działania. Nawijając do tego stanowiska w swym drugim artykule (*Kultura* Nr 4/1971) napisałem o gospodarce polskiej, że na jej braki „nie można znaleźć żadnej rady dopóki w Polsce panować będzie narzucony jej ustrój zdegenerowanego pseudo-socjalizmu (sowietyzmu)... Naprawa gospodarki wymaga więc zmian politycznych”. A więc znowu wezwanie do akcji i wskazanie jakie są warunki jej powodzenia.

Zarzut, że wzywam do marazmu jest oczywistym fałszem dla każdego, kto czytał moje artykuły. Chyba więc Anonim chce wprowadzić w błąd tych, którzy ich nie czytali. Nie próbuję dochodzić, jaki ma w tym cel.

Anonim imputuje mi jeszcze głoszenie hasła „wszystko albo nic”. Nie tylko nigdy i nigdzie tego hasła nie głosiłem, ale uważam, że nie ma ono sensu jako hasło polityczne. Można się nim kierować, gdy chodzi o jednorazową, natychmiastową akcję, taką jak zamach, szarża lub inna operacja bojowa. Oznacza ono

wtedy zachętę do podjęcia akcji rozstrzygającej lecz związanej z dużym ryzykiem. Nigdy jednak nie może się takim hasłem kierować ruch polityczny, który przecież musi rozkładać siły w czasie i etapami osiągać swoje cele. Nie znam ruchu, który by takie hasło przyjął, ani nawet nikogo, kto by coś podobnego poważnie proponował. Po co więc wypisywać takie rzeczy.

Anonim nie ogranicza się tylko do krytyki, ale przedstawia on także swoją koncepcję działania „typu pozytywistycznego”. Jest on, owszem, za reformami, ale wystarcza mu chleb bez wolności i „ujutny” (jak się wyraża) barak. Chodzi mu więc jedynie o to, aby w sklepach było trochę więcej dóbr konsumpcyjnych. Przysłowiowa kiełbasa, kolorowe skarpetki, kawa i papier toaletowy. Za wzór do naśladowania stawia nam Niemiecką Republikę Demokratyczną a jako główny argument na rzecz tego mini-ekonomicznego i odpolitycznionego programu przytacza jego wykonalność oraz swą opinię, że Polacy życzą sobie właśnie tego i niczego więcej.

Oba argumenty są błędne. Jeśli chodzi o pierwszy to doświadczenie dwudziestu pięciu lat istnienia krajów „demokracji ludowej” i pięćdziesięciu pięciu lat Związku Sowieckiego dowiodło, że ustrój tam panujący nie zapewnia dobrobytu mas. Dlaczego tak się dzieje wyjaśniłem, jak mi się wydaje, dość jasno w moim drugim artykule; rozumowania tego nie potrzebuję więc tu powtarzać. Pomiędzy poszczególnymi krajami istnieją oczywiście indywidualne różnice i zachodzą w nich także okresowe wahania sytuacji. Na przykład polscy ciemniacy są ciemniejsi od niemieckich i dlatego pułap, do którego może dojść NRD leży nieco wyżej od polskiego, ale mechanizm obu ustrojów jest ten sam: wzrost dobrobytu musi natrafiać w nich na hamulce. Jeśli chodzi o okresowe poprawy sytuacji gospodarce, to często pokrywają się one z odwilżą polityczną np. w Polsce po Październiku i na Węgrzech obecnie. Ale to jest dowód efektywności łączenia reform ekonomicznych z akcją polityczną, co właśnie Anonim potępia.

Drugi argument, że Polacy niczego więcej nie pragną prócz kiełbasy w sklepach także przeczy faktom. Ucisk polityczny i wyzysk ekonomiczny są z sobą nierozłącznie związane w świadomości ludzi. Jest to intuicyjna ale trafna ocena sytuacji. Dlatego właśnie w odpowiedzi na podwyżkę cen podpalano komitety Partyjne. W swym pierwszym artykule (ukończonym w czerwcu 1970) pisałem o narastaniu sytuacji rewolucyjnej w Polsce. Ale nie przeczuwałem wtedy, że już za sześć miesięcy postawa rewolucyjna polskiej klasy robotniczej znajdzie tak imponujący wyraz. To co Anonim nazywa ironicznym „mesjanistycznym zadaniem drażenia bloku sowieckiego” już się rozpoczęło. Trzeba umyślnie zamykać oczy, żeby tego nie widzieć.

Polemika, którą wszczął ze mną Anonim pobudza do paru uwag o szerszym znaczeniu na temat reform, jakie trzeba i można wprowadzić w Polsce. Koncepcji i programów takich reform może być bardzo wiele, ale rozpadają się one wyraźnie na dwie

odrębne kategorie, wywodzące się z dwóch różnych sposobów oceny sytuacji w Polsce.

Pierwsza z nich obejmuje takie koncepcje i programy, które dążą do obalenia istniejącego w Polsce ustroju socjalizmu. Wywodzą się one z przekonania, że procesów rozkładu socjalizmu, które doprowadziły do powstania socjalizmu nie da się cofnąć, a także ze świadomości, że ustrój ten ulega stopniowemu rozkładowi pod wpływem istniejących w nim wewnętrznych sprzeczności. Zadaniem staje się więc przyspieszenie upadku tego ustroju, to znaczy *wymuszanie* takich zmian, które kolejnymi etapami *osłabiać będą coraz bardziej klasę panującą i aparat władzy a wzmacniać pozycję polityczną i podnosić dobrobyt ludności*. Aby to osiągnąć akcja polityczna i żądania ekonomiczne muszą być z sobą nierozłącznie związane.

Drużga kategoria koncepcji i programów wywodzi się z zupełnie przeciwnych założeń. Przyjmuje, że ustrój panujący w Polsce to socjalizm, tylko trochę „wypaczony”. Chodzi o to, żeby istniejący ustrój utrzyma, wprowadzając tylko nieznaczne poprawki i usprawnienia w jego funkcjonowaniu. Charakter reform, które się w tym celu proponuje jest ekonomiczny i organizacyjny a w żadnym razie nie polityczny. Partia takie reformy aprobuje a nawet gotowa jest im patronować. Niestety jednak, doświadczenie uczy, że nawet gdy uda się je formalnie przeprowadzić, to skutki ich są znikome a często faktycznie nic się nie zmienia. Zdarza się też, że mimo usiłującej zatuszować to frazeologii, przynoszą one bezpośrednią szkodę robotnikom¹.

Nic w tym dziwnego. Nie można przecież oczekiwać, żeby reformy inicjowane przez aparat partyjny albo u niego *wyproszone* mogły prowadzić do uszczuplenia jego władzy i przywilejów. Zezwolenie na takie reformy jest często nawet manewrem propagandowym, mającym na celu odwrócenie uwagi od istotnych wad ustroju i osłabienie dążenia do reform prawdziwych, dla aparatu niebezpiecznych.

Można więc uznać, że *reformy, którym Partia patronuje lub na które chętnie się godzi prowadzą z reguły do umocnienia aparatu władzy, a więc w ostatecznym rezultacie wychodzą na szkodę ogółu ludności*.

Wynika z tego, że kto przystępuje do dyskusji o reformach powinien jasno zadeklarować, jakie reformy popiera: takie, które podważają ustrój, czy takie, które go umacniają. Od tego zależy kto jakim jest reformatorem.

Jan DREWNOWSKI

Proszę o coś nowego

Byłem kiedyś świadkiem karmienia indyków-tuczników. Każdy ptak w pozycji siedzącej, zamknięty w małej klatce, mógł poruszać tylko szyją i głową. Były tak przekarmione, że kiedy zbliżał się chłopak z wiadrem, aby im znów wpychać do gardła gomułki specjalnej, odżywczej papki, wszystkie bez wyjątku odwracały głowy w kierunku przeciwnym.

Podobnie dzieje się ze mną, za każdym razem, kiedy słyszę słowo socjalizm. Mimo, że jestem przeszło siedem lat poza krajem, wciąż jeszcze słowo to budzi we mnie bardzo nieprzyjemne skojarzenia. Są to skutki wieloletniego oddziaływania socjalizmu praktycznego. Czy jestem odosobniony w swoim odczuciu socjalizmu? Z całą pewnością nie. Dlatego niezrozumiałe wydaje mi się twierdzenie Kołakowskiego (*Kultura* Nr 6, 1967 — „O nadziei i beznadziejności”), że prawdopodobnie w warunkach swobody wyboru znaczna większość polskiej klasy robotniczej i inteligencji pracującej opowiedziałaby się za socjalizmem. Mnie się wydaje wręcz coś odwrotnego. Ludzie w Polsce są tak przesyleni socjalizmem, że nie są w stanie skojarzyć z tym słowem nic innego jak obecną rzeczywistość, która ma bardzo mało wspólnego z tym, co ma na myśli Kołakowski. Nie znaczy to aby klasa robotnicza i inteligencja pracująca (dlaczego to określenie — przecież inna inteligencja nie istnieje) w Polsce miały się opowiedzieć za rozdaniem fabryk w ręce prywatne. To na pewno nikomu nie przyszłoby do głowy. Nie widzę natomiast potrzeby, aby naród uchwalał albo godził się na zasadę, że nikomu nie wolno zajmować się prywatnie produkcją, jeżeli może konkurować z tą nadzorowaną przez społeczeństwo.

Jeżeli np. Kowalski założy warsztat reperacji rowerów, bo widzi, że przemysł zarządzany przez społeczeństwo nie dba o te sprawy, to to chyba Kołakowskiemu nie powinno przeszkadzać w jego socjalizmie. Kowalski zaczyna pracować 12 godzin dziennie łącznie z niedzielami i urlopem, ma pieniądze i widzi, że mógłby produkować nowe rowery taniej niż to robi fabryka uspołeczniona. Czy dla dobra społeczeństwa (cel socjalizmu) należy Kowalskiemu zezwolić na produkcję rowerów, czy też, aby być w zgodzie z doktryną o społecznej kontroli nad zastosowaniem i rozwojem środków produkcji, odmówić? Moim zdaniem, jeżeli Kowalski płaci takie same podatki jak zakład uspołeczniony i produkuje rowery taniej, to należy mu nie tylko pozwolić na to, ale jeszcze odnaczyć medalem, bo tylko takie przedsiębiorcze i pracowite jednostki jak on, zapewniają szybki wzrost dobrobytu społeczeństwa.

1. Osławiony system bodźców opracowany przed Grudniem jest klasycznym przykładem reformy przeciwnej interesom robotników. Wycofanie tego systemu było natomiast reformą, która poprawiła położenie robotników a osłabiła aparat władzy.

Kołąkowski świetnie powiedział, że do tej pory socjalizm załatwiał pewne sprawy elementarne tam, gdzie inne systemy okazały się niezdolne do ich załatwienia. Całkowicie się zgadzam, że socjalizm, nawet ten głoszony przez autora „O nadziei i beznadziei”, potrafi załatwić tylko sprawy elementarne społeczeństwa, konieczne do jego unowocześnienia. Nie jest natomiast w stanie zapewnić szybkiego wzrostu dobrobytu społeczeństwa już zaawansowanego w swym rozwoju. Szczególne trudności tego systemu muszą się ujawnić w dziedzinie przemysłu i to nie tego wielkiego, klasycznego, jak kopalnie, koksownie, stalownie, ale w dziedzinach nowych, gdzie w ogromnym stopniu decydują o powodzeniu niczym nieograniczona swoboda inicjatywy, przedsiębiorczości, upór i pracowitość. Za te wszystkie zalety i wysiłek żaden uspołeczniiony zakład z reguły nie płaci i trudno wymagać nawet, aby mógł płacić, bo są to rzeczy niewymiernie. W tych warunkach nawet najbardziej ambitne i zdolne jednostki nie dają z siebie tego, co mogłyby dać, pracując dla siebie. Niestety życie to potwierdza i nie pomogą piękne założenia teoretyczne.

Łatwiej jest filozofowi, typowemu przedstawicielowi strony duchowej życia, zapewniwszy sobie swobodę w jego sferze działania, głosować za społeczną kontrolą środków produkcji, niż mnie, inżynierowi, który styka się codziennie z tymi środkami produkcji.

Dzisiejsza druga rewolucja przemysłowa, która decyduje o szybkim wzroście stopy życiowej, nie może stosować prymitywnych teorii, stworzonych dla rozwiązywania elementarnych problemów społecznych, spowodowanych rozwojem prymitywnego przemysłu. Jestem przekonany, że teoria ta ma wciąż jeszcze zastosowanie dla społeczeństw będących na niskim poziomie rozwoju, ale rola jej kończy się definitywnie, kiedy naród osiąga wyższy stopień rozwoju. Uporczywe przedłużanie stosowania tej doktryny do społeczeństwa już rozwiniętego, musi nieuchronnie prowadzić do zahamowania tempa rozwoju zarówno materialnego jak i duchowego. Nowoczesny przemysł jest tak samo wrażliwy na jakiegokolwiek ograniczenia jego swobody działania, jak twórczość literacka, czy w ogóle kulturalna. Elementarne zasady logiki nakazują stosować nowe metody działania w nowych, zmienionych warunkach. (Wydaje mi się, że jest to także zgodne z nauką Marksa).

Wydaje mi się paradoksem, że wszyscy teoretycy socjalizmu, poczynając od Saint-Simon'a, rozprawiali i rozprawiają o środkach produkcji, a zatem przemysłu, ale nikomu nie przyszło do głowy zapytać się ludzi ściśle związanych z przemysłem, co oni myślą na ten temat.

Nie znany mi jest przypadek (poza filantropem Engelsem), aby człowiek, znający działanie rozwoju i postępu nowoczesnego przemysłu, wypowiedział się za społeczną kontrolą wszystkich środków produkcji.

Nie mogę się zatem zgodzić z Kołąkowskim, że dla dobrobytu i szczęścia wszystkich obywateli jest konieczna kontrola społeczeństwa nad zastosowaniem i rozwojem *wszystkich* środków produkcji.

Życie uczy, że najbardziej korzystny jest system mieszany. Wielki i ciężki przemysł winien być kontrolowany przez społeczeństwo a lekki, mały nie powinien podlegać ściślejszej regule biblijnej, ale niech go rozwija ten, kto potrafi lepiej. Jeżeli Kowalski potrafi to robić taniej i lepiej, to należy mu na to pozwolić. Tylko taki system pozwoli na utrzymanie zarówno jakości produkcji jak i jej sprawności — efektywności — co ma ogromny wpływ na poziom cen. Nasz Kowalski jest nam potrzebny nie tylko do prawidłowego rozwoju przemysłu, ale także do prawidłowego rozwoju stosunków międzyludzkich. Złe się dzieje w społeczeństwie, kiedy państwo (według Kołąkowskiego — społeczeństwo) jest jedynym pracodawcą, bo wtedy łatwo jest o dyktowanie nie tylko wysokości zarobków, ale także tego co wolno, a czego nie wolno. Historia nas uczy, że władza spacza charakteru ludzi, którzy ją sprawują, co z kolei uniemożliwia skuteczną kontrolę jej przez społeczeństwo. Tylko klasa Kowalskich, jako ekonomicznie niezależna od władzy, może się skutecznie przeciwstawić jej zachłannym apetytom. Gorzkie doświadczenia wykazują, że zawsze jest więcej Gomułków i Moczarów niż Bieńkowskich i Kołąkowskich.

B. ZAWISZA

London, lipiec 1971

Wychodzący od 1932 roku

ZWIĄZKOWIEC

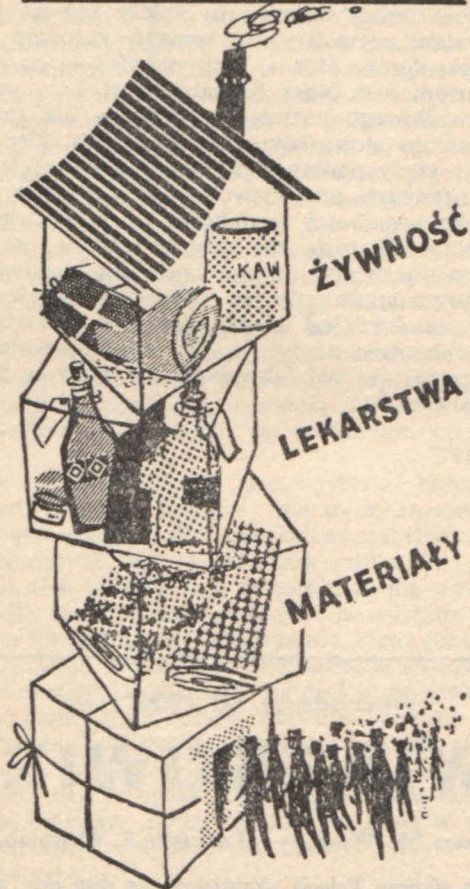
1475 Queen St. West, — Toronto 3, Ontario, Canada

jest jedynym pismem Polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Chcesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń międzynarodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalekiej Ojczyźnie — czytaj i prenumeruj

PÓŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC”

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich, artykuły z dziedziny wiedzy, wiadomości, specjalnie redagowane działy: „SPORT” — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI” — „KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU”

NAJWIĘSZY POLSKI DOM WYSŁĘKOWY



TAZAB
22 ROLAND GARDENS LONDON SW7

Oddział w Stanach Zjednoczonych:
TAZAB OF LONDON
16 STUYVESANT ST., NEW YORK, N.Y. 10003
Telefon: ALgonquin 4-4116

Kronika kulturalna

Nagroda Literacka «Kultury» dla Kazimierzy Iłakowiczówny

W przyszłym roku Kazimiera Iłakowiczówna, jedna z najwybitniejszych poetek między wojennego dwudziestolecia, kończy osiemdziesiąt lat. Przemilczana, rzadko drukowana, autorka *Słownika litewskiego* jest jaskrawym przykładem ostracyzmu instytucji kulturalnych PRL wobec pisarzy ceniących sobie wysoko swoją niezależność. *Kultura* przyznaje jej nagrodę za całokształt twórczości oryginalnej i przekładowej.

Iłakowiczówna urodziła się 6 sierpnia 1892 roku w Wilnie. Studiowała w Krakowie na UJ, gdzie otrzymała absolutorium w roku 1914, oraz w Oxfordzie. Debiutowała w roku 1905. W latach 1915-1917 była sanitariuszką w rosyjskiej czołówce sanitarnej, a w ciągu następnych dwóch lat korektorką w drukarni w Petersburgu. W roku 1918 wróciła do Warszawy i zaczęła pracować w MSZ. W roku 1922 przystąpiła do *Skamandra*. W latach 1926-1935 pracowała w MSW. W roku 1930 przyznano jej wileńską nagrodę literacką za całokształt twórczości poetyckiej. Nie przyjęła wyboru do Polskiej Akademii Literatury. W roku 1935 otrzymała Państwową Nagrodę Literacką, a wkrótce potem odznaczono ją Złotym Wawrzynem PAL. Ewakuowana w roku 1939 do Rumunii, spędziła okres wojny w Siedmiogrodzie. W roku 1947 wróciła do kraju. W roku 1954 przyznano jej nagrodę PEN-Clubu za twórczość przekładową, a w roku 1956 (data jest wymowna) nagrodę literacką miasta Poznania. Ogromną poczytnością cieszyły się przed wojną jej wspomnienia o Marszałku Piłsudskim (którego była sekretarką), *Scieżka obok drogi*. Przekładała m.in. Schillera, Goethego i Tołstoja.

Jubileusz Alfreda Tarskiego

W końcu czerwca odbył się w Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley tydzień trwający międzynarodowy sympozjon naukowy, który uczcił siedemdziesiąte urodziny Alfreda Tarskiego. Zjechało się spore grono filozofów, logików, matematyków i z Ameryki i z Europy, a amerykańska National Science Foundation dała nieco pieniędzy, aby na ten sympozjon mogła przyjechać garść studentów z innych uniwersytetów. Jest to forma obchodzenia jubileuszu dość niezwykła. Ale i postać jubilata jest niezwykła. Sam organizował wiele sympozjonów, zjazdów, kongresów, których jest zawsze osobą centralną. Autor szczytowych osiągnięć warszawskiej szkoły logistycznej wywarł potężny wpływ na współczesną filozofię i matematykę.

Urodzony w Warszawie, doktoryzował się na Uniwersytecie Warszawskim w roku 1924, a habilitował się w roku 1926. Od roku 1939 jest w Ameryce, a od 1944 w Berkeley. Tam, jak przedtem w Warszawie, stworzył atmosferę wyjątkowo twórczą, wychował i zgromadził wybitnych logików i algebraików, kształtował poglądy wielu z najlepszych filozofów na naukę, poznanie, prawdę i język. Bardzo wymagający od wszystkich i od siebie, surowy krytyk, pomaga skutecznie tym, którym warto. Niemal wszyscy wybitniejsi logicy Europy byli gośćmi w Berkeley, a staraniom Tarskiego należy też przypisać to, że cała plejada polskich logików była w Berkeley na półrocze lub na rok. Żart głosi, że to nie University of California in Berkeley, lecz University of Warsaw in Berkeley. (Na każdym zjeździe naukowym Tarski zbiera podpisy wspólnych znajomych na kartce z pozdrowieniami dla Kotarbińskiego, Ossowskiej, lub Mostowskiego). Przez lata starał się Tarski o umożliwienie wizyty Malcewa w Berkeley. Malcew był wysokiej klasy logikiem i algebraikiem, profesorem w Nowosybirsku. (Gdy Malcew umarł, przed zrealizowaniem tych planów, Tarski zorganizował na kongresie logików w Amsterdamie specjalne posiedzenie poświęcone pamięci przyjaciela).

Wykłady Tarskiego są niezwykle jasne i przekonujące. Mówi żywo, bez notatek. Do dziś pamiętam dobrze szczegóły jego wykładów z roku 1937. Wykładał Metodologię Nauk Dedukcyjnych. W Pałacu Kazimierzowskim na pierwszym piętrze. Niemal wszystko co mówił na tych wykładach było własne, nowe i zaskakujące. Dziś jest to materiał klasyczny, który stanowi podstawę metamatematyki. (Widywałem go też w tym czasie na zebraniach Klubu Demokratycznego w Kamienicy Książąt Mazowieckich). Bez Tarskiego wpływ warszawskiej logiki na myśl światową byłby niewielki. Leśniewski niestety pozostaje, dla zagranicy i dla większości logików w Polsce, postacią nieco legendarną i tajemniczą; mało ze swej potężnej twórczości opublikował, a to co ukazało

się drukiem, jest zrozumiałe tylko dla uczniów Leśniewskiego. Łukasiewicz był bardziej dostępny i lepiej znany. Podstawowy artykuł o logikach wielowartościowych pisany wspólnie z Tarskim odegrał rolę, bo był opublikowany po niemiecku w odpowiednim momencie, w roku 1930. Ale książka Łukasiewicza o sylogistyce Arystotelesa ukazała się po angielsku pod sam koniec życia Łukasiewicza, a tom angielskich przekładów jego artykułów dopiero rok temu. Wyniki Adolfa Lindenbauma, dziś już klasyczne i podstawowe dla logiki i algebry, znane są bodaj wyłącznie z prac Tarskiego. Elementy Kotarbińskiego, podręcznik, na którym wychowało się kilka pokoleń warszawskiej młodzieży filozoficznej, ukazały się w kiepskim tłumaczeniu angielskim trzydzieści siedem lat po wydaniu polskim. Tarski od początku swej twórczości mówi do publiczności światowej. Jego praca doktorska ukazała się jednocześnie po polsku i po francusku. Książka o pojęciu prawdy ukazała się po polsku w roku 1933, a po niemiecku, z ważnym dodatkiem, w trzy lata później. Bardziej niż ktokolwiek inny Tarski wyprowadził filozofię polską na szerokie wody. I nie tylko tym, że ogłaszał więcej w językach kongresów międzynarodowych niż po polsku. Treść jego twórczości jest nie zaściankowa, korzysta on z tego, co się pisze gdzie indziej, reaguje na główne nurty nauki światowej. Ale największą siłą Tarskiego są jego własne osiągnięcia. Jest ich dużo i różnorodnych. Większość jest z samej matematyki i logiki matematycznej. O zbiorach skończonych, o systemach rozstrzygalnych, o definiowalności, o pojęciach z pogranicza logiki i algebry, o geometrii, szereg wyników z teorii mnogości. Tarski pokazał, że istnieje metoda czysto obliczeniowa, którą można by zaprogramować na maszynę, rozwiązywania automatycznie wszystkich zadań znanych ze szkolnej geometrii jako konstrukcje przy pomocy cyrkla i liniału (bez podziaki). Mimo, że niemal wszystko, co Tarski zrobił jest interesujące i matematycznie i filozoficznie, jego prace o teorii prawdy odegrały największą rolę w rozwoju współczesnej filozofii.

Wyrazy „prawda”, „prawdziwy” itp. są oczywiście wieloznaczne. Mówimy np., że Horacy to prawdziwy poeta i że jego ody są naprawdę piękne, że ktoś prawdziwie odczuł Święto Wiosny. Nie o te pojęcia chodzi, gdy mówimy że jakieś zdanie, np. zdanie „Aspazja była kochanką Peryklesa” jest prawdziwe. A i orzekanie prawdy o zdaniu jest rozumiane w różny sposób w różnych okolicznościach. Mówimy więc „Jakież to prawdziwe zdanie” chcąc pewnie powiedzieć, że to zdanie ujmuje coś istotnego. Filozofowie spierają się często o to, które ze znaczeń słowa „prawdziwy” jest trafne. Są więc ci, pragmatyści, którzy przyrównują prawdę użyteczności i są też tacy, formalści, którzy utożsamiają prawdę z niesprzecznością. Tarski nie zwalcza innych rozumień słowa „prawdziwy” niż to, które stara się opracować dokładnie, choć większość z nich wydaje mu się dotychczas dość mętna. Ale twierdzi, że jego rozumienie jest najbardziej zwykłe, najnaturalniejsze i najczęściej spotykane. I okazuje się, że jest to pojęcie metodologicznie płodne i filozoficznie interesujące. Dodam, że jest to

pojęcie poważne, dotyczące stosunku między tym co mówimy a tym o czym mówimy, pojęcie związane z istotą wiedzy. Chodzi Tarskiemu o to rozumienie prawdy, przy którym zdanie „Aspazja była kochanką Peryklesa” jest prawdziwe jeżeli Aspazja była kochanką Peryklesa. A jeżeli nie była, to zdanie to nie jest prawdziwe, czyli jest fałszywe. I tak jak z tym zdaniem o Aspazji, tak też z każdym innym zdaniem oznajmującym; jest ono prawdziwe, jeżeli tak jest jak ono głosi, a fałszywe, gdy rzeczy mają się inaczej. Rozumiemy od razu, że tak pojęta prawda, to charakterystyka zdań w zależności od tego jaka jest rzeczywistość. Tak rozumiał prawdę Arystoteles. Tarski postawił zagadnienie czy można podać formalnie poprawną definicję prawdy, zachowując zasadniczą intencję tego klasycznego rozumienia. Mógłby ktoś sądzić, że skoro zdanie „Aspazja była kochanką Peryklesa” jest prawdziwe jeśli i tylko jeśli Aspazja była kochanką Peryklesa, to każdy używa zwrotu „jest prawdziwe” może równie dobrze nie używać tego zwrotu. Wystarczy wyrecytować samo zdanie, a wynik jest ten sam, co wówczas, gdy orzekamy prawdę o tym zdaniu. Taki sąd nazwał ongiś Kotarbiński nihilizmem w rozumieniu prawdy. Nihilizm jednak nie wystarcza. Bo chcemy móc też powiedzieć na przykład „Odpowiedź znawcy będzie prawdziwa” nawet wtedy, gdy nie znamy tej odpowiedzi i przeto nie możemy jej wyrecytować. Albo chcemy powiedzieć, że wszystkie zdania należące do jakiegoś nieskończonego zbioru zdań, np. do zbioru konsekwencji praw Newtona o ruchu, są prawdziwe. A oczywiście ani nie znamy wszystkich tych zdań, ani nie możemy wypowiedzieć nieskończonej ilości zdań. Używamy zatem słowa „prawda” szerzej aniżeli dopuszcza nihilizm.

By jakaś poprawnie zbudowana definicja prawdy odpowiadała intuicjom związanym z tym pojęciem jest jednak konieczne, żeby wynikało z niej co następuje: zdanie „Aspazja była kochanką Peryklesa” jest prawdziwe jeżeli i tylko jeżeli Aspazja była kochanką Peryklesa. I podobnie winien z niej wynikać rezultat wstawienia w ten schemat jakiegokolwiek innego zdania oznajmującego miast zdania o Aspazji w obu miejscach, pod cudzym słowem i bez. Definicja prawdy powinna być niejako wszystkimi takimi wypowiedziami, razem wziętymi. Ale są z tym co najmniej dwie trudności. Pierwsza, natury bardziej technicznej, polega na tym, że zdań jest nieskończenie wiele, a definicja winna być zwrotem o skończonej długości. Tę trudność Tarski przezwyciężył dość skomplikowaną konstrukcją. Druga trudność jest natury bardziej zasadniczej. Oto chcemy w powyższy schemat miast zdania o Aspazji wstawiać każde zdanie. Ale co jest zdaniem? Oczywiście zdanie jest zawsze w jakimś języku. Schemat, o którym mowa, ma być zastosowany do wszystkich zdań jakiegoś języka, na przykład polskiego. Ale język polski i każdy język naturalny, potoczny, ma tę wadę, że można w nim wszystko powiedzieć. A jest to wada dlatego, że wówczas niesposób skonstruować poprawnej definicji prawdy i niesposób spójnie posługiwać się pojęciem prawdy w odniesieniu do zdań języka. Pojawia się bo-

wiem trudność istotna, mianowicie antynomia kłamcy. Idea tego paradoksu, sięgającego starogreckich czasów, jest prosta. Rozważmy zdane: *Zdanie podkreślone w tym artykule jest fałszywe*. Jeśli to zdanie jest prawdziwe, to zgodnie z nim jest ono fałszywe, a jeśli fałszywe, to jest nie tak jak ono głosi, czyli nie jest fałszywe, czyli jest prawdziwe. Niektórzy myślą, że to kwestia niepoważna i że nie ma co się zastanawiać nad takimi banialukami. Inni głoszą, że antynomie są istotną rzeczywistością. Tak myślał Hegel, a za nim Marks i, co nam najbardziej doskwiera, marksści. Tarski, tak jak i Leśniewski i Kotarbiński, jest jak najdalej od godzenia się z antynomiami, od uważania ich za nieuniknione, czy za naturę bytu. Antynomie trzeba rozwiązywać, bo każda świadczy o jakimś błędzie w założeniu lub w rozumowaniu. Nie ulega wątpliwości, że zdanie podkreślone jest poprawnym polskim zdaniem. I dlatego właśnie dla całości języka polskiego niesposób podać spójnego sposobu posługiwanie się pojęciem prawdy. Wiedza nie może być oparta na takim języku. Ale może być formułowana w jego częściach. Nikt nie potrzebuje całego języka polskiego naraz, tego samego języka na wszelkie potrzeby. Chemia używa fragmentu języka, prawoznawstwo innego fragmentu, historia jeszcze innego. Wyodrębnijmy z polskiego jego fragmenty, jego języki częściowe. Zdanie podkreślone nie musi należeć do któregoś z nich. Dla języków częściowych możemy podać poprawną definicję prawdy i nie popaść w grzech śmiertelny antynomii. Tarski zbadał dla jakich języków można zbudować definicję prawdy, a dla jakich jest to niemożliwe. Sama definicja prawdy dla jakiegoś języka nie musi być wypowiedziana w tymże języku. Tak jak mogą mówić po polsku o składni łacińskiej. W zdaniach *De bello Gallico* mowa o działaniach wojennych, a w zdaniach polskich mowa o zdaniach łacińskich. Leśniewski i Tarski rozróżnili między językiem, w którym o czymś mowa, a językiem, w którym mowa o tym języku. Język, w którym omawiamy jakiś język zwą jego metajęzykiem. Jednym z wymogów definicji prawdy jest, by metajęzyk, w którym formułujemy definicję prawdy, był w sposób istotny bogatszy od języka, którego zdania mają być prawdziwe lub fałszywe zgodnie z tą definicją. W szczególności prawda arytmetyczna nie jest arytmetycznie wyrażalna. By zrozumieć sens tego twierdzenia, które nosi nazwę twierdzenia Tarskiego, zauważmy, że wszystkim zdaniom jakiegoś języka można przypisać jakieś liczby i to tak, by różnym zdaniom były przypisane różne liczby. Wówczas miast o zdaniach możemy mówić o im przypisanych liczbach. Z drugiej strony, liczby spełniają pewne formuły, tak jak liczba 7 spełnia formułę: x jest mniejsze od 10. Twierdzenie Tarskiego głosi, że nie ma takiej formuły arytmetycznej, która byłaby spełniona przez te liczby, które są przypisane zdaniom prawdziwym, a nie spełniona przez pozostałe liczby. Z tego jednak nie wynika, że nie można zdefiniować pojęcia arytmetycznego zdania prawdziwego, ani tym mniej, że nie ma prawdziwych zdań arytmetyki. Jeśli język, w którym chcemy wyrazić ideę pojęcia prawdy arytmetycznej bę-

dzie zawierał zwroty i konstrukcje gramatyczne nie dopuszczalne w języku samej arytmetyki, jeśli będzie na przykład zawierał nie tylko zmienne odnoszące się do liczb (jak „x” w powyższej formule), ale również zmienne odnoszące się do zbiorów liczb, wówczas definicja prawdy arytmetycznej da się poprawnie zbudować.

Teraz warto porównać to, co Tarski, a częściowo też inni warszawscy logicy mówią o nauce, z innymi współczesnymi kierunkami filozofii. Wśród filozofów Koła Wiedeńskiego panował podobny duch, co w gronie warszawskim. W Wiedniu, jedną z czołowych postaci był Rudolf Carnap. A jego filozofia do pewnego stopnia wywodziła się z filozofii Wittgensteina, który tak wielki wpływ wywarł również na filozofię angielską. Poglądy Tarskiego w zasadzie zgadzają się z carnapowskimi w tych punktach, w których Carnap odbiegł od opinii Wittgensteina. Natomiast tam, gdzie Carnap kontynuował myśl Wittgensteina, Tarski różnił się zasadniczo. Pozycje Tarskiego i Wittgensteina są sobie obce. Linie podziału współczesnej filozofii są w znacznej mierze wyznaczone tymi różnicami. Jakież więc były, najpierw, różnice między Carnapem a Wittgensteinem? Wylicza je Carnap w swej autobiografii. Po pierwsze Carnap i jego wiedeńscy towarzysze byli scjentyistami. Nauka była im normą poznania. Gdy mówią o poznaniu, mówią o fizyce, chemii, biologii, psychologii. Filozofia to analiza języka nauki. Scjentyistami byli również logicy warszawscy, a Tarski w szczególności. Dla Wittgensteina scjentyzm był obcy. Stąd druga różnica między Kołem Wiedeńskim i warszawskimi logiczami z jednej strony, a Wittgensteinem z drugiej. Mianowicie, dla Wittgensteina, przynajmniej w tamtym okresie, był tylko jeden język, *die Sprache*, zwykły, codzienny język. Wittgenstein pokazywał, że język obiegowy zawiera niejasności i trudności takiego rodzaju, jak omawiane trudności z kłamcą. Warszawiacy i wiedeńscy wyciągali stąd wniosek, że trzeba budować lepsze języki, języki ograniczające swobody i swawole potocznej mowy. W tym szli za Fregem i Russellem, a nie za Wittgensteinem. Trzecim punktem zgody między Carnapem i Warszawą, a niezgody z Wittgensteinem, był stosunek do zakresu spraw, o których można mówić. Wedle Wittgensteina są rzeczy, które się nam ukazują, ale których niesposób wyrazić. Struktura zdania, lub stosunek między językiem a rzeczywistością, nie mogą być wypowiedziane, opisane. U Wittgensteina nie ma miejsca na to, co u Carnapa jest właśnie filozofią, a u Tarskiego składnią i semantyką języka. Dla Wittgensteina są to wszystko „wyższe sprawy” (*das Höhere*). Kotarbiński, Leśniewski i Tarski widzieli w Carnapie sojusznika w ich postawie antyirracjonalistycznej. (Pod tym względem Łukasiewicz stanowił wyjątek. Bodaj w roku 1937 wygłosił on pogadankę przez radio o logice i jej doniosłości dla filozofii. Powiedział wówczas, że pewni radykalni filozofowie nadużywają logiki, by uzasadniać materialistyczny pogląd na świat i wymienił przy tym Carnapa).

Warszawiacy jednak nie zgadzali się z Carnapem w dwóch

istotnych dla niego punktach, z jego weryfikacjonistyczną teorią znaczenia i z odmawianiem rzeczowej treści twierdzeniem logiki i matematyki. Obie te doktryny zaczerpnął Carnap od Wittgensteina. To co uderza w teorii prawdy zbudowanej przez Tarskiego, to jedność prawdy. Pojęcie prawdy jest w zasadzie to samo dla fizyki, psychologii, geometrii, arytmetyki, czy spraw codziennych. Możemy nawet stworzyć język, który będzie obejmował znaczne obszary tych dziedzin i dla którego możemy podać wspólną definicję prawdy. A u Carnapa były dwa gatunki prawdy: prawda rzeczywista, dotycząca faktów, i prawda analityczna, pusta. Uważał on, że matematyka jest formalnym systemem, grą, która nic nie mówi o świecie. Podejmował tym nie tyle stanowisko, co problematykę Kanta. Kant utrzymywał, że zdania matematyki są niezależne od doświadczenia i że mogą być mimo to prawdziwe. Nazywał prawdziwe zdania matematyki sądami syntetycznymi apriorycznymi. Carnap, skrajny empiryk, uznał, że zdania matematyki są analityczne, a nie syntetyczne. W tym wzorował się na Wittgensteinie, który, choć nie o całej matematyce, ale o logice uważał, że zawiera tylko tautologie. Doktryna Koła Wiedeńskiego zwana bywa logicznym empiryzmem, a w tym chce się powiedzieć, że całość wiedzy opiera się na doświadczeniu, a matematyka, jak logika, ma walor tylko formalny; jej formuły niczego nie głoszą. Dopiero gdy zastosuje się matematykę do fizyki, czy do jakiejś innej dziedziny, zastosowania te nabierają sensu poznawczego. Będą to jednak interpretacje formuł matematycznych, a nie same formuły. Walor matematyki polega na tym tylko, że każde zastosowanie jej twierdzeń daje zdania prawdziwe. I w tym widział on analityczność matematyki. W Polsce bodaj tylko Ajdukiewicz w pewnych fazach był zbliżony do tego poglądu. Dla Leśniewskiego i Tarskiego twierdzenia matematyki są tak samo prawdziwe, jak twierdzenia geografii. Oczywiście dobrze wiedzieli, że różne twierdzenia matematyki pozostają prawdziwe, gdy się je będzie inaczej rozumieć, gdy się im nada inną interpretację. Tak przecież geometria analityczna oparta jest na spostrzeżeniu, że pewne formuły są prawdziwe i wówczas, gdy się je rozumie jako zdania geometrii i gdy się je pojmuje jako zdania arytmetyki. I ta myśl o możliwości różnych interpretacji stała się podstawą dla rozwiniętej przez Tarskiego teorii modeli.

Niesposób tu omawiać osiągnięć Tarskiego w logice, algebrze, geometrii i teorii mnogości. Ktoś ciekawy logiki i teorii prawdy może zajrzeć do jego książki *Logic, Semantics, Metamathematics*, wydanej w 1956 roku (Oxford University Press), zawierającej przedwojenne prace w tłumaczeniu J. H. Woodgera. (Tu słówko o Woodgerze, wieloletnim przyjacielu Tarskiego. Jest to Anglik, filozof biologii. Bliscy mu ludzie zwą go Sokratesem, bo jest głębokoki, niski i ma brodę. W angielskiej wersji podręcznika logiki, o którym niżej, wymienia Tarski w indeksie Sokratesa, że niby jest o nim mowa na stronie 228. Ale na stronie 228 nie ma niczego o Sokratesie, natomiast mowa tam o książce Woodgera). Niektó-

re z prac umieszczonych w tym tomie są pisane niemal bez aparatury wzorów i dowodów tak, że i laik może je zrozumieć. O pojęciu prawdy, poza książką zasadniczą, przedrukowaną w całości w tomie Woodgera, są dwa opracowania bardziej przystępne: dla filozofów. *The Semantic Conception of Truth*, przedrukowane w wypisach L. Linsky'ego „Semantics and the Philosophy of Language”, 1952, oraz, dla szerszej publiczności, *Truth and Proof* w „Scientific American”, June 1969. Ktoś bardziej zaawansowany w logice z rozkoszą przeczyta książkę *Undecidable Theories* (Amsterdam, 1953), ktoś mniej zaawansowany jeden z najpopularniejszych na świecie podręczników logiki, który Tarski ogłosił w Warszawie w roku 1936, *O Logice Matematycznej i Metodzie Dedukcyjnej*, a który od tego czasu ukazał się w wielu językach (po angielsku w roku 1941, *Introduction to Logic and to the Methodology of Deductive Sciences*).

Henryk HIŻ

Komunikaty

POLSKI OŚRODEK SPOŁECZNO-KULTURALNY
9, PRINCES GARDENS, LONDON, S.W.7.

o g ł a s z a

K O N K U R S

na projekt cegiełek — darów, którymi ozdobiona będzie wewnątrz budynku na I-szym piętrze powierzchnia jednej ściany sali teatralnej.

O udział w konkursie prosi się polskich artystów, plastyków, rzeźbiarzy, architektów i innych zainteresowanych projektem.

Szczegółowe warunki Konkursu są do otrzymania za opłatą £.2.00 (wraz z przesyłką) w Sekretariacie Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego, 9, Princes Gardens, London, S.W.7.

Za najlepsze rozwiązanie przyznane będą przez Sąd Konkursowy dwie nagrody w wysokości:

I-sza — £.125.00

II-ga — £. 75.00.

W skład Sądu Konkursowego wchodzi:

prof. inż. R. L. Wajda, przewodniczący P.O.S.K.;

prof. M. Bohusz-Szysko;

Panowie: S. Frenkiel;

St. Gliwa;

W. Szomański;

inż. arch. M. F. Grzesik;

inż. T. Urbanowicz.

Termin składania projektu upływa 29 października, 1971 roku o godz. 17.

Książki

Okręt i skała

Shipwreck of a Generation Józefa Bergera należy do książek, które zyskują bardzo na znajomości biografii ich autorów: *kto mówi* jest w nich niekiedy o wiele ważniejsze od *co mówi*. Nota biograficzna o Bergerze nazywa go „jedynym bodaj przedwojennym komunistą najwyższego szczebla, który przeżył uwięzienie w Związku Sowieckim i wyostał się na Zachód”. Jedyny czy nie, w każdym razie odbył rzeczywiście drogę ze szczytu na same dno. Szczytem było stanowisko kierownika wydziału do spraw Bliskiego Wschodu w centrali Kominternu w Moskwie. Na dno złożyły się dwa wyroki śmierci i przeszło dwadzieścia jeden lat spędzonych w więzieniach, w łagrach i na zesłaniu.

Urodził się w Krakowie w roku 1904. Wychowany w ortodoksyjnej rodzinie żydowskiej o poglądach syjonistycznych, jako piętnastoletni chłopiec wyjechał do Palestyny. Tam stał się komunistą, był jednym z założycieli partii i jej sekretarzem. Kiedy w roku 1924 Palestyńską Partię Komunistyczną przyjęto do Kominternu, spędził kilka miesięcy w Moskwie. W połowie roku 1925 wrócił do Palestyny z żoną, rosyjską Żydówką. Mieszkając głównie w Palestynie ale podróżując po całym Bliskim Wschodzie, pomógł założyć partię komunistyczne w Egipcie, Syrii, Libanie i Transjordanii. Wzywano go wielokrotnie do Moskwy, gdzie (jak zaznacza nota biograficzna) w marcu 1929 roku Stalin zaszczylił go „pięciogodzinną rozmową osobistą na temat kwestii palestyńskiej”. W tymże roku, po powstaniu arabskim, Komintern zreorganizował Komitet Centralny partii palestyńskiej tak, by Arabowie stanowili w nim większość; Moskwa pozostawiła jednak Bergera na stanowisku generalnego sekretarza. W roku 1931 odwołano go do Moskwy i wysłano stamtąd do Berlina w nowej roli sekretarza Ligi Antyimperialistycznej. Przez jakiś czas redagował pismo Ligi, odsiedział też parę miesięcy w Moabicie i w Spandau. W roku 1932 Egzekutywa Kominternu zaprosiła go do Moskwy i powierzyła mu kierownictwo wydziału do spraw

Bliskiego Wschodu. W rok później został obywatelem sowieckim. W roku 1934 Berger, „pełen już wtedy wątpliwości co do niektórych aspektów reżymu ale wciąż lojalny komunista”, wyleciał równocześnie z Kominternu i z partii. Znalazł chwilowo pracę w drukarni. Aresztowano go w styczniu 1935 roku. Zaczął się długi okres więzień i łagrów, nieudanych nacisków (chciano go między innymi użyć jako świadka w procesie Zinowiewa) i strajków głodowych, ciągle nowych wyroków. W roku 1951 zwolniono go z obozu i skazano natychmiast *in absentia* na „wieczne zesłanie”. Na tym zesłaniu, w kołchozie pod Krasnojarskiem, zezwolono mu po raz pierwszy od piętnastu lat na krótkie spotkanie z żoną i synem. Przeniósł się potem pod Jenisejsk, gdzie — zbyt słabego do pracy fizycznej — utrzymywały go przy życiu paczki od żony; tłumaczył tam dla zabicia czasu Czechowa na niemiecki. W lutym 1956 roku, w trzy lata po śmierci Stalin, wrócił do Moskwy. Żona i syn, nacierpiawszy się dosyć jako najbliższa rodzina więźnia politycznego, nalegali na wyjazd z Rosji. Było to teraz o tyle możliwe, że osoby urodzone w Polsce miały prawo ubiegać się o przywrócenie obywatelstwa polskiego. Berger uległ namowom i zdecydował się na repatriację. Przez rok pracował w Instytucie Spraw Międzynarodowych w Warszawie. W roku 1957 wyemigrował z rodziną do Izraela. Mieszka obecnie w Tel-Awivie i wykłada na uniwersytecie Bar-Ilan.

Tytuł książki sugeruje obraz okrętu rozbijającego się o skałę. Załoga rozbitego okrętu to „pokolenie które zrobiło rewolucję, całe pokolenie Rosjan w wieku lat od piętnastu do trzydziestu w roku 1917, ludzi takich jak poplecznicy Robespierre’a we Francji czy Cromwella w Anglii; pokolenie w praktyce zniszczone w ciągu następnych dwóch dziesięcioleci”. Skała to naturalnie stalinizm.

Shipwreck of a Generation nie jest na dobrą sprawę pamiętnikiem, choć w podtytule mowa o *The Memoirs of Joseph Berger*. Materiał ściśle pamiętnikarski występuje w skąpych dawkach, Berger opowiada o sobie dyskretnie i jakby niechętnie, w formie przelotnych napomknień, przekonany widocznie że czytelnikowi wystarczy w zupełności poprzedzająca książkę zwięzła nota biograficzna. Interesuje go przede wszystkim Wielka Katastrofa. Co spowodowało rozbicie okrętu? Zawiodły instrumenty nawigacyjne? Załoga okazała się nie na wysokości zadania? Skała wyrosła przed żeglarzami nieoczekiwanie, nie oznaczona na marksistowskich mapach? Stąd książka, z absolutnym niemal lekceważeniem zasad memorialistyki, zajmuje się klasyfikacją i opisem rozmaitych grup ludzkich, których przedstawiciele Berger spotkał na swej więziennie-obozowo-zesłańczej drodze: w kolejnych rozdziałach przewijają się *bywalszyje ludi*, pisarze, komuniści, trockiści, buchariniści, mienszewicy, duchowni, młodzi buntownicy. W trzech ostatnich rozdziałach kąt widzenia zmienia się nieco, obejmując szerokim rzutem lata wojenne, powojenne i postalinowskie.

Zanim powiem coś o postawionych wyżej pytaniach i odpo-

wiedziach na nie, muszę się chwilę zatrzymać nad epilogiem *Shipwreck of a Generation*. Na czterech stroniczkach Berger skondensował w nim swój testament polityczny ex-komunisty, ciężko co prawda doświadczonego, ale zdolnego u progu siedemdziesiątki do spokojnej i odważonej rekapitulacji. Punktem wyjścia są słowa Psalmu 104: „Niech grzesznicy wypaleni będą z ziemi”, które dawni mędrzy żydowscy interpretowali jako: „Niech grzechy wypalone będą z ziemi”. Następuje refleksja, zasługująca na przytoczenie w całości (lub prawie): „Te pamiętniki pomyślane są jako wkład do ustalenia prawdy o tym co się stało i dlaczego; rzecz powinna obchodzić każdego, a szczególnie tych którzy system sowiecki podają za wzór godny naśladowania. W ciągu dwudziestu dwóch lat spędzonych „poza społeczeństwem” (jak nasz status określali sędziowie śledczy) słyszałem niekończące się rozmowy o tym, że zaledwie prawda o warunkach w ZSSR stanie się znana za granicą, myśl o zbawieniu ludzkości przez socjalizm zostanie na zawsze zdyskredytowana, a główna idea Rewolucji Październikowej, w której Lenin widział nie tylko rewolucję narodową lecz także początek wyzwolenia całej ludzkości, zostanie odrzucona i przekreślona. Co jednak zaszło w rzeczywistości? W Związku Sowieckim podjęto kilka nieśmiałych prób naprawienia „błędów”, ale zaraz sami naprawiciele przestraszyli się własnej odwagi... Dwudziesty Zjazd nie doprowadził do niczego nowego. Jego następstwem była gra, bez realnej wewnętrznej przemiany w przywódcach... Ale jeszcze straszniejsze dla człowieka jak ja było to, co działo się poza granicami Związku Sowieckiego. Światowy ruch komunistyczny uległ naturalnie rozbiciu, lecz opinia publiczna i ruch robotniczy na Zachodzie nie wyciągnęły wniosków, które nam w więzieniach i obozach wydawały się oczywiste i nieodparte. Druga połowa lat sześćdziesiątych stworzyła koniunkturę dla ludzi, przeświadczonych że ich nacelną misją historyczną jest bunt przeciwko społeczeństwu zachodniemu. Śledziłem wloty i upadki ruchu rewolucyjnego przez z górą pół wieku, ale nigdy nie zdarzyło mi się być świadkiem takiego zamętu i takich absurdów jak na obecnej Nowej Lewicy. Zdystansowane zostały najgorsze przeczucia „straconego pokolenia” rewolucjonistów, do którego należę... Wygląda na to że my, którzy podczas ostatnich dwudziestu pięciu lat życia Stalina byliśmy jego ofiarami, padliśmy również ofiarą wielkiego złudzenia: złudzenia że ujawnienie faktów o degeneracji i zbrodniach sowieckiej partii komunistycznej położy kres dalszym „socjalistycznym” bachanaliom kłamstw i oszustw”.

W jakich zatem „grzechach” należy, według Bergera, dopatrywać się przyczyn katastrofy? Po pierwsze, w odwróceniu się od podstawowych walorów człowieczeństwa na rzecz „sprawności rewolucyjnej”. Po drugie, w zastąpieniu ideałów hipokryzją. Po trzecie, w faworyzowaniu mistyfikacji kosztem „racjonalnego podejścia do problemów”. Czy i jakie nadzieje wolno wiązać z postalinowską Rosją, która Bergerowi przywodzi na myśl „kraj spustoszony przez pożogę atomową”, Conquestowi (w recenzji z *Ship-*

wreck of a Generation) Niemcy po Wojnie Trzydziestoletniej, a mnie (pod wpływem świeżej lektury *The Black Death* Philipa Zieglera) Europę w drugiej połowie XIV stulecia? Zamknięcie książki brzmi tak: „Wydaje mi się, że wśród najmłodszego pokolenia dorastającego w ZSSR zachodzi proces głębokiego odrodzenia duchowego. Proces ten nie ogranicza się jedynie do studentów i elity intelektualnej, lecz przerzuca się na różnych poziomach do klasy robotniczej i nawet do pewnych części młodzieży wiejskiej. Co uderza to dojrzałość, z jaką niektórzy młodzi robotnicy i chłopcy usiłują na nowo przemyśleć dawne wartości i wzory, akceptowane dotąd od lat przez starszych. Mam uczucie że konkluzje, do których zmierza nowe pokolenie w Związku Sowieckim, okażą się dla większości obserwatorów zagranicznych bardziej dalekosiężne i zaskakujące, niż wszystko co na ten temat napisano lub powiedziano dotychczas”.

Jakiegolwiek będą te konkluzje, postawią one przypuszczalnie pod znakiem zapytania metaforę zawartą w tytule pamiętników Bergera. Nie było okrętu „całego pokolenia rewolucjonistów rosyjskich” z jednej strony, a skały stalinizmu z drugiej. Była, po zwycięstwie rewolucji i poczawszy od Lenina, decyzja zbudowania państwa na terrorze. Terror ma to do siebie, że rozłupuje toporem społeczeństwo na mniejszość terroryzujących i większość terroryzowanych. Stalin tym się tylko różnił od Lenina (albo raczej popchnął dzieło Mistrza do jego logicznych konsekwencji), że terror definitywnie zinstytucjonalizował i — co ważniejsze dla „całego pokolenia rewolucjonistów rosyjskich” — wprowadził go także do sanktuarium *wierchuszki* i jej gwardii pretoriańskiej. Za życia Lenina obowiązywała milcząca zasada, że wolno zabijać „obcych” ale nie „swoich”, skodyfikowana już jawnie w jego testamencie jako przykazanie „niechaj krew nie płynie między wami”. Stalin złamał to przykazanie. We wszystkich chyba „platformach” ugrupowań opozycyjnych na plan pierwszy wysuwało się żądanie uszanowania nietykalności sanktuarium bolszewickiego, uchylenia terroru wobec „swoich”. W *Liście starego bolszewika* — o którym dziś już wiadomo, że napisał go Borys Nikołajewskij na podstawie rozmów z Bucharinem — Kirow występuje jako promotor „zniesienia terroru zarówno w ogóle jak i wewnątrz partii”. Bucharin rozumiał jednak w roku 1936 za dużo (choć nie domyślał się jeszcze, że zabójstwo Kirowa było majsterztykiem stalinowskiego terroru przeniesionego między notabli z najbliższego kręgu), by nie dodać: „Nie zamierzamy przeceniać wagi projektów Sergieja Mironowicza”. Jeśli więc chce się koniecznie ocalić bodaj część obrazu zasugerowanego w tytule książki Bergera, to wypada powiedzieć tak: stalinowską skałę proweniencji leninowskiej budowali, i czepiali się jej później, wszyscy bolszewicy, tyle tylko że Stalin jako *pontifex maximus* terroru strącał z niej kolejno tych, których z tych czy innych przyczyn wolał się pozbyć. Wizja szlachetnych lecz nieszczęsnych zeglarzy i rozbitego okrętu jest legendą, wyimaginowaną przez rzekomych rozbitków *ex post* na użytek potomności.

Berger opowiada niezmiernie ciekawą historię, którą usłyszał pod koniec roku 1937 na Sołówkach od Aleksandra Ajchenwalda, jednego z głównych adeptów „szkółki bucharinowskiej” i syna znanego krytyka literackiego. Na krótko przed procesem Bucharina urządzono mu pięciogodzinną konfrontację z Ajchenwaldem, po czym zezwolono im obu zostać na jakiś czas bez świadków. W rozmowie w cztery oczy Bucharin wyznał swemu młodemu przyjacielowi, że w przerwach między przesłuchaniami wolno mu w celi korzystać z książek i z maszyny do pisania. Wiedząc doskonale jaki go czeka los, postanowił napisać ostatnią książkę swego życia. Ajchenwald zapytał o czym. Nie wierzył własnym uszom, gdy Bucharin odpowiedział spokojnie że o naturze człowieka. Wódz „opozycji prawicowej” zapewniał nawet, że tylko to ma teraz w ich życiu jakiś sens: powinni przestać myśleć o ideologii, ekonomii i polityce, powinni cały wysiłek skierować na przeniknięcie znaczenia i celu życia. Berger: „Z tego co mówił Ajchenwald trudno mi było ocenić do jakich wniosków doszedł Bucharin, czy jego rozmyślenia były mistyczne czy tylko czysto etyczne i filozoficzne; w każdym razie takimi sprawami zaprzętnięty był jego umysł w obliczu śmierci”. I nie mógł być zaprzętnięty innymi u człowieka o inteligencji Bucharina, który przed nieuchronną egzekucją musiał wiedzieć, że raczej niż ideowym rozbitkiem jest straconym ze skały autokracji ex-wspólnikiem.

Istnieje jedyne wyjście (ściślej: jedyna próba wyjścia) z zamkniętej spirali terroru. Terroryzm. To wyjście było zablokowane, nawet gdyby mieli ochotę i odwagę z niego skorzystać, dla starych bolszewików; po prostu, jako współodpowiedzialni za terror masowy, stracili wszelki kredyt poza partią. Ale o aktach terrorystycznych mogli myśleć młodzi komuniści. I myśleli. Berger opisuje proces leningradzkich komsomolców po zabójstwie Kirowa. Przywódca grupy Władimir Lewin odmówił zeznań o planach terrorystycznych i składach broni, dodając: „Gdy ważyć życie jednego człowieka i widzę na drugiej szali życie milionów ludzi, których nieszczęścia spowodował...”. Przerwano mu w połowie tego zdania o Stalinie i wywleczono go z sali sądowej. Oświadczenia pozostałych członków grupy utrzymane były w podobnym tonie. Bergerowi daje to asumpt do wyłożenia „dziwnej” teorii osobistej o źródłach terroru. Sądzi mianowicie że Stalin nigdy, ani na moment, nie wierzył by prześladowani, nawet w razie zelżenia ucisku przebaczyli kiedykolwiek jemu i jego przybocznym siepaczom. Oczekiwał zatem wybuchu aktów terrorystycznych, choćby niepowiązanych ze sobą i chaotycznych. Im bardziej zaś ich oczekiwał, tym gruntowniej, bezwzględniej i powszechniej dokręcał *profilaktyczną* śrubę terroru. Nie jest to bynajmniej teoria „dziwna”, przeciwnie — wydaje się w jakiejś mierze dość prawdopodobna, skoro uwzględnia najistotniejszą cechę terroru: jego swoistą „samonapędowość”, połączoną z niezdołnością do zatrzymania puszczanej raz w ruch maszyny. Stara to prawda, w *Il Potere* Guglielmo Ferrero ujął ją w formułę rządów tyrańskich

które muszą strach wpajać i podsycać, bo same strach odczuwają. George Kennan, prezentując czytelnikom anglosaskim pisma wybrane Nikołajewskiego, zauważa: „Na dalszą metę ludzie u władzy nie mogą oczekiwać większej ochrony przed niesprawiedliwością i okrucieństwem z rąk równych sobie, niż sami oni gotowi są roztoczyć nad najniższymi ze swoich poddanych”.

W jednym Dwudziesty Zjazd doprowadził do czegoś nowego, odkurzył wreszcie przykazanie Lenina „nie wyrzynajcie się wzajemnie”. Wpłynęło to również na złagodzenie terroru ogólnego, ale sygnał do jego podważenia może wciąż dać tylko celny strzał terrorysty. Jeśli nieudany zamach porucznika Iljina na Breżniewa nie był prowokacją bądź pałacową „zagrywką”, przyniesli historycy poświęcając mu więcej uwagi niż współcześni prominenci „sowieologii”.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

WERGILIUSZ (PUBLIUS WERGILIUS MARO). *Eneida*. Epopeja w dwunastu księgach. Przełożył i poprzedził wstępem Ignacy Wieniewski. Rysunki — Tadeusz Terlecki. Str. 348 i 4 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1971).

Książka o Grydzewskim. Szkice i wspomnienia. Str. 378 i 2 nlb. (Wyd. *W i a d o m o ś c i*, Londyn, 1971).

LESZCZA (Jan). *Szkicownik*. Str. 47 i 1 nlb. (Odbitka z *Tematów*, Nr 31-32, Jesień-Zima 1969).

ŻYTOMIRSKI (Eugeniusz). *Życie bez snów*. Str. 162 i 2 nlb. (Wyd. Gryf Publications Ltd., Londyn, 1971).

ŻYTOMIRSKI (Eugeniusz). *Ania z Zielonego Wzgórza*. Str. 8. Poemat. (Odbitka z nr. 1317 *Wiadomości*, Londyn, 1971).

ŻYTOMIRSKI (Eugeniusz). *Śmierć ojca*. Opowiadanie. Str. 22. (Wyd. *Głos Polski - Gazeta Polska*, Toronto, 1971).

BRAUN (Jerzy) *Problem nieśmiertelności w filozofii Św. Tomasza i w filozofii nowożytnej*. Str. 172 i 4 nlb. (Wyd. Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas”, Rzym, 1971).

WYSZYŃSKI (Stefan, Kardynał, Prymas Polski). *Ojciec nasz*. Str. 134 i 2 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż, 1971).

URS VON BATHASAR (Hans). *Kim jest chrześcijanin? Z niemieckiego przeł. Dr Fr. Wycisk, S.A.C.* Str. 124 i 2 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż, 1971).

HEŁM-PIRGO (Marian, inż. Major Korpusu Geografów). *Początki kartografii wojskowej w Polsce odrodzonej (1918-1920)*. Str. 21 i 3 nlb. (Wyd. Polski Instytut Naukowy w Ameryce, New York, 1971).

KUBIAK-ŻYTOMIRSKA (Maja). *Wincenty Kraśko — opiekun pisarzy*. Str. 7. (Londyn, 1971).

Kalendarz ludu 1971. Stulecie emigracji polskiej w Paranie 1871-1971. Str. 208. (Wyd. „Grafica Vincentina Ltda.”, Kurytyba, 1971).

L'HERNE — Soljenitsyne. Zeszyt redagowany przez Georges Nivat i Michel Aucouturier. Str. 519 i 9 nlb. (Wyd. l'Herne, Paryż, 1971).

MANN (Mendel). *Les Gens de Tien-gouchai*. Tłumaczenie z yiddisz Esther Fridman, Str. 236 i 4 nlb. (Wyd. Calmann-Lévy, Paryż 1971).

BARTON (Paul). *Misère et révolte de l'ouvrier polonais. 25 ans du syndicalisme d'Etat. Les 74 jours du prolétariat*. Przedmowa André Bergeron. Str. 159 i 1 nlb. (Wyd. Confédération Force Ouvrière, Paryż, 1971, cena F. 7).

GIERTYCH (Jędrzej). *Lettre ouverte au R. P. Maurice Villain, s. m. sur l'Eglise polonaise (en réponse à son article, publié à Paris)*. Str. 15 i 1 nlb. (Wyd. Veritas Foundation Press, Londyn, 1970).

ANDRZEJEWSKI (Jerzy). *The Appeal*. Przekład Celine Wieniewskiej, przedmowa — Jan Kott. Str. 118. (Wyd. The Bobbs-Merrill Company, Inc., Indianapolis-New York, 1971).

CYNK (Jerzy B.). *Polish Aircraft 1893-1939*. Str. 760 i 2 nlb. (Wyd. Putnam and Company, Londyn, 1971, cena £7,50).

The Tragedy of the Greek Catholic Church in Czechoslovakia. Str. 68 i 5 nlb. (Wyd. Carpathian Alliance, Inc., New York, 1971).

GÖMÖRI (George). *Literature*. Str. 751-756. (Naddruk z *The Year's Work in Modern Language Studies*, Volume 31 (1969) 1970. Wyd. The Modern Humanities Research Association, University of Cambridge).

MIECZKOWSKI (Bogdan). *Economic Tasks for Eastern Europe in the 1970's*. Str. 12. (Odbitka z *Federalist* No 1/2, July/December, 1970. Wyd. Czas Publishing Co., Brooklyn, N.Y.).

MIECZKOWSKI (Bogdan). *The Sinews of Poland's Current Policy of Economic Intensification*. Str. 16. (Odbitka z *The Polish Review*, Vol. XV, No 4, Autumn, 1970, str. 7-22. Wyd. The Polish Institute of Arts and Sciences in America, Inc., New York).

MIECZKOWSKI (Bogdan). *Reform Forum. Recent Discussion on Consumption Planning in Poland*. Str. 609-622. (Nadbitka z *Soviet Studies*, volume XXII, April 1971, No 4, A Quarterly Journal on the USSR and Eastern Europe, University of Glasgow).

WALDO (Arthur L.). *Journalists — Early Polonia's Trail Blazers*. Str. 15 i 1 nlb. (Odbitka z *The Quarterly Review*, No 3, 1970 i No 1, 1971. Wyd. U.S. Population Ethno-historical Research Center of Arizona, Phoenix).

WALDO (Arthur L.). *Copernicus, Galileus, Keplerus? After Some 500 Years Copernicus Joins Galileo, and Kepler as Kopernik*. Str. 7. (Wyd. Polish National Alliance of Brooklyn, USA, Brooklyn, N.Y., 1971).

Ukrajńskijsj Wisnyk. Wypusk I-II, Styczeń 1970 - Kwiecień 1970. Dokumenty V. Str. 245 i 5 nlb. (Ukrajńskie Wydawnictwo „Smołskyp” im. W. Symonenka, Paryż, 1971).

HRIWNIAC (Jurij). *Prof. dr Iwan Puluy — Wynachidnyk prominnia „X”*. Str. 111 i 1 nlb. (Wyd. Sojuz Ukrajinciw u Welykij Brytanii, Londyn, 1971).

WYNAR (Lubomyr). *Mychajło Hruszewskij i Naukowe Towarzystwo im. Tarasa Szewczenka 1892-1930*. Str. 110 i 2 nlb. (Wyd. „Dnirowa Chwyła”, Monachium, 1970).

Ukrajina spilne dobro usich jiji hromadian. Materialy VII welykoho zboru ukrajinskijsch nacjonalistiw. Str. 130 i 4 nlb. (Wyd. Wasyl Symonenko „Smołskyp”, Paryż-Baltimore, 1971).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

17-6-71

Zielony Sztandar alarmuje o ogromnym wzroście nielegalnej produkcji alkoholu. Czołowe miejsce zajmuje województwo warszawskie. W 1969 roku milicja zlikwidowała 316 bimbrowni, w 1970 roku liczba ta wzrosła do 556

20-6-71

Adam Müller, skazany w czasie swego pobytu w Polsce na 5 lat więzienia za rzekome szpiegostwo, został zwolniony przez władze warszawskie pod warunkiem natychmiastowego wyjazdu z Polski.

25-6-71

Radio Warszawa I donosi, że w związku z żywiołową katastrofą deszczów i śnieżyc w Chile, rząd PRL przygotowuje pomoc materialną dla ofiar kataklizmu. — Wietnam nie wystarcza!

29-6-71

Kieleckie zakłady „Iskra” przerwały produkcję nowoczesnych świec zapłonowych, produkowanych na licencji brytyjskiej firmy Smith-KLG-Lodge. Powodem była zła jakość walcówki, z której wykonywane były metalowe części świec. Znosi się na to, iż mając licencję, trzeba będzie jednak sprowadzać świece do Polskich Fiatów z zagranicy.

30-6-71

Bibliographie de la France podaje, że Polska znajduje się na 37-mym miejscu krajów importujących książkę francuską. Zaraz po republice Mali. Import książki francuskiej w 1970 roku jest wyższy niż w 1969 roku. *Bibliographie* zaznacza również, że zgłoszenia na książkę francuską do Ars Polona-Ruch są w większości wypadków niezadowolone, jeśli chodzi o osoby prywatne.

1-7-71

Z inicjatywy Towarzystwa Przyjaciół Pamiętnikarstwa w Warszawie powstało centrum pamiętnikarstwa polskiego, placówki mającej spełniać funkcję centralnej biblioteki i archiwum oraz ośrodka dokumentacyjno-badawczego. W centrum mają się znaleźć zbiory znajdujące się obecnie w rękach różnych dysponentów i nieraz niedostępne nawet dla badaczy. ■ Warszawskie władze zgodziły się na budowę w Krakowie nowego skrzydła szpitala dziecięcego, powstałego przed kilku laty za pieniądze amerykańskie. Kongres Stanów Zjednoczonych przeznaczył na cel tej nowej budowy 2 mil. dolarów w złotych, z sum należących się Stanom Zjednoczonym z tytułu dostaw żywności do Polski w latach 1956-65. W swoim czasie rząd Stanów Zjednoczonych był gotów przeznaczyć sumy znajdujące się na jego rachunku w Polsce na odbudowę zamku królewskiego w Warszawie. Polska wówczas tę propozycję odrzuciła. ■ Giełda samochodów w Warszawie: używane Fiaty 1300 sprzedawano w cenie 110-120 tys. zł; Fiaty 1500 osiągnęły maksymalne notowania 150 tys. zł. Zniżkują ceny Syren i Trabantów, utrzymują się natomiast ceny samochodów Skoda (od 75 do 105 tys. zł) oraz Wartburgów (od 100 do 120 tys. zł).

5-7-71

Władze jugosłowiańskie wydały polskim władzom bezpieczeństwa 15-tu obywateli polskich, którzy przebywając czasowo w Jugosławii usiłowali przedostać się do Włoch i Austrii. ■ W Łodzi zakończył się proces przeciwko siedmiu studentom oskarżonym o stworzenie tajnej organizacji pod nazwą „Ruch”. Zostali oni skazani na kary więzienia od 9-ciu miesięcy do trzech i pół lat.

7-7-71

Radio Warszawa I podaje: „Amerykański literat polskiego pochodzenia, Aleksander Janta-Pończyński, przekazał dyrekcji państwowych zbiorów sztuki na Wawelu pewne dokumenty związane z powstaniem styczniowym”. Ciekawa stylizacja.

9-7-71

W Warszawie zmarł, w wieku lat 52, artysta malarz Ignacy Witz.

11-7-71

Warszawska *Kultura* donosi, że pod Sochaczewem zbudowano nowoczesną cegielnię. Koszt całości wyniósł 194 miliony złotych, a koszt jednego stanowiska roboczego wynosi jeden milion. Cegielnia początkowo produkowała dachówki. Produkcję zawieszono, gdyż dachówki nie nadawały się do użytku: rozsypywały się pod wpływem mrozu już pierwszej zimy. Zamiast dachówek zaczęto produkować cegły, ale z cegłą było identycznie to samo. Taż sama *Kultura* podaje, że tylko w styczniu br. spożycie alkoholu w kraju wzrosło (w porównaniu ze styczniem ub. roku) o 190 tysięcy litrów wódki i spirytusu, a w lutym o 930 tysięcy litrów. Systematycznie pije alkohol 700 tysięcy ludzi. Z tytułu korkowego do kas rad narodowych w 1970 roku wpłynęło 1,2 miliona złotych. W ub. roku w izbach wytrzeźwień przebywało 3,5 tysiąca nieletnich.

17-7-71

Występy artystów polskich na Zachodzie: Wrocławski Teatr Pantomimy odbywa miesięczne *turnée* po Hiszpanii; Wrocławski Teatr Jerzego Grotowskiego występuje w Danii ze spektaklem „Apocalipsis con figuris”; Erwin Axer i Ewa Starowiejska przygotowują w Düsseldorfie inscenizację „Matki” Witkacego, a Adam Hanuszkiewicz i Marian Kołodziej pracują w Helsinkach nad spektaklem „Mąż i żona” Fredry.

19-7-71

Komisja nagród ministra kultury i sztuki przyznała następujące nagrody za twórczość artystyczną w roku 1971: *Nagrody I stopnia*: Tadeusz Nowak — za tom wierszy pt. „Psalmy” oraz książkę „A jak królem, a jak katem będziesz”; Andrzej Kuśniewicz — za książkę pt. „Strefy”; Halina Łukomska — za osiągnięcia artystyczne w dziedzinie wokalistyki w kraju i za granicą; Zygmunt Latoszewski — za całokształt działalności dyrygenckiej i zasługi na polu organizacji placówek muzycznych, w szczególności teatrów operowych; Stanisław Teisseyre — za osiągnięcia twórcze w dziedzinie malarstwa oraz za zasługi w organizowaniu życia artystycznego w kraju; Władysław Hasior — za wybitne osiągnięcia twórcze w szczególności za pomnik „Rozstrzelanych zakładników w Nowym Sączu” oraz „Sztandary polskie”; Roman Opałka — za wybitne osiągnięcia twórcze w dziedzinie grafiki, przyczyniające się do ugruntowania pozycji polskiej plastyki na forum międzynarodowym; Andrzej Wajda — za wybitną twórczość reżyserską w ostatnim okresie; Henryk Borowski — za wybitne kreacje w teatrze oraz teatrze telewizji; Jerzy Jarocki — za całokształt osiągnięć reżyserskich szczególnie za reżyserię sztuki „Matka” St. I. Witkiewicza, „Wyszedł z domu” i „Moja córeczka” T. Różewicza; Jan Zachwatowicz — za całokształt działalności w dziedzinie ochrony zabytków, popularyzacja architektury polskiej z uwzględnieniem książki pt. „Architektura polska”; Karol Stromenger — za całokształt działalności w dziedzinie krytyki i esaju muzycznego oraz popularyzację muzyki w radio i telewizji. *Nagrody II stopnia*, m.in.: Miron Białoszewski — za książkę pt. „Pamiętnik z powstania warszawskiego”; Urszula Koziół — za dorobek poetycki z uwzględnieniem pozycji „Lista obecności” i „Poezje wybrane”; Andrzej Braun — za

książkę pt. „Próznia”; Bogusław Kogut — za twórczość pisarską. *Nagrody III stopnia*, m.in.: Anna Kamińska — za tom wierszy „Białe Rękopis”; Wiesław Myśliwski — za książkę pt. „Pałac”; Krzysztof Zanussi — za filmy „Struktura kryształu” i „Życie rodzinne” oraz filmy telewizyjne; Ewa Demarczyk — za osiągnięcia w interpretacji pieśniarskiej tekstów wybitnych polskich poetów; Halina Winiarska — za kreację Molly w sztuce „Ulisses” J. Joyce’a.

25-7-71

W Darłowie aresztowano 21-letniego Krzysztofa Wodzieckiego i 20-toletniego Bogusława Mazurka, którzy rozbili żoźnierz Wojsk Ochrony Pogranicza, porwali łódź motorową. Zostali oni zatrzymani na pełnym morzu.

27-7-71

Główny Urząd Statystyczny podaje dane za pierwsze półrocze 1971. W tym okresie wyprodukowano 40.000 ton miedzi, 72 miliony ton węgla, oraz 6 milionów ton stali. ■ Rozpoczęto przygotowania organizacyjne do Kongresu techników polskich, który ma się odbyć we wrześniu w Poznaniu. W Kongresie weźmie udział ponad 3 tys. uczestników oraz 60-cioosobowa grupa Polaków, inżynierów spoza granic Polski.

28-7-71

W Moskwie otwarto dekadę polskiej książki. *Literaturnaja Gazieta* podaje, że w okresie 1946-1971 w ZSSR wydano polskich przekładów 1.507 tytułów o nakładzie powyżej 55 milionów egzemplarzy. Z tego 973 pozycje dotyczą literatury pięknej o nakładzie 46 milionów egzemplarzy. Utwory polskich autorów były publikowane w 38-miu językach Związku Sowieckiego. Nowy ambasador PRL w Moskwie, Zenon Nowak, otwierając dekadę stwierdził ogromną popularność sowieckiej książki w Polsce. W PRL rocznie sprzedaje się 6 milionów egzemplarzy utworów pisarzy sowieckich. Polska w imporcie książki sowieckiej zajmuje czołowe miejsce. P. Nowak podkreślił również ogromną popularność dzieł Lenina, wydanych w języku polskim.

30-7-71

Wiktor Kłosiewicz został mianowany zastępcą przewodniczącego Komitetu Pracy i Płacy. W. Kłosiewicz był w latach 1950-1956 przewodniczącym Centralnej Rady Związków Zawodowych i z tego stanowiska w październiku 1956 został usunięty pod naciskiem mas robotniczych.

6-8-71

W Łodzi zmarł ks. bp dr Jan Fondaliński, sufragan diecezji łódzkiej. ■ W pierwszym półroczu br. spółdzielnie mieszkaniowe w Polsce zarejestrowały 120.000 nowych kandydatów. Łącznie kandydacka kolejka liczy 525.500 osób. Ponadto na przydział mieszkań czeka też 495.700 członków spółdzielni. Natomiast w tym roku planuje się oddanie do użytku jedynie 90.500 mieszkań spółdzielczych. ■ Państwowa Inspekcja Handlowa skontrolowała 540 zakładów gastronomicznych w 9-ciu województwach i stwierdziła generalne pogorszenie się jakości potraw, 60 % porcji miało mniejszą wagę od przepisanej i co trzeci rachunek był wystawiony ze szkodą dla konsumenta.

ZACHÓD — EMIGRACJA**14-6-71**

W Kairze rozpoczęła się konferencja czterdziestu przedstawicieli zachodnich finansistów w sprawie budowy na terenie Egiptu 210-ciomilowego rurociągu

na przestrzeni od Zatoki Sueskiej do morza Śródziemnego. Krajami zainteresowanymi w finansowaniu budowy tego rurociągu są: Francja — 40 mil. dolarów, Niemcy Zachodnie — 40 mil. dol., Włochy — 35 mil. dol., Wielka Brytania — 29 mil. dol., Hiszpania — 20 mil. dol., Japonia — 10 mil. dol., Holandia — 8 mil. dol. i Belgia — 6 mil. dol. Stany Zjednoczone oficjalnie nie biorą udziału, jedynie dwie amerykańskie kompanie: Mobil i Amoco zadeklarowały po 7,5 milionów dol. ■ Józef Wittlin został wybrany członkiem korespondentem niemieckiej Akademii Literatury (Deutsche Akademie für Sprache und Dichtung) w Darmstadt. ■ Ukraiński miesięcznik dla młodzieży *Junak*, wychodzący w Kanadzie, wydał interesującą książkę pt. „Kontrasty”. Jest to zbiór literackich, muzycznych i graficznych prób czytelników i współpracowników tego miesięcznika w wieku 16-18 lat. ■ Z opóźnieniem dowiedzieliśmy się o wieczorze autorskim młodego poety Stanisława Badowskiego na uniwersytecie w Montrealu w dniu 3 marca br.

17-6-71

W Toronto odbył się światowy zjazd Słowaków. Ogółem było 170-ciu delegatów, w tym szereg profesorów wyższych uczelni w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Australii i Europie. Między innymi prof. Tadeusz Gromada wygłosił referat o stosunkach polsko-słowackich. Prezesem Światowego Związku Słowaków został Stefan Roman. ■ Zmarł w Montrealu gen. Antoni Szylling, dowódca armii Kraków w kampanii wrześniowej w 1939 roku. ■ W Waszyngtonie powstał nowy kwartalnik polonijny w języku angielskim pt. *Perspectives*. Redaktorem jest p. Maria K. rwin-Rhodes.

24-6-71

Zmarł w Glasgow, w wieku 77 lat, dr Jan Dąbrowski, zasłużony pracownik szkolnictwa polskiego w kraju i na emigracji. ■ Komitet Pomocy Rodakom w kraju ogłosił rezultaty zbiórki na pomoc ofiarom wydarzeń na Wybrzeżu. Zebrano 8.030,23 funty stg. Zebrana kwota została przekazana ks. bpowi Wł. Rubinowi do dyspozycji prymasa kard. St. Wyszyńskiego. ■ Papież Paweł VI zamianował ks. prałata Edmunda C. Szoka, kanclerza diecezji Marquette, biskupem diecezji Gaylord w stanie Michigan w USA.

26-6-71

Zmarł w Londynie, w wieku 80 lat, płk Tadeusz Schaezel. W okresie międzywojennym był wieloletnim kierownikiem Wydziału Wschodniego MSZ oraz wicemarszałkiem sejmu. Na emigracji był prezesem Rady Ligi Niepodległości. ■ Zmarł w Mableton Park Hospital w Anglii, w wieku 78 lat, dr Karol Pozrański. Był on w okresie międzywojennym konsulem generalnym w Paryżu i Londynie. Na emigracji przewodniczył Komitetowi Obywatelskiemu Pomocy Uchodźcom.

1-7-71

Sowiecki fizyk Walery Czalidze, członek sowieckiego komitetu obrony praw człowieka, w rozmowie telefonicznej z prezesem Międzynarodowego Instytutu Obrony Praw Człowieka w Strasburgu, René Cassin, zadeklarował współpracę swego Komitetu z Instytutem. W. Czalidze stwierdził w rozmowie, że nigdy nie otrzymał żadnych listów ani materiałów wysyłanych do niego przez prof. Cassin. ■ Rada Gubernatorów Politechniki Ryerson w Toronto zamianowała p. lsko-kanadyjskiego ekonomistę z Montrealu, dr. Jerzego Korey-Krzeczowskiego, Dziekanem Wydziału Administracji Przemysłowej oraz Asystentem Prezydenta Politechniki do spraw administracji finansowej. Dr Jerzy Korey-Krzeczowski jest działaczem polonii kanadyjskiej (b. Prezes KPK, Okręg Montreal i b. Prezes Rady Głównej Kongresu Polonii Kanadyjskiej). ■ W bieżącym roku 600 tys. Amerykanów odwiedzi kraje Europy Wschod-

niej. W 1967 roku było ich tylko 200 tys. Amerykańskie biura turystyczne obliczają, że w roku 1972 liczba turystów przekroczy milion. ■ Ostatnio na Zachodzie ukazały się przekłady zastępujących książek autorów polskich. *W Niemczech*: Leszek Kołakowski: „Geist und Ungeist christlicher Traditionen”, Kohlhammer Verlag, Stuttgart 1971, str. 150, 9,80 DM; Stefan Grabiński: „Das Abstellgleis — Unheimliche Geschichten”, str. 219, 14,50 DM. *W Stanach Zjednoczonych*: „Studies in Polish Civilization” w opracowaniu Damiana Wandycza, str. 451, dol. 7,50, nakładem The Polish Institute of Arts and Sciences, New York; Bolesław Taborski: „Polish Plays in English Translations; a Bibliography”, dol. 2,50. ■ Biblioteka Polska w Londynie, która w ramach wymiany wysyła książki do Polski, otrzymała pismo z Urzędu Celnego w Warszawie, podpisane „z upoważnienia Naczelnika Urzędu Celnego mgr. Janina Skrzypek”, o skonfiskowaniu następujących książek: Dickens, Charles: *Great expectations*; L. P. Hartley: *The shrimp and the anemone*; Sheridan, R.: *The school for scandal*; *General catalogue of the Courtland Institute Galleries*; Lange, E.: *Le secrétaire idéal*; Rothenstein, J.: *The Tate Gallery*, oraz „*Anthologie de la poésie polonaise*”, wydana przez Editions du Seuil w Paryżu.

2-7-71

W galerii „Maison pour Tous” została otwarta wystawa Grażyny Remiszewskiej obejmująca obrazy, rysunki i fotografię artystyczną. Pierwsza wystawa p. Remiszewskiej miała miejsce w 1968 roku we Wrocławiu. Od 1969 roku przebywa ona w Paryżu. ■ W Chicago ukazał się pierwszy numer nowego polskiego tygodnika *Polonia*.

5-7-71

W Cambridge zakończyło się szóste polsko-brytyjskie spotkanie „okrągłego stołu”. Wziął w nim m.in. udział członek koła *Znak*, poseł Konstanty Łubieński. ■ Szwedzki Instytut Spraw Międzynarodowych wydał antologię „Anegdota politycznych w Europie Wschodniej”.

8-7-71

W Londynie powstał klub dyskusyjny pod nazwą „Klub Zbieżnych Dróg”. Tematem obrad zebrania inauguracyjnego był artykuł „Tezy nadziei i beznadziejności” ogłoszony w paryskiej *Kulturze* przez profesora L. Kołakowskiego, który zagał dyskusję. Wykazała ona znaczną zbieżność poglądów w ocenie sytuacji krajowej. W dyskusji zabierali głos pp. A. Chawluk, M. Hirszowicz, S. Markowski, K. Mochliński, T. Prokopowicz, K. Pszenicki, J. Radomyski, A. Smolar i S. Wąsik. Przewodniczył p. R. Piłsudski. ■ W Nowym Jorku odbyło się doroczne walne zebranie Stowarzyszenia Dziennikarzy Polsko-Amerykańskich. Nowy zarząd ukonstytuował się w następującym składzie: prezesem został Władysław Marth, wiceprezesem Jerzy Ptakowski, a w skład zarządu weszli: Józef Dubicki, Tadeusz Katelbach i Bronisław Załęski.

9-7-71

Tadeusz Różewicz uczestniczył w Międzynarodowym Festiwalu Poezji w Londynie. Ze względu na ogromne zainteresowanie, jakie wywołała jego poezja, Różewicz wystąpił dodatkowo poza programem. Firma Penguin Books przygotowuje wybór jego poezji w przekładzie Adama Czerniawskiego. ■ Adam Czerniawski otrzymał nagrodę londyńskiej Oficyny Poetów i Malarzy im. Tadeusza Sułkowskiego za zbiór szkiców o poezji pt. *Liryka i druk*, który Oficyna wyda w br.

10-7-71

Polski Uniwersytet na Obczyźnie w Londynie nadał stopień doktora *honoris causa* profesorom: Bronisławowi Hełczyńskiemu i Adamowi Pragierowi.

Ponadto nastąpiły promocje doktorskie: p. Jan Ostrowski otrzymał doktorat filozofii, p. Roman Buczek — z historii, p. Tadeusz Podlaski — z prawa, a p. Wojciech A. Dzierżyński doktora nauk politycznych. ■ British Petroleum ma dostarczać Polsce trzy miliony ton ropy rocznie w ciągu 10-ciu lat. Ropa jest przeznaczona dla nowej rafinerii będącej w budowie w Gdańsku. Do tej pory Polska była wyłącznie uzależniona od dostaw Związku Sowieckiego, które wynosiły 7-8 mil. ton rocznie. ■ Alojzy Mazewski, prezes Kongresu Polonii Amerykańskiej wystąpił z memoriałem do przedstawiciela Stanów Zjednoczonych w ONZ ambasadora George Busha domagając się, aby delegacja Stanów Zjednoczonych zażądała przeprowadzenia inwestycji w sprawie zbrodni katyńskiej.

20-7-71

Karel Bocel, b. dyrektor kopalni uranowych w Czechosłowacji, aresztowany w Pradze we wrześniu ub.r., uciekł z więzienia Pankrac w czasie przerwy w przesłuchiowaniu. Udało mu się przedostać do Niemiec Zachodnich, gdzie poprosił o azyl.

27-7-71

Ogłoszono wynik wyborów na posłów na Sejm Związku Narodowego Polskiego, który odbędzie się w Pittsburgu 19 września 1971 roku. Jest to Sejm największej organizacji polonijnej, liczącej z górą 300 tys. członków. Posłów na Sejm wyłierały organizacje terenowe ZNP znajdujące się w 36 stanach, a zwołany Sejm wybierze nowe władze ZNP na 4 lata. Wybranych zostało 378 posłów i posłanek, których przeciętny wiek wynosi aż 59 lat. Dowodzi to, że młode pokolenie polonijne stoi z dala od życia zorganizowanej Polonii. Jest również znamienne, że 55 % wybranych posłów to płatni funkcjonariusze ZNP, przeważnie sekretarze finansowi (44 %), którzy zbierają składki ubezpieczeniowe oraz funkcjonariusze grup związkowych (11 %).

28-7-71

Pierwsza poważniejsza nominacja republikańska dla członka Polonii amerykańskiej: J. Wojnarowski został mianowany dyrektorem Departamentu Rozbudowy Miast na 6 dużych stanów: Illinois, Michigan, Ohio, Wisconsin, Indiana i Minnesota. Jest pierwsza jaskółka „kiełbas wyborczych” na 1972 r.

30-7-71

III Międzynarodowy Kongres Fundacji im. James Joyce — organizacji skupiającej ponad 1.000 pisarzy, tłumaczy, reprezentantów ośrodków uniwersyteckich, wydawców i krytyków 40-tu krajów wszystkich kontynentów — wybrał na wiceprezidenta i generalnego dyrektora Fundacji polskiego pisarza M. Słomczyńskiego tłumacza „Ulissesa”. ■ Agence France Presse donosi, że wizyta E. Gierka i P. Jaroszewicza w Paryżu, która miała nastąpić jesienią br. została odłożona z powodu przygotowań do zjazdu PZPR, który ma się odbyć w Warszawie w końcu br.

1-8-71

John McCordick został mianowany ambasadorem Kanady w PRL. Był on poprzednio na placówce w Moskwie i w Pradze. McCordick obejmuje placówkę po p. Pamela McDougall, która jest obecnie jednym z doradców premiera Trudeau w sprawach zagranicznych oraz obrony narodowej. ■ Adam Tarn, założyciel i wieloletni naczelny redaktor *Dialogu*, w latach 1968/71, profesor teatrolgii na uniwersytecie w Calgary, został profesorem na uniwersytecie Carleton w Ottawie.

2-8-71

Agencja Reutera doniosła, że Senat amerykański jednogłośnie uchwalił zatwierdzenie sumy 35 milionów dolarów na finansowanie Radia Wolna Europa i Radia Liberty. Fundusze będą dostarczane poprzez State Department. Ustawa przechodzi obecnie do Izby Reprezentantów. Jeden z ekspertów Kongresu, Hill, powiedział, że wydaje się możliwe, ale mało prawdopodobne, aby ustawa mogła przejść przez Izbę Reprezentantów przed okresem wakacyjnym, rozpoczynającym się 6 sierpnia br. W każdym razie wymienione stacje będą finansowane, zgodnie z ogólnym postanowieniem, pozwalającym im na wydawanie pieniędzy podobnie jak w ubiegłym roku podatkowym, który skończył się 30 czerwca. Uchwała Senatu była przedstawiona przez senatora Clifforda Case z New Jersey, który oświadczył, że obydwa radia były w przeszłości finansowane przez C.I.A. — co dotąd nigdy nie zostało oficjalnie potwierdzone. Uchwała Case'a przewiduje użytkowanie funduszy „w sposób i na warunkach, które sekretarz stanu uzna za właściwe”. Jedynym ograniczeniem w uchwale jest zastrzeżenie, że żadne inne fundusze rządowe nie będą przydzielane tym dwóm stacjom. ■ W republikańskim oficjalnym czasopiśmie *Monday* w Waszyngtonie ukazało się oświadczenie kierownika biura Kongresu Polonii Amerykańskiej w Waszyngtonie, Lenarda, w którym zaatakował on sen. E. Muskie „w imieniu własnym i całej Polonii amerykańskiej” za wywiad udzielony dziennikowi w Dallas. W wywiadzie tym sen. Muskie powiedział m.in. że polityka amerykańska uznaje, że jedne rządy komunistyczne są lepsze a inne gorsze. Lenard zaprzeczył takiej ocenie a prasa republikańska wykorzystwała jego wypowiedź rozgłaszając, że Polonia w USA występuje przeciwko E. Muskiemu. Oświadczenie to złożył Lenard bez wiedzy Zarządu lub prezesa K.P.A.

7-8-71

University of Connecticut z początkiem nowego roku akademickiego wprowadza naukę języka polskiego. Jest to rezultat zabiegów dra Peszke z wydziału stanowego Kongresu Polonii Amerykańskiej.

13-8-71

Pisarz sowiecki Andriej Amalrik, skazany w listopadzie 1970 na trzy lata więzienia za „rozpowszechnianie oszczerstw antysowieckich” został przeniesiony do łagru na Kółmie w okolicy Magadanu nad morzem Ochockim. Amalrik od wiosny był chory na zapalenie mózgu, którego nabawił się w więzieniu w Nowosybirsku. Według tego co mówią jego przyjaciele, został zwolniony od ciężkich prac na okres jednego roku.

15-8-71

Ambasadorem PRL w Kanadzie został Józef Czesak, który w maju br. został zwolniony ze stanowiska kierownika wydziału zagranicznego KC PZPR. Czesak w latach 1954-55 był członkiem międzynarodowej komisji nadzoru w Kambodży. Nowy ambasador, tak jak Gierek, rozpoczął pracę zarobkową i zawodową w górnictwie we Francji. ■ P. Deacon, poseł parlamentu kanadyjskiego pochodzenia ukraińskiego, który towarzyszył premierowi Trudeau w czasie jego wizyty w Związku Sowieckim, oświadczył, iż z polecenia p. P. Trudeau interweniował u premiera sowieckiej Ukrainy w obronie aresztowanych i skazanych Ukraińców. Interwencja spotkała się z ostrą reakcją i porównaniem skazanych Ukraińców do terrorystów w Quebecu.

Listy do Redakcji

Stevens Point, 6 lipca 1971.

Szanowny Panie Redaktorze,

Uwagi pana Michała K. Pawlikowskiego w sprawie kandydatury senatora Edmunda Muskiego na prezydenta USA (*Kultura*, czerwiec 1971) nasuwają mi z kolei kilka uwag i sprostowań. Muskie istotnie nie jest zawsze „spokojnym człowiekiem”. Jako choleryk wybucha od czasu do czasu gniewem, ale jest to gniew krótkotrwały, nad którym szybko bierze górę wysoko rozwinięte poczucie umiaru, sprawiedliwości i uczciwości, nie pozwalające na zbyt szybkie osądy i decyzje. Jako senator był zawsze konstruktywny, nowatorski i skłonny do kompromisu — centrysta, cieszący się szacunkiem kolegów tak z prawa jak z lewa. Szacunkiem tym i poparciem cieszy się on również wśród działaczy swej partii i — jak wykazują ankiety — jedyny spośród demokratycznych aspirantów prezydenckich ma szansę pokonania prezydenta Nixona.

Naturalnie jako kandydat prezydencki nie może być tak „spokojny” jakby tego może sam pragnął, albo tak „milczący”, jakby pragnął p. Pawlikowski. Musi — używając określenia autora listu — „psioczyć na administrację prezydenta Nixona”, bo to jego „psi obowiązek” jako lidera opozycji. Zresztą jest o co psioczyć. Na przykład dzięki swemu *laissez-fair* yzmowi wobec inflacji administracja republikańska nie może wydobyć kraju z depresji gospodarczej, fatalnie osłabiającej go wewnątrz i z zewnątrz.

Jako kandydat zradykalizowanej i skłóconej obecnie partii demokratycznej Muskie musi również radykalizować swoje wypowiedzi — co nie oznacza: poglądy — aby bardziej skrajne elementy przy tej partii i przy sobie utrzymać. Musi starać się o poparcie młodzieży i Murzynów, którzy stanowią licniejszy niż dotychczas elektorat. Oczywiście odrzęca to niektórych bardziej konserwatywnych demokratów, a polskim republikanom daje okazję do atakowania Muskiego jako „lewicowca”. Jednakowoż większość zarzutów wysuwanych przez p. Pawlikowskiego jest pozbawiona podstaw.

Pan Pawlikowski insynuuje na przykład, że Muskie bawiąc w Moskwie sprzedał jej Stany Zjednoczone „na zielono”, albo sam się sprzedał. Tymczasem jedynym konkretnym wynikiem tej podróży było opowiadanie się jego przeciwko jednostronnej redukcji wojsk USA w Europie. Pan Pawlikowski powołuje się przy tym na jakiś paszkwil wydany w Kanadzie po angielsku, polsku i niemiecku, który zarzuca ponadto — jakby to była zbrodnia — że Muskie nie wie o istnieniu sowieckiego filmu z masowych morderstw w Katyniu, udostępnionego Chińczykom i pokazywanego obecnie przez nich na Zachodzie. Przyznam się że i ja sam nie o tym nie wiem, ale podejrzewam, że informacja ta wraz z artykułem zarzucającym Muskiemu „zdradę” pochodzi z tego samego źródła co osławione *Polish jokes*.

Panu Pawlikowskiemu nie podoba się też „wykrzywiona oblesnym uśmiechem twarzyczka” senatora Muskiego, choć wielu ludziom przypomina Lincoln, i wątpi aby kochał Polaków, którzy i tak „ślepo” głosują na demokratów. No dobrze, ale co dali nam republikanie za te 25 % głosów, które

Polonia rzuciła na Nixona w ostatnich wyborach? Nic. W Białym Domu panoszą się „Hakata”. Tymczasem gdybyśmy wybrali prezydentem demokrację — mielibyśmy co najmniej „polskiego” wiceprezydenta (Muskiego), głównego doradcę prezydenckiego (Brzezińskiego zamiast Kissingera) i sekretarza skarbu (Gronouskiego).

Jeszcze jedno — pan Pawlikowski twierdzi, że wojnę w Indochinach wywołali „wybrańcy demokratyczni”. Tymczasem toczyła się ona już za republikańskiego Eisenhowera, skoro nazajutrz po swojej inauguracji prezydenckiej John Kennedy musiał postać 5.000 żołnierzy amerykańskich do Syjamu, aby groźbą interwencji powstrzymać komunistów od całkowitego zajęcia sąsiedniego Laosu. I chociaż do wybuchu tej wojenki przyczynił się nieudany pucz prawicowych generałów laotańskich, popierany przez administrację republikańską niezadowoloną z neutralistycznego premiera Souvanna Poumy — nie będę twierdził, że wojnę w Indochinach wywołali republikanie, bo faktycznie narzucili ją Stanom Zjednoczonym i całym Indochinom komuniści.

S. L. BRUDNICKI

Chicago, 26 sierpnia 1971.

Szanowny Panie Redaktorze!

Dlaczego w *Kulturze* nie zamieszcza się artykułów jak w załączeniu — przychylnie mówiących o Polakach?

Dlaczego umieszczane są tylko paszkwile w ohydny sposób przedstawiający Polaków?

Dlaczego z Żydów robicie najbardziej szlachetny naród w świecie, a szczególnie największych patryców polskich?

Na podstawie *Kultury* Polacy — to jedna ohyda. Żydzi — to uosobienie szlachetności, piękna, dobroci i polskiego patriotyzmu.

Nie jesteśmy dzieci.

Wiemy kim byli i kim są Żydzi.

Byli wrogami i są wrogami Polski. Tu w USA prześcignęli w swej nienawiści i wrogiej propagandzie antypolskiej nawet Niemców.

Kultura stała się po prostu miesięcznikiem żydowskim. Dlatego też prenumeraty na 1972 rok nie przedłużam.

Z poważaniem,

Zygmunt GABRYSZEWSKI

Los Angeles, 8 lipca 1971.

Szanowny Panie Redaktorze,

Nie mam zwyczaju odpowiadać na krytykę moich utworów. Utwór opublikowany staje się własnością publiczną i każdy może o nim mówić i pisać, co mu się tylko podoba. Nie oznacza to jednak, że można ogłaszać publicznie inwektywy pod adresem autora. A jeśli już w kimś budzę takie nieodparte uczucia, że nie może się powstrzymać od rzucenia mi paru obelg publicznie, drukiem, to taki ktoś musi się pod tymi obelgami podpisać, tak samo jak ja pod moim tekstem, i tak samo jak ja ponosić odpowiedzialność za to co opublikowałem. Jest to elementarna zasada przyzwoitości. Dlatego prawo zabrania anonimowego publikowania obelg, a pismo, które taki anonim publikuje samo w konsekwencji ponosi odpowiedzialność za obelżliwą zawartość tekstu, niezależnie od tego czy popiera stanowisko anonimów, czy oświadcza, że się

z nim nie zgadza. Opublikowana obelga pozostaje publicznie rzuconą obelgą, a pismo, które ją opublikowało, umożliwiło to anonimowi.

W liście opublikowanym w Nrze 6/285 *Kultury* podpisanym przez „Robotnika z Kanady” czytamy: „Pan Grynberg pisze: „Istnieje rodzaj chamstwa, przed którym nie można zasłonić się drzwiami, ani obronić głową...” to prawda, ale czy przed chamstwem należy bronić się po chamsku to sprawa do dyskusji”. Autor stwierdza, że bronię się po chamsku. Czyli oskarża mnie publicznie o chamstwo. Jest to osobista zniewaga rzadko stosowana w krytyce. Jest to zniewaga najcięższa dla pisarza, którego sama natura czyni obrońcą człowieczeństwa właśnie przed chamstwem.

Poziom umysłowy „Robotnika z Kanady” emituje z takich zdań jak: „Nie mieszaj Pan dialektyki w sranie” i syntetycznych ujęć w rodzaju: „Są więc dobrzy i źli Żydzi i tych ostatnich myślę jest więcej” („Robotnik” nie podaje sposobu, przy pomocy którego dokonał tych statystycznych obliczeń). Dlaczego pismo, którego numer otwiera artykuł Leszka Kołakowskiego (może najlepszy jaki kiedykolwiek po polsku napisano) pokusiło się o taki materiał „zamykający” jak list „Robotnika z Kanady”? Tym bardziej, że sam „Robotnik z Kanady” zaznacza w nim: „O wydrukowanie tego listu wcale Pana Redaktora nie proszę”. Redakcja jakby przewidując pytanie zamieszcza dopisek i wyjaśnia: „...dlatego, że wydaje się on nam bardzo typowy zarówno w krytyce jak i w braku konkretnego programu współpracy emigracji i postępowych sił w kraju”. Zakrawa to raczej na satyrę. Drukuje się list kogoś, kto o to wcale nie prosi, tylko dlatego, że nie zawiera on jakiegoś programu i w dodatku określa się go jako „bardzo typowy”... W takim razie ładną mamy przed sobą przyszłość... Jeśli list ten jest tak „bardzo typowy” to niech nikt już więcej nie pisze, że antysemityzm jest produkowany w Polsce przez rządzącą klikę i do tego na rozkaz z Moskwy.

Nie, nie mam nie przeciwko drukowaniu antysemickich wystąpień. Przeciwnie, niech drukują, niech się kompromitują, niech wszyscy wiedzą! Z nikim się tak łatwo nie walczy jak z antysemitami. Dlatego każdego z nich prędzej czy później spotyka to, co Żydzi nazywają „czarny koniec”. Nie zgadzam się jednak na udzielanie im pseudonimowego parawanu, za który — z typowym dla antysemity tchórzostwem — chowa się nasz „Robotnik z Kanady”.

Czytelnikom, których może niniejszy incydent zainteresował wyjaśniam: w marcu 1944 roku rozłupano mojemu ojcu czaszkę siekierą, w nocy, w Radoszynie, w naszej rodzinnej wsi. Latem 1966 roku (podkreślam 1966) przyszedłem na jego grób w otwartym polu, gdzie nikt nie sieje ani nie orze, bo wszyscy we wsi wiedzą, że mój ojciec leży tam pochowany. Na środku porośniętego trawą czworoboku zastałem ludzki kał. Wrażliwy „Robotnik z Kanady” kwituje to zdaniem: „Sprawa z tym kałem na grobie jest ojca to gruby nietakt, obojętne czy to prawda czy fikcja literacka. Mało jest miejsca w starej Europie na którym by ktoś nie dokonał żywota, a załatwiając potrzebę naturalną o tym nikt nie myśli”. To ja popełniam nietakt...

Nie, to nie fikcja, to prawda. Wszystkie okropności, o których piszę są autentyczną prawdą. Bardzo mało używam fikcji, a jeśli, to przeważnie wtedy, gdy chcę napisać coś pocieszającego dla człowieka, pokazać jakiś szlachetny odruch. Prawie wszystkie takie momenty w moich opowiadaniach to fikcja, czyli tzw. „prawda artystyczna”. Muszę ją stosować, aby móc wierzyć w ludzkie wartości. A wierzyć trudno. Tacy jak „Robotnik z Kanady” odbierają człowiekowi tę wiarę.

Ja z kolei bardzo proszę Pana Redaktora o wydrukowanie mojego listu.

Henryk GRYNBERG

(List „Robotnika z Kanady” — 81 wierszy, mój list 69 wierszy, przy tej samej długości wiersza).

Buena Park, Cal., 6 czerwca 1971.

Szanowny Panie Redaktorze,

Kultura dała szereg dobrych artykułów o Stanach Zjednoczonych. Można się zgadzać lub nie zgadzać z niektórymi wnioskami autorów, ale są dobre wiadomości, pisane na poziomie.

Kontrastem tego jest list pana Michała K. Pawlikowskiego, (*Kultura*, czerwiec 1971), który można raczej zaliczyć do taniej propagandy wyborczej, nie przebiegającej w ordynarnych zwrotach w rodzaju: „senatora Muskiego twarzyczka wykrzywiona obleśnym uśmiechem”.

Nie mam zamiaru wdawać się w dyskusję polityczną z panem Pawlikowskim, gdyż sądząc z treści listu, nasze poglądy polityczne są zbyt rozbieżne, tak samo jak różnimy się w użyciu słów „obleśny uśmiech” w stosunku do wyrazu twarzy senatora Muskiego.

Nie przypuszczam obecnie, by senator Muskie wszedł do Białego Domu, chociażby dlatego nie że nie dysponuje takimi funduszami jak przypuszczalni faworyci pana Pawlikowskiego, oraz że jest pochodzenia polskiego, do czego publicznie się przyznaje. Gdyby jednak sen. Muskie został prezydentem Stanów, wywarłoby to dobry wpływ na zamierające poczucie polskości wśród Amerykanów polskiego pochodzenia. Byliby z tego dumni.

Sądzę też że jest naiwnością liczenie na to, że jakikolwiek prezydent Stanów Zjednoczonych zrobi cokolwiek, w obecnym położeniu, dla Polski lub Polaków, bez względu na to czy to będzie Demokrat, czy Republikanin, konserwatysta lub liberał. Każdy jednak kandydat na prezydenta będzie się starał o głosy polskie.

Łączę wyrazy szacunku,

J. MACIEJOWSKI

New York, 15 lipca 1971.

Panie Redaktorze,

Będąc sam emigrantem, z dużym zainteresowaniem śledzę dyskusję wokół artykułów Jolanty Dworzeckiej.

Należałoby się spodziewać, że przeciwnie do starej Polonii, nowa emigracja przyniesie ze sobą jeżeli nie nowe idee to przynajmniej lepsze maniere, że zdefiniuje program politycznego działania. Jest nas nie mało — podobno przeszło sto tysięcy.

Ktoś napisał — nie można wymagać aby każda krawcowa była agitatorką antykomunizmu. Coś jednak trzeba wymagać od byłej polskiej inteligencji, pogrążonej tutaj, za Oceanem, w lekturze *Panoramy Północy* i *Trybuny Ludu*, które zawsze można nabyć na sławnej 42 ulicy, lub w klasztorze Paulinów w amerykańskiej Częstochowie. (*Kultury* jak również amerykańskiej prasy się nie czytuje).

Przyjeżdżamy tutaj głównie przez Polski Komitet Emigracyjny, który jest naszym sponsorem i właściwie jedynym opiekunem. Pierwsze wrażenia w Ameryce nie są miłe: hotel Wollcot i jego brudy, karaluchy, zaduch oraz klientela wszelakiej koniunktury. Opieka Komitetu nad nowoprzybyłymi właściwie nie istnieje. Każdy kto rozsądny stara się czym prędzej znaleźć jakieś mieszkanie, pracę i amerykańskie środowisko.

Panuje opinia, że szukając pracy unikać należy Polaków, ponieważ oni najmniej płacą i najwięcej wymagają. Przyznać trzeba — Polonia nie dysponuje wielkimi możliwościami zatrudnienia, a więc nie ma znowu na kogo liczyć.

Komitet Emigracyjny utrzymywany jest ze składek starej Polonii, nowa emigracja nie kwapi się nawet z oddaniem kosztów swojego pobytu w hotelu Wollcot. W czasie zeszłorocznej parady Puławskiego zbierałem datki na Komitet Emigracyjny. Najbardziej ofiarni byli Murzyni. Polacy w ostateczności i pod presją decydowali się na pięciocentowy datek.

Badania nad losem najnowszej fali uchodźstwa polskiego będą na pewno bardzo pomocne przy formowaniu programu organizacyjnego emigracji (jeżeli się jest patriotą i optymistą).

Z wyrazami szacunku,

Bruno MOOS

Montreal, 24 lipca 1971.

Szanowny Panie Redaktorze,

Odnosi się wrażenie, że Bogdan Adamski napisał swój nieudokumentowany artykuł o Zamku na kolanie. Nawet tytuł nie pasuje do wypracowania. Mogę go zapewnić, że „część polskiego społeczeństwa”, o której mówi, to lwia większość Polaków w kraju i tutaj. Przeciwników odbudowy Zamku jest niewielu. I nie dziwota, bo poza Krakowem i Sandomierzem zenująco niewiele pamiątek posiada nasz kraj, mniej niż Rosja, dużo mniej niż Czechosłowacja albo Jugosławia. Przykład Francji i Niemiec jest nietrafny, kraje te przecież można uważać za alfę i omegę architekuralnych osiągnięć niemalże wszystkich czasów naszej ery. Stać je było na wyburzenie nawet całych zrujnowanych ulic.

Wyobraźmy sobie na miejscu Starego Miasta sowiecko-stylizowane bloki Placu Konstytucji albo Muranowa — jedynie możliwa koncepcja stylu w latach 1945-1960, kiedy to centrum Warszawy na nowo zaczynało żyć. Dla zrozpaczonych Warszawiaków byłaby to dodatkowa przyczyna do buntu.

Nieprawdą jest jakoby Europa przestała kopiować wzory przeszłości. Stara Bruksela nie tolerowałaby budynków o nietradycyjnym charakterze i nowo-wybudowany hotel obok Grand Place musiał nałożyć na siebie charakterystyki starej flamandzkiej architektury. Średniowieczny zamek w Bersel pod Brukselą wzniesiono z ruin i przywrócono dawnej świetności, kosztem rządu. Z trudem również byłoby odróżnić kamienice powstałe po wojnie w centrum Amsterdamu od szesnastowiecznych. Drezno zburzone po części bombami alianckimi powstaje w identycznej przedwojennej formie z gruzów i „fachowa prasa”, którą cytuje Pan Adamski nie naigrywa się z Niemców za troskliwe wznoszenie tego samego od nowa. Zamek Haas opodal Amsterdamu zrekonstruowano i jest obiektem godnym zobaczenia. Lista wielu innych obiektów jest długa.

Wbrew opinii autora Zamek po części istnieje, wszystkie mury i sklepienia piwnic a również i biblioteka są w nienaruszonym stanie. Olbrzymia suma wydatkowana na odbudowę będzie przynosić odsetki na wzór wielu innych zamków po całej Europie. Heidelberg, dzisiaj olbrzymia impreza turystyczno-dochodowa, wynajmuje się nawet na śluby.

Zamek warszawski przestanie być „falsyfikatem” gdy nowe pokolenie zapomni że kolosalny problem odbudowy kiedyś istniał.

Z poważaniem,

Adam OCHOCKI

Chcielibyśmy wyjaśnić nieporozumienie: naszym zdaniem nie jest istotny spór czy należy odbudowywać Zamek, czy nie, czy to będzie „odbudowa” czy „falsyfikat”. Praktycznie nikt nie kwestionuje potrzeby odbudowy. Idzie tylko o to by odbudowa nie była ze strony władz PRL manewrem propagandowo-dywersyjnym, obliczonym zarówno na emigrację jak i na inteligencję krajową. O odbudowie Zamku dyskutowało się od lat kilkunastu i władze PRL były temu przeciwnie, odrzucając zarówno propozycję USA by Zamek został odbudowany kosztem Niemiec do czego jak mogliśmy się przekonać z licznych sondaży opinia niemiecka byłaby skłonna.

Jest żalostnym widowiskiem że „histeria zamkowa” ogarnęła duże kręgi emigracyjne i polonijne, które jednocześnie wykazały, nazwijmy to — wstrętność w związku z krwawymi wydarzeniami na Wybrzeżu. Wystarczy zestawić rezultaty zbiorów na pomoc ofiarom masakry grudniowej a daremnie na odbudowę Zamku. Dotyczy to nie tylko poszczególnych jednostek ale również organizacji emigracyjnych. Nie łudźmy się: zajmowanie się robotnikami na wybrzeżu może grozić trudnościami w dostaniu wizy do PRL, w interesach etc. Demonstracje na rzecz zamku wręcz przeciwnie. Lepiej więc brać na serio relacje „Trybuny Ludu” o entuzjastycznie społeczeństwa polskiego i za pastorałem biskupim nie widzieć np. tow. Kępy.

REDAKCJA

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: 01-994-1860.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Kanadyjski korespondent „Kultury”: Wacław IWANIUK
263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont. — Telefon: 481 93 63.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal : 3^e Trimestre 1971.

BIBLIOTEKA
N. W. B. N.

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Roman Krolikowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	R. 1,—	R. 5,85	R. 10,65
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25	F. 7,50	F. 45,00	F. 82,00
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty. Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney N.S.W. 2000	\$ A. 1,50	\$ A. 8,00	\$ A. 15,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	—	Sch.A. 200,00	Sch.A. 380,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 18.69.23	F.B. 75,00	F. B. 400,00	F. B. 750,00
BRAZYLIA : Janina Pomian-Piatkowska, rua Guara 143, villa Pompela, Sao Paulo. Tel. 62-0523	\$ US 1,50	\$ US. 8,00	\$ US 15,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 7,50	F. 40,00	F. 75,00
HOLANDIA : Inz. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, (01184) 4073, Postgiro 1379176	Fl. h. 5,00	Fl. h. 28,00	Fl. h. 54,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 260 Que., Tel. 482-4673; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto 3, Ont.; Rev. Donald Malinowski, 361 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man., Tel. 586-3825; Z. Micherdzinski, 24 Facer Str., St. Catharines, Ontario, Jozef Polkowski, 110 Cobourg Street, apt. 301, Ottawa 2, Telefon: 233-7212; « ZWIĄZKOWIEC », 1475 Queen St. W. Toronto 3, Ont., Tel. LE 1-2491	\$ Can. 1,50	\$ Can. 8,00	\$ Can. 15,00
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1	DM. 5,50	DM. 30,00	DM. 55,00
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	F. 7,50	F. 45,00	F. 82,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Case postale, 1211 Genève 7. Tel. 33 34 20, Nr konta pocztow. 12.14431	F. S. 6,00	F. S. 35,00	F. S. 65,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm	K. S. 7,50	K. S. 40,00	K. S. 75,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetyński, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoys Ave., Hollywood, Cal. 90028; Ada Dziewanowska, 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; Adam J. Galinski, 1727 Mass. Ave. N.W. Washington, D.C. 20036; T. Konopacki, 11839 Edgewater Dr., Lakewood, O. 44107, Tel. LA-1-2305; Christian M. Kretowicz, 4477 Wilson Av., San Diego, Cal. 92116; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, Tel. MU 8-0346; Edward Posnylak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; Prace, 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa 19125; The Polish Book Importing Co., 410 Matchaponix Ave., Jamesburg, N.J. 08831. R. J. Sas-Babczynski, 15717 Woodruff Ave., Nr 44, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Jan Zych, 5436 Chopin, Detroit, Mich 48210, Tel. 899-5165	\$ US 1,50	\$ US. 8,00	\$ US 15,00
W. BRYTANIA : P.C.A. Publications Ltd., 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.	12 sh.	£ 3.10.00	£ 6.00.00
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241	L. It. 900	L. It. 4600	L. It. 9000

W krajach niewymienionych prenumerata roczna F.82; półroczna F.45.
Przesyłka pojedynczego numeru: 0,70 F.

Należności można wpłacać przekazem pocztowym na konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 203 - ALEKSANDER SOŁŻENICYN

ODDZIAŁ CHORYCH NA RAKA

Przekład Józefa Łobodowskiego

Str. 480.

Cena F. 40 (dol. 8,50; £ 3.40)



TOM 207 - DANUTA IRENA BIEŃKOWSKA

PIEŚŃ SUCHEGO JĘZYKA

POEZJE

Str. 64.

Cena F. 9 (dol. 2,00; 85 p.)



TOM 208 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT DWUDZIESTY

Zawiera m.in.: W. Babiński: *Prasa angielska w sprawach polskich na przełomie lat 1943-1944*; St. Kirkor: *Próby dozbrownienia Polski i Ewakuacja Min. Skarbu w 1939 r.*; Józef Beck: *Preliminaria polityczne do wojny 1939 r. i Komentarze do historii dyplomatycznej wojny 1939 r.*; A. Ciołkosz: „*Dzielnica żydowska*” obozu w Jabłonie oraz szereg innych artykułów, RELACJE i WSPOMNIENIA — POLEMIKI — RECENZJE i LISTY DO REDAKCJI.

Str. 256.

Cena F. 18,50 (dol. 4,00; £ 1.50)

232

Cena 7,50 F